

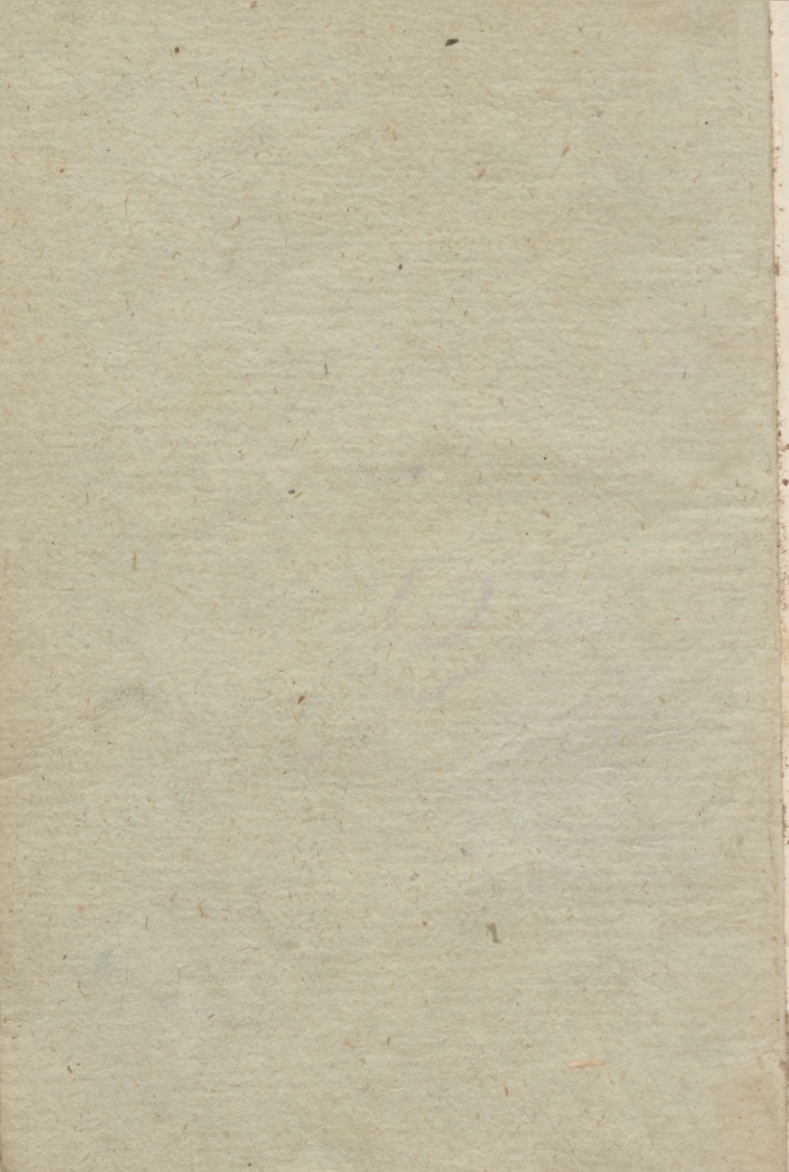


John Brown
New York

~~11~~

A06

[Faint purple ink scribbles and illegible markings]



106.

BAKAŁARZ

ZARZĘDZA W POWIĘSICI

BAKAŁARZ.



106.

Quali

BAKAŁARZ

ZDARZENIE W POWIEŚCI

W DWÓCH CZĘŚCIACH.

NAPISŁ

Włodzimierz Wolski.



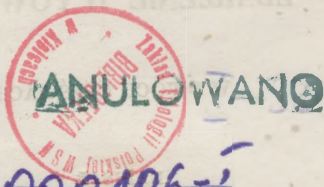
WARSZAWA,

Nakład i druk **S. Orgelbranda** Księgarza i Typografa.

—
1858.

BAKALARY

ZDARZENIE W POWIĘSICI



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury
po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 1/13 Czerwca 1857 r.

Starszy Cenzor, **Sobieszczański.**



226302

WARSZAWA

Kancelaria Cenzury

1857

g
Puczyłowska

WALENTEMU

SIERKOWSKIEMU

w dowód przyjaźni i szacunku

PRACĘ TĘ POŚWIĘCA

AUTOR.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Die Schmerzen der edlen Seele sind
Maifröste des Lebens, ein Frühling
kommt ihnen nach. Die Schmerzen
der schlechten sind Herbstfröste, sie
gehen dem Winter der Strafe voraus.

Jean Paul.

W zamożnym, znanym na prowincyi i w Warszawie domu państwa Derławskich, był nauczycielem niejaki Nepomucen Szyk, rodowity Polak, chociaż nazwisko jego, mogłoby na pozór za cudzoziemskie uchodzić. Miał dwóch uczniów: siedmio-letniego jedynaka, gienijalnego oczéwiście chłopczyka i dwunasto-letniego synowca, o którego zdolnościach już stryjostwo nie tyle rokowali, co o własném dziecięciu. Pani Derławska bardzo była grzeczną, uprzejmą, nie rozmowną ale ukształceńszą damą. Mąż jój, przez jednych radcą, przez drugich sędzią, przez trzecich pre-

zesem (stał przez czas niejakiś na czele resursy w jedném z miast powiatowych); przez czwartych starościcem lub starostą, przez piątych, mianowicie służbę i żydków, hrabią mianowany, miał obejście chłodne ale przyzwoite, humor jednostajny, i... co najważniejsza, nie wtrącał się niepotrzebnie do lekcyj, a tego nauczyciele najbardziej nie lubią. Pan Nepomucen wywiązywał się najsumienniejsz z obowiązków swoich, jednak przykrzyło się mu nie raz ślęczyć nad dodawaniem z genialnym chłopczykiem, jakoś tępo, bardzo tępo pojmującym; lub tłumaczyć Tirocinnium z synowcem, który chociaż do *pronuncjacji* trudniej nagiął język od młodszego współucznia, więcej w nim zdolności dostrzegał, niż stryj i stryjenka.

Zazwyczaj starszych mając uczniów, żałował, że przyjął ten obowiązek w braku innego. Pochwały, które słyszał w domu Derławskich, choć nie były bardzo przesadne i chociaż dobrze był płatny, radby był szczerze zwolnić się z kontraktu, zapowiadającego jeszcze półtora roku łatwój a mozolnój pracy, nieustającego i zmudnego czuwania nad chłopcami, zwłaszcza téż nad

młodszy, co go rodzice zanadto pieścili. Traf często nie w porę, a tak rzadko w porę przychylny dla ludzkich marzeń i chęci, nadspodziewanie mu pomógł tym razem. Młodszy uczeń jego, figlując raz po obiedzie ze starszym, padł nieszczęśliwie na progu i stłukł sobie nogę w kolanie. Rozżalona matka płacząc nad zapłakany synkiem, dała jednak grzecznie do zrozumienia nauczycielowi, że mógłby czasem odwracać wzrok od ciągłej *lektury* i pilniej baczyć na dzieci. Szyk, nazajutrz zaraz wyczytał z jej oczu, że gotowa go była przeprosić najchętniej za pośpieszne nieco słowa, w ustach matki tak łatwe do wytlómaczenia, których już pewno i nie pamiętała. Po powrocie jednak jej męża ze wsi, poprosił o konieczne uwolnienie od obowiązków, których zakres nadto początkowy, oddawna mu nie był po myśli. Radca nie chciał przystać z początku na oddalenie *człowieka*, na którego dotychczas bynajmniej skarżyć się nie mógł. Żona, którą ciągle nudził tą sprawą, wypytując jakiby mógł być powód tak nagłego postanowienia, zasięgając jej rady, młodsza zna-

cznie od niego, wzruszyła ramionami i żywo odrzekła:

— Pan Szyk jest za porządny człowiek, żeby chciał się oddalić przez wyrachowanie, to jest, żebyśmy mu płacę podwyższyli. Może się obraził na mnie. Cokolwiek za żywo i niesłusznie wyrzuciłam mu, że się Broniś skaleczył, przeproszę go; może téż i nudzi się ukształconemu wyżej człowiekowi uczyć dzieci abecadła. To nie dla niego miejsce. Szkoda, że się oddała, ale przyniewalać nikogo nie można.

— Kiedy widzisz, Miciu, nie łatwo znaleźć natychmiast porządnego nauczyciela. Może trzeba będzie komuś innemu jeszcze drożej zapłacić: dzieci go lubią.

— *Faites donc, comme il vous plaira, Monsieur Paul!* — odparła żwawo, odchodząc do siebie.

Monsieur Paul potulnie wzruszył ramionami i oświadczył panu Szyk, że acz niechętnie, zgadza się na jego żądanie. Zdarzyło się, że bliźcy sąsiedzi jego ze wsi, niejacy państwo Ufalscy, dla wychowania dzieci bawiący w Warszawie, potrzebowali właśnie nauczyciela. Derławski

wskazał mu ich dom, polecił go i już od roku był tam nauczycielem pan Nepomucen, z którego notatek nastąpi tu wyjątek:

....., Biedny ten, co nie ma jasnych wspomnień dzieciństwa, do których myślą odnosić się lubi jak do źródła, skąd się bieg jego rozpoczął. Mniejsza już o urok własnej domowej strzechy, o lipy przed oknem, bór niebieszcący w oddali, przed nim lub za nim krzyż na kościolku i staw, gdzie o mroku brzozy i wierzby tak delikatnie się przeglądają. Bogaczem nazwę tego jeszcze, co przypomina sobie szczupłe, zakopcone mieszkanie w mieście lub miasteczku, aby tylko uśmiech rodzicielski czuwał tam nad jego dzieciństwem. Byłem i ja bogaczem. Wprawdzie ś. p. matka moja pieściła częściej odemnie brata, oczewiście jako młodszego. Wprawdzie dostało się czasem za uszy, gdy pan metr poskarżył się, że mi tępo idzie nauka; bystrością bo nie celowałem.

Ale poślizgało się, w piłkę pograło na podwórku; a w czasie jarmarku tak wesoło było patrzeć przez okno lub wyjść na rynek. Co niedziela prawie służywałem do mszy w białej

komeżce, do której mi matka piękne wstążeczki przyszyła. Lud modlił się kornie w tym kościółku Grójeckim, co tak zdaleka czerwieni się cegłą na wzgórzu....

....Raz pojechaliśmy do Warszawy, byliśmy na Powązkach na mogile ojca i w teatrze, na przedstawieniu Wolnego Strzelca. Ojciec nasz był urzędnikiem. Śmierć jego, mnie czteroletniem dzieckiem, a Felcia niemowlęciem u piersi osierociła. Matka nie mogąc wyżyć w Warszawie ze szczupłej pensyi emerytalnej, przeniosła się do Grójca, gdzie za sumkę uzbieraną z oszczędności i licytacyi, nabyła malutki domek, z którego przynajmniej była ta korzyść, że nas nie mieszkanie nie kosztowało.

Domku tego już pewno i nie ma dzisiaj, albo tak przerobiony, że możebym go nie poznał, już był wtedy sędziwy, ale choć to tak dawno temu, wszystko mi widome stoi przed oczyma: pamięć najmniejszego nie uroniła szczegółu. Kanapa zieloną morą obita, stała naprzeciw okien, na prawo szafka mahoniowa, gdzie za życia ojca musiały być książki; nad kanapą dwa stare sztychy u Fietta w Kaliszu wydane, z nich jeden

przedstawiał Wieczerzę Pańską, a drugi Gody w Kanie Galilejskiej. W tymże samym pokoju stało łóżko matki, nad nié obraz Najświętszój Panny, przy którym lampka ciągle się paliła i sztych świętój Teresy w złoconych ramach. W drugim pokoju a raczój izbie, piętrzyły się aż pod sufit zasłane piernaty służącój i zielony kufer ogromny. Za parawanem, wyklejonym różowym papierem w palmy, sypialiśmy z bratem i każdy z nas miał mały obrazek patrona swojego nad łóżeczkiem przybity. Byto to ubogo ale chędogo i wszystko swoje własne....

....Miałem właśnie rok jedenasty życia, kiedy przejeżdżał przez Grójec do Warszawy niejaki pan Peitscher, którego żona spokrewniona była z matką moją. Spotkawszy matkę w cukierni Łopińskiego, gdzie ciastka dla Felcia kupowała, przyszedł nas odwiedzić. Przyznam się, że obawiałem się naszego profesora, bo wcale krzepkie walił łapy i dyscyplinę nie na żarty miał na haku przybitą; ale na widok tego niby kuzyna, mrowie mnie przeszło od stóp do głów. Wlepił we mnie bure, malutkie a okrągłe oczy, zdaje się pragnące wyskoczyć z dziobatój twarzy;

wypytał mnie, wyegzaminował nieco i poklepał parę razy po głowie, aż mi dębem włosy stanęły.

Matka kazala mi z bratem odejść. Słonko wesolo lśniło na czystym błękitcie, wróbelki świergotały na dachu i w gałęziach starój, wysokiój gruszy, na której obficie zieleniały niedojrzałe, okrągłe gruszki, zwane cebulkami. Gdzie spojrzales, czy to na szosse ku Warszawie, czy na szosse w stronę Radomia, czy na pylasty gościniec ku Warce, wszędzie ziolono, swobodnie, jasno, aż drżało powietrze w objęciu ożywczego światła. Nawet zczuple zagony kapusty, marchwi i kartosli w naszym ogródku, zielenily się jakoś piękniój... Feluś skakał, koziolka przewrócił, śmiał się do mnie, na szyję się cisnął. Mnie serce ścisnęło niemile przecucie, siadłem na klocu drzewa i zaplakałem serdecznie, co mi rzadko się zdarzało, ho nawet w dzieciństwie nie byłem skłonny do płaczu. Wkrótce matka ucieszona nadzwyczaj zawołała mnie. Trzeba było lzy obetrzeć.

„Widzisz moje dziecko“ — rzekła rozczulona — że Bóg nie zapomina o sierotach! Oto mój ku-

zyn tak łaskaw (niech mu Bóg wszystko dobre daje), że bierze cię do siebie na pensję, gdzie się wszystkiego nauczysz i wyjdiesz na człowieka." Wskazała na Pejczera, który otaczał się z krótkiej fajeczki mocnym bardzo dymem. Trocha się zakrztusiłem. Kazala mi paść mu do nóg i pocałować go w rękę. Rumieniec buchnął mi na twarz, gorąco się zrobiło i nie ruszyłem się z miejsca. Matka popchęła mnie ku niemu, aż padłem na ziemię i przytknęła głowę do jego ręki. Pajczera rzekł przez nos z dziwnym jakimś uśmiechem: „Nieszmiały chłopak, ale bardzo strofy i szilny, okrzesze szie u mnie, okrzesze. Niech kuzyna wszystko na pojutrze przykotuje, bo ja zaraz otjeżdżam. Tyliżans fieczorem idzie przez Grójec, będziemy więc w nocy jechali. Atyje!" Chciał pocałował matkę w rękę, ona go w ramię pocałowała i aż do saméj poczty odprowadzila.

Nieomyślne przeczucie, co się za nagle sprawdziło, tak głęboko dało mnie, dziecku — uczuść dotychczasową swobodę życia przy matce, a myśl, że ją utracę, tak mnie zabolala gwałtownie; że gdy matka poszła z Pajczerelem na miasto, ja

nić nie mówiąc służącój ani Felkowi, wybiegłem w pole i tak bieglem długo, długo. Minąłem Krobów, Częstoniew, skręciłem Bóg wie jakoś na prawo i przez Kurczową wieś doszedłem do Jasieńca, już wieczorkiem. Dzwoniono właśnie na Anioł Pański w kościółku. Siwiutki proboszcz niewielkiego wzrostu, trocha pochylony, pamiętam to jakby dzisiaj, chodził po smętarzu, odmawiając pacierze. Widać zastanowiło go, że obce jakieś dziecko zmęczone i okurzone, idzie o téj porze, musiał mnie zdaleka na gościncu obaczyć, zawołał, i po kilku zapytaniach, na które niedokłanie odpowiedziałem, surowo badać zaczął skąd jestem i po co przyszedłem. Trudna rada! Z początku jakoś oporem, a potem powoli opowiedziałem mu wszystko. Staruszek zgromił mnie z początku, że nie muszę kochać matki, kiedy na złość jéj robię, włóczęc się bez celu i martwiąc ją niepotrzebnie; że ocenić nie umiem łaski Boga, która mnie sierocie dozwala przyjąć wyższe wychowanie. Pokiwał głową, lekko mnie wziął za uszy, potem poklepał, kazał mi dać posiłek i wózkim jednokonnym odesłał do Grójca z listem do matki. Z początku był uśmiech,

potém gniew, potém łzy macierzyńskie oblały mi twarz, a i moje oczy także suche nie były. Długo matka rozmawiała ze mną, dając mi do zrozumienia, że z pewnością nie rozstawałaby się ze mną, gdyby tego własne moje dobro nie wymagało.

....„Trzeciego dnia w nocy, zapukało gwałtownie w okiennice: nie spaliśmy wszyscy, nawet Feluś drzemał, głowę o stół tylko oparłszy. Matka, czekała z herbatą na Pajczera, który téż wszedł niepewnym krokiem. Zaledwie przywitawszy się z matką, usiadł zaraz na kanapie. Czerwony był straszliwie. „No szlachcić! zabieraj się, marsz w drogę“ — zawołał ochrzypłym głosem, kłęb dymu w nos mi puszczając. — „Niech pani kuzyna żadnych prowizyi nie daje na drogę, bo to psuje dzieci.“

Wkrótce potém przy ostatnim uścisku wetknęła mi pięć złotych do ręki, Feluś oburącz objął za szyję, Petronella fartuchem łzy otarła; wsiedliśmy do dyliżansu i ruszyliśmy ku jednemu z miast pogranicznych, gdzie Pajczera trzymał pensję, wtedy powszechnie znaną. Podczas drogi, dwa razy mnie tylko za włosy wytargał; raz za to, że nie

mógłem zasnąć, bo mi było smutno i zimno; drugi raz za to, że kupiłem sobie w Kielcach parę bułek, bo mi głód dokuczył. Zabrał mi pieniądze, mówiąc: „Klupia twoja matka, że czie tak pie-szezi, otuczę czie tego.“ Umiął dotrzymać słowa!

II.

.....,Dreszcz mnie przejmuje, wstręt miwolny, gdy przypominam sobie pobyt mój w tém piekle, co od początku już się mi straszném wydało, bo w kilka dni po przyjeździe, zachorowałem zaraz na odrę. Kiedy przyszedłem do zdrowia, a było to właśnie po wakacjach, przy rozpoczęciu kursu szkolnego, Pajczer zaczął wkrótce na skórze mojej odbijać wybryki złego humoru i uniesień pijackich. Nie trudno było domyślić się i mnie, że prawie dzień w dzień często zaglądał do szklanki. Żona zaś jego, nie tylko nauczycielom, guwernerom, kolegom, ale służącym wszystkim opowiadając o dobroczynności męża, często mi przy nich wyrzucała niewdzięczność i niezdolność. Lepiej być koniem dorożkarskim, niż z łaski odbierać wychowanie,

niż służyć za szyld, świadczący o wspaniałomyślności dobrodziejów, tak gorliwie dbałych jak Pajczerowie, żebym chleb ich z mojemu łzami pożywał. Koledzy, to jest ci, z którymi w jednej byłem klasie, we wstępnej, — także dla mnie kolegami nie byli. Zwyczajnie dzieci! za panią matką pacierz powtarzać muszą! Gdyby Pajczer inaczej był zemną postępował i oni uważaliby mnie z pewnością także inaczej. Jednozgloskowe nazwisko *Szyk*, dało hasło do mnóstwa przezwisk, z których najdotkliwszym był sznyp, bo mnie sznypami czyli szcztkami hojnie częstowali.

Z pomiędzy nich wszystkich umiałem najmniej. byłem sierotą, wychowywaną z łaski, pośród paniczów (po największej części obywatelskich dzieci). Nie raz wypytywali mnie o wieś na księżycu i kamienicę na tamtym świecie. Guwernerowie nie miłowali mnie także, chociaż z początku nie wiele z nimi byłem w styczności, bo nad wstępną klasą, Pajczer ogólną i szczególną opiekę rozciągał i prawie wszystkie przedmioty sam wykładał.

Przy końcu pierwszego roku w czasie rekre-

acji, malec jeden z kolegów moich, stłukł przypadkiem dwie szyby. Widziałem to, męcząc się nad deklamacją, bo pamięć miałem bardzo słabą. Na hałas wpadł pijany Pajczer i natychmiast przyczepił się do mnie, zapytując kto zbroił. Mógłbym być za sznypy przysłużyć się koleżce, ale śmiało odpowiedziałem, że nie wiem, bo uczyłem się deklamacji.

Wiedział aż nadto dobrze Pajczer, że nie ja stłukłem. Zamiast jednak wybadywać drugich, podniósł mnie za uszy z krzesła i wołając ciągle: „krnąbrny oszołku!“ srodze mnie musiał skatować, kiedy z bólu i wstydu zacząłem aż szlochać, co dotychczas bardzo rzadko się zdarzało. Dowiedział się o tém od jednego z wyższej klasy guwerner Francuz. Jak już Pajczer odszedł, trzaskając drzwiami, przytaszczył do mnie za włosy winowajcę, kazał mu przeprosić mnie, w rękę pocałować i poklepał po głowie mówiąc: „Będziesz dobra klopa, mój mali!“

Wieczorem przyniósł mi ciastek i odtąd opiekował się, wstawiał się nawet za mną, zwłaszcza téż u pani Pajczer, u której miał względy. Na nieszczęście, z końcem roku uczciwy Fran-

cuzisko przeniósł się gdzieindziej. Jednak z kolegami potrafiłem porozumieć się odtąd sznypa bezkarnie nikt mi nie śmiał dać, ani powiedzieć. Cokolwiek także poduczyłem się po francuzku, piąte przez dziesiąte rozumiałem nieco; niemiecki język szedł mi nieco trudniej. Pajczera zaczął mnie karać odtąd już nie za krnąbrność, ale za namawianie drugich do figlów i zły przykład. Mój Boże! Mnie téż figle siedziały w głowie! Chwili czasu nie miałem do stracenia: chciałem się uczyć, a nauka przychodziła powoli i tępo. Gdyby zamiast kary zachęcano mnie, z pewnością i nauka łatwiejby przychodziła, ale sama matka w przeciągu dwóch lat napisała do mnie tylko trzy listy, które raczej były odpowiedziami na surowe lub niechętne doniesienie Pajczera. Dzisiaj, co już tyle czasu odtąd upłynęło, kiedy zastanawiam się nad tym człowiekiem, dokładnego wyobrażenia sam sobie o nim zdać nie potrafię. Podobno kiedyś, wkrótce po przyjeździe jego do Polski (był bardzo biednym, i opowiadał nam to czasem, chwając zdolności swoje i zabiegłość), ojciec mój nieboszczyk wyświadczył mu jakąś przysługę, i to był powód najwa-

źniejszy, że przypadkiem spotkawszy matkę moją, kuzynkę żony swojej, zabrał mnie do siebie.

Zawsze była w tém wdzięczność, ale jak wykonywana! Każdy człowiek, postępowanie nie przez żywość krwi wywołane, nie przypadkowe, ale ciągle, i o tyle o ile konsekwentne, potrafi sobie jakoś wytłumaczyć. Jakież on mógł mieć wytłumaczenie? Gdyby chciał był ze mnie zrobić afisz, sztyl bezinteresownej dobroci; toby, zdaje się, nie powinien był tak surowo postępować. Może systemat straszny wychowania był wywzajemnieniem się drugiej istocie za wychowanie, które on sam odebrał, odbiciem na cudzej skórze dawnych bólów własnej; może wydawał mu się najwłaściwszym dla człowieka, którego w życiu czekała tylko praca. W ciasnym jego pojęciu pomieścić się nie mogło, że zbyt surowość, kara ciąгла bezmyślnie wymierzana ścierając z dziecięcia wstyd, zobojętniając serce, zniechęcając serce, zniechęcić go może przedwcześnie do nauki, najeżanej różgą i krzykiem. Może też nie mogąc wyrzucić na innych uczniach instynktów pastwienia się i złego humoru, co go trapił kiedy nie był trzeźwy, mnie sobie wybrał

za ofiarę. Po dziś dzień dokładnie sobie z tego nie potrafię zdać sprawy, a nieraz tak było boleśnie, tak przykro, tak nie do wytrzymania, że dwunastoletnie dziecko, modliłem się nieraz gorąco do Boga, błagając o zakończenie niedoli, o śmierć, co mi się słodsza wydawała od cierpienia...

...Drugiego już roku, jeden z kolegów moich jechał na wakacje do babki aż za Warszawę; przez Grójec oczywiście miał przejeżdżać. Napisałem list do matki, błagając, żeby mnie odebrała i oddała lepiej do terminu. Fatalnym zrzędzeniem, Pajczerowa przeglądając w szafce bieliznę odjeżdżającego, list co mu go powierzyłem znalazła. Dopieroż przebyłem wakacje! Prócz dobitnych wymówek, jadłem przez dwa tygodnie za karę w kuchni z ludźmi, sypiałem na podwórzu przy chlewie. Ale gorszą był dla mnie karą list od matki, wyrzucający mi, że zamiast pociechy, same jój tylko zmartwienia przysparzam. Donosiła mi, że z Grójca przeniosła się do Warszawy i na Solcu zamieszkała, w tym domku, gdzie kiedyś jeszcze z ojcem mieszkaliśmy.

Pajczer kazał mi uczyć czytać pięcioletniego synka swojego, rozbalamuczonego bębna. W prze-

ciągu miesiąca, mimo najszczerzych usiłowań i cierpliwości, w której ciągle miałem ćwiczenie, zaledwie się malec abecadla nauczył i to jeszcze bardzo niedokładnie.

Znów pretensja do mnie, znów cybuch na plecach, na karku, po głowie, że uczyć się mogłem z łaski, a nauczyć nie mogę, bo nie chcę. Nareszcie, jak pies u myśliwca, zacząłem powoli i nawykać do cierpienia,—obojętnić. Zdawało się mi, że całe moje życie inném nie będzie.

...Trzeciego roku pobytu mojego, byłem już w trzeciej w klasie, miałem rok trzynasty, i dawałem lekcje kaligrafii uczniom klasy piérwszej. Gniewało Pajczera, że mu nie donoszę jak się podczas lekcyi zachowują, że się z nimi za łagodnie obchodzę. Raz poskarżył się na mnie jeden, że go za uszy wytargałem, bo łotr bić się chciał koniecznie ze mną. Rozgniewany wściekle Pajczera jął się moich uszu i krzyczał: „Nie uda czy szie odbicz na drugich tego, co wzięłaś. To porządne obywatelskie dzieci, nie takie łachmany jak ty. Z nimi inaczej się obchodź.“

Rówiennicy moi może mnie nie lubili; była

różnica pomiędzy nami: bieda, praca, zależność, pedagogiczne zajęcie w tak młodych latach. Nie bawiłem się z nimi, nie dokazywałem: szanowali mnie jednakże. Niejedną kłótnię uśmierzyłem, pomogłem niejednemu przy robocie, a w nauce niebezpiecznym współzawodnikiem nie byłem; bo choćym przez pracowitość i pilność mógł tego może dokazać, co u drugich zdolności; chociaż może w każdej klasie lepiej się od drugich uczyłem,—inni brali nagrody. Młodszych kolegów, zwłaszcza téż uczniów moich, potrafiłem wkrótce przywiązać do siebie. Dostrzegł tego Pajczer, i obudziło to w nim jakby zazdrość,—zazdrość o sympatję, którą trzynastoletnie dziecko obudzało. „Ja tu jeden pan—powtarzał gdyśmy byli sam na sam — nie na tom cię wychował, żebyś mi psuł chłopców i nosa do góry zadzierał.“ Pajczerowa cokolwiek łagodniej się ze mną obchodzić zaczęła, raz nawet poglaskała mnie, powiedziała, że urosłem nadzwyczaj i że za trzy lata już będę mężczyzną. Rosłem rzeczywiście bardzo szybko: w trzynastym roku byłem już sporty, zdrowia mi brak nie było. Synek Pajczera nie chciał od nikogo innego brać lekcyj, tylko ode-

ANULOWANO

mnie i musiałem go zawsze prowadzić za rękę na przechadzce. Przy końcu roku, tylko co przed popisem, odpowiedziałem hardo guwernerowi jednemu, co niesłusznie wytargał mnie za uszy, sam sprawca zlego przyznał to potém. Rozgniewał się i tak zapomniał, że mi chciał dać policzek. Złe ręką uderzył, ja zastawilem się, tylko mnie w ramię trafił:

Odepchnąłem go zlekka, potknął się o stolec i padł nieszczęśliwie, bo mu krew z nosa i ust poszła. Robi się hałas, sprawa się wytacza, szczęściem Pajczera nie było w domu. Przy niej przeprosilem Niemca, trocha się nadał i byłby może na tém poprzestał. Pajczer wrócił bardzo późno, już spaliśmy wszyscy; żona mu widać opowiedziała o zajściu mojem, wpadł na salę i kulakiem strasznym obudził mnie. „Dam ja ci jutro! — wrzeszczał — jeszcze jak żyjesz takiego smarowania nie wzięłeś, zobaczysz! Cho, cho, paniczku, trzeba się nam rozstać, widzę. Lepszy ty do wojska jak na guwenera, a lepszy jeszcze do moralnie zaniedbanych dzieci. Co to znaczy kaleczyć nauczycieli, zobaczysz jutro!“

— Już nie zasnąłem téj nocy; wierzyłem, że Pajczer

mógł każdej groźby dotrzymać i poprzysiągłem sobie, że mnie tym razem, po kwartalnym wypoczynku od kary, nie ukarze. Przypomniały się mi przygody Robinsona Kruzoë, które niedawno czytałem, pobyt jego na bezludnej wyspie, gdzie Opatrzność cudownie się nim opiekowała. Westchnąłem szczerze do Boga, pomodliłem się i przyszła mi myśl wydostania się ze szponów, w których od lat trzech jęczałem. W chwili, myśl zamieniła się w postanowienie, które natychmiast trzeba było wykonać. Wziąwszy na siebie niezbędną tylko ubiór, spuściłem się na koldrze i prześcieradle z pierwszego piętra.

O świcie byłem już o trzy mile za miastem. Bogu tylko jednemu wiadomo, com wycierpiał. Wychowany w czterech ścianach i na podwórku domu, gdzie była pensja Pajczera, jakim sposobem odbyłem pieszą, kilkudziesięciu mil podróż, jakie mnie po drodze spotykały wypadki — i przypominać sobie nie chcę. Nareszcie we dwa tygodnie, bosi, na wpół nagi, z nad granicy austriackiej przywlokłem się do Warszawy i zaszedłem na Solec, szukając mieszkania matki. Znalazłem — ale już się ztamtąd wyprowadziła. War-

sztat szewcki zajmował dwa nasze pokoiki. Szewc był już drugim lokatorem z rzędu i objaśnić mnie nie mógł dokładnie. Wypytawszy mnie jednak cokolwiek, ulitował się nademną, wziął do siebie, kazał żonie zgotować jeść i posłać mi na strychu. Posiliłem się, wypoczałem i nazajutrz uczciwy rzemieślnik pożyczył mi jeszcze starego obuwia, które się bardzo na zbolale nogi przydało; poszedł sam ze mną, wywiedziało się i odprowadził nareszcie do matki, aż na koniec Ogrodowej ulicy. Zastaliśmy ją w łóżku bardzo wychudłą i mizerną. Nie poznała mnie z początku...

...,Nareszcie, kiedy mama przekonała się, że prośba ani groźba nie pomogą, że kilkakrotne listy Pajczera gdzie groził, że mnie jak zbiega ścigać będzie, że nazajutrz po mojej ucieczce kilkanaście łyżek srebrnych zabrakło i t. p., nie wywołały na mnie najmniejszego wrażenia, z boleścią serca zgodziła się, żebym na jej biedę i utrapienie, jak mówiła, pozostał w Warszawie. Chciałem koniecznie iść do szkół, ale mieliśmy tak szczupłe fundusze, zwłaszcza też przy cierpieniu matki, że nie tylko na wpis i na mundurki brakło, ale i na utrzymanie moje, témbar-

dziej nie wystarczało, że młodszy brat potrzebował się uczyć także.

Majsterek uczciwy, który nie zapomniał o mnie, namawiał mnie, żebym zrzuciwszy pychę z serca wszedł do niego do terminu, obiecując, że ponieważ umiem dobrze czytać i pisać, prędzej nierównie wyzwolę się i wyjdę na człowieka. Matka nie chcąc i na to zezwolić w żaden sposób, posyłała mnie do kupców korzennych, do drukarń, ale dla tych byłem za stary; temu za mało umiałem; tam chciano, żebym w domu się stolował. Zresztą nikogo nie było, coby mnie korzystnie polecił.

Nie wiedząc co począć, matka już zgadzała się oddać mnie do tokarza, stolarza lub siodlarza. Wtém uczciwy majster przyszedł do nas kiedyś zrana, z dobrą, jak powiadał, nowiną. Znal się dobrze z introligatorem, uczciwym bardzo człowiekiem, — i namówił matkę, żeby mnie tam oddała.

Do introligatorki oddawna miałem upodobanie i jeszcze u Pajczera w chwilach wolnych od pracy, których poprawdzie nie wiele było, klei-

łem kolegom pudeleczka, oprawiałem zeszyty, a nawet książki.

Majster dał mi na próbę przeczytać i napisać. Gdy jeszcze po niemiecku i francuzku to samo potrafiłem, chętnie zgodził się i przyjął mnie do siebie. Matka przystała wreszcie, przekonana, że to tymczasowe zajęcie, aż do ozdrowienia jej, gdzie o czém inném dla mnie pomyśli. Wypadek uprzedził macierzyńskie przecucie. Wpadłem jakoś w oko nauczycielowi łaciny z Gimnazjum, naszemu kundmanowi, któremu do mieszkania odnosiłem książki oprawne. Chciał dać mi parę razy na piwo, a gdy wzdragalem się przyjąć, zaczął mnie bliżej wypytywać o całe moje położenie. Najszczerzej mu je opowiedziałem.

— „Wstań jeszcze o dwie godziny wcześniej, książek przecie u mnie nie brak, a nie będzie, to ja ci dam. Przypomnij sobie to, czegoś się uczył, od wakacyj będziesz chodził do klass, wy- najdę ci sposób utrzymania. Moje dziecko! Ja sam może od większej biedy zaczynałem. Dawniej w piecu w szkołach palili biedni chłopcy i wychodzili na ludzi. Bóg łaskaw na tych, co milują pracę, trzeba mu tylko ufać!“ Uczciwy człowiek!



Dusza jego pewno teraz z nieba modli się za tego, któremu największe dobrodziejstwo wyświadczył. Po wakacjach, za usilném staraniem opiekunów moich, bo i ksiądz prefekt także zająć się mną raczył, —zaledwie mogłem zdać examen do téj saméj klasy, to jest do trzeciéj, którą u Pajczera niby dobrze ukończyłem. Namówił kilku współkolegów swoich, nauczycieli, żeby polecili uczniom książki dawać do mnie do oprawy,—i tym sposobem utrzymywałem się z początku bardzo kruch, bo jeszcze byłem matce ciężarem, ale w czwartéj klassie, prócz introliigatorstwa, miałem już dwie korrepetycyjki i dostawiałem od kolegów zeszyty do przepisywania, bo do kaligrafii miałem rzeczywistą zdatność. W piątéj klassie poszło jeszcze łatwiej, a w szóstéj miałem kondycję, to jest: stół i stancję za korrepetycje dwóm chłopczykom, co ich do szkoły odprowadzałem. Introliigatorstwo moje nie tylko nie ustawało, ale owszem tak licznych miałem kundmanów, że prócz sprawienia mundurku, nabycia książek i zapłaty wpisu za Felusia, który do mnie na korrepetecje przychodził, mogłem cokolwiek udzielać mamie, co-

raz bardziej i dotkliwiej cierpiącój. Kiedym był już w ósmój klassie, dotknęło mnie nieszczęście.

Matka moja zeszła z tego świata. Dla niej może i lepiej po tak długiej chorobie, po tylu męczarniach, ale dla nas jak najgorzej, zwłaszcza dla Felusia, co tak przez nią wypieszczony, taki delikatny jak panienka, jeszcze jój opieki potrzebował. Pochowaliśmy małkę przy ojcu, na którego mogile żadnego dotychczas znaku nie było. Kazalem postawić krzyż drewniany, wspomnieniu obojga poświęcony, brata wzięłem do siebie na mieszkanie. Częsteczkę pensji emerytalnej, co nań wypadła, jeszcze mu na szczęście wypłacano, moja już się skończyła. Bóg rzeczywiście łaskaw nad sierotami. Państwo, u których byłem korrepetytorem, a raczej więcej, bo teraz już prawie guwernerem, z pensją pięćdziesięciu złotych miesięcznie, zgodziwszy się za pewnym ustąpieniem z mojej strony, żeby brat stał ze mną; tak go polubili jak własne dziecko. Zasługiwał na to, bo choć figlarz, ale z najlepszym sercem i do tego przylepka...

...Po ukończeniu szkół, wypadaloby pojechać do uniwersytetu, ale jakże tu brata samego zo-

stawić? Zacząłem chodzić na aplikację do biura, które mi jednak zajmowało tyle czasu koniecznego na zarobek; nadzieja zaś dostania etatu tak była daleka, że rad nierad porzuciłem i wziąłem się do kawałka chleba, na który już widać byłem przeznaczony: do guwernerki. Łatwiej mi teraz było postarać się o lepsze miejsce, nabrawszy biegłości we francuzkim języku, któremu w szkołach jeszcze wiele czasu poświęcałem. Dziwna w tym czasie spotkała mnie niespodzianka: list od Pajczera. Czcigodny kuzyn, nie wspominając ani słowa o tém, co między nami zaszło kiedyś, wymawiał mi, że, nie odebrawszy ode mnie wiadomości o skonie matki mojej, dopiero z ogłoszenia w gazetach dowiedział się o tém smutném dla familji zdarzeniu (jego wyrażenie). Ciesząc się przytém, że tak pięknie ukończyłem już od roku nauki, do czego może dobre początki niemal się przyczyniły, proponował, czybym nie przyjął posady guwenera u niego: za stół, stancję, kilkaset złotych rocznie i pomieszczenie Felusia na pensji. Odpisałem mu bardzo grzecznie, że Feluś już będąc w piątej klassie w Gimnazjum, nie mógłby korzystać w jego zakładzie,

jedynie z czterech klass złożonym. Co zaś do mnie, mając inną o wiele korzystniejszą posadę, obiecałem mu, że jak tylko co sobie z moich funduszów oszczędzę, nie omieszkać odesłać mu kosztów, jakie musiał kiedyśłożyć na moje wychowanie.

Trwale są wspomnienia lat, gdzie dziecko w młodzieniaszka przechodzi i urazy z lat tamtych. Wiedząc ile płaca roczna od ucznia u niego wynosi, poprzysiągłem sobie już dawniej, że choć późno, częściami wszystko muszę mu zwrócić. Pajczer nic nie odpisał, gdy mu oszczędzonych parę set złotych posłałem, odebrałem tylko pokwitowanie od jego żony, przy liście nadzwyczaj grzecznym. Rozpocząłem więc zawód guwernerski na serjò. Jadłem ten kawałek chleba — czasem lekki, czasem ciężki, suchy i gorzki, tu i ówdzie. Feluś tymczasem skończył szkoły, kursa prawne, pojechał na uniwersytet: dziś jest urzędnikiem sądowym, ma niezły etat, łaski wielkie u przełożonych i nadzieję kariery. Może i ja mógłbym być nauczycielem w szkołach publicznych, ale kiedy widzę Felka, oczywisty obraz matki — tak miłutkiego, takiego paniczka, eleganta: serce mi rośnie z radości, zdaje mi się, że oj-

ciec i matka z podziękowaniem odzywają się do mnie z tamtego świata. A zresztą mam już trzydzieści kilka lat i zamiary inne zupełnie...”

III.

— Jak mamę kocham, co za dobry człowiek! A jak brata kocha, jak mamę kocham! — pomyślała z rumieńcem panna Paulina Ufalska, tylko co przerzuciwszy ten ustęp. W jej błękitnym pokoiku, zimowe słońko tulało się łagodnie po panińskich mebelkach i łagodniej jeszcze oświetało hożą twarzyczkę, o ciemno-blond włosach i jasnych oczach, co tylko u Polek mogą być tak rzewne i żywe zarazem. Westchnęła. Co wstrząsnęło młodą piersią nie na żarty, że aż odcień marzenia czy zadumy osiadł na gładkiem, niewysokiem czole? Jeśli to pierwsze śmielsze marzenie, pierwsza zaduma czulsza; jeśli popędowi wyobraźni, biegowi myśli towarzyszy żywsze bicie serca, co w tych latach motylić oddycha tylko prawda, choćby ją tłumiono; to z samych

kwiatów i dźwięków plonie czysty ogień w młodocianej duszy.

Szczęśliwy ten, czyja postać przesuwa się pierwsza w umyśle dziewczycy! Choćby nie wiedział o tém i nigdy nie miał dowiedzieć się, choćby przesunął się tylko jak cienie chińskie po ścianie, zawsze szczęśliwy!

Dzwonek rozległ się w przedpokoju, pędem podniosła się z sofy, otrząsnęła z czoła jasne sploty, podług ówczesnej mody wijące się w lokach, pędem przebiegła przez pokój jadalny, izdebkę pany służącej do pokoiku brata. Zeszytik z notatkami w książkę włożyła i wróciła— jakby nigdy nic. Ktoś wszedł do salonu, zajrzała przez dziurkę od klucza. Przyszedł właśnie z miasta ojczym jój, pan Mieczysław Ufalski, co się z wdową po starszym bracie swoim ożenił, pocałował żonę w rękę i usiadł w fotelu. Namyślała się przez chwilę, czy pójść do rodziców, ale ciekawość, co już ją parę razy do pokoiku brata zawiodła, gdy wychodził na przechadzkę z guwernerem, przemogła i teraz. Przesunęła się cichutko na palcach i stając we drzwiach uchylonych, spojrzała mimowoli na dagerrotyp wi-

szący nad łóżkiem Nepomucena. Wyobrażał on jego brata Feliksa w uniwersyteckim jeszcze mundurku przy szpadzie. Zbliżyła się, a z téj blaszki, w piękne ramki roboty Nepomucena oprawnej, można było wnioskować o składnych rysach, i jeżeli nie o pięknych, to o sporych oczach pana Feliksa. Nagle zapłonila się w obawie, żeby kto nie był świadkiem dziecinnéj ciekawości, ze schyloną głową wróciła do błękitnego pokoiku—znów jakby nigdy nic. Ciekawości nie brak było pannie Polci, ależ rok siedmnasty! Przypadkiem weszła do pokoiku brata, zobaczyła, że z historji powszechnéj wygląda jakiś zeszytik ze złoconemi brzegami; myśląc zapewnie, że to obrazki, otworzyła książkę—aż tu spostrzegła tytuł: *Notatki z przeszłości*, z dewizą, którój nie zrozumiała, wyjętą z prawa rzymskiego: *Honeste vivere, neminem laedere, suum cuique tribuere*, (Uczciwie żyć, nikomu nie szkodzić, oddać słusność drugiemu). Zeszytik ten tak był ozdobnie napisany błękitnym atramentem, jakby sztychowany. Z początku chciała włożyć nazad, ale rzuciwszy okiem tu i owdzie, zajęło ją zwierzenie pana Szyka: zaczęła czytać i dokończyła.

— Szyfonierka moja gustowniejsza, mamy pudeleczek za to ładniejsze, ale mój Pan Jezus jak będzie oprawny! — pomyślała panna Polcia, porównywając w myśli arcydzieła introligatorskiego kunsztu, któremi Szyk zajmował się zawsze i kilka już pracowitych wyrobów i cacek dla matki i córki wykonał. Wyjęła z szyfonierki włóczkę, wzorek do haftowania na kanwie, przejrzała się w lusterku i otworzyła drzwi od salonu.

Pani Ufalska siedziała z robótką na kozetce, otwarta książka leżała przed nią na stoliczku. Była to kobieta lat trzydziestu kilku, do czterdziestu może. Bardzo starannie zawsze ubrana, wydawała się zdaleka znacznie młodszą, a zbliżoną może i starszą. Po oprawie oczu, dziś zapadłych i szklistych; po składzie rysów, cerą nieco żółtawą powleczonej; po połysku włosów, których ubytkowi sztuka z trudnością zaradzić pragnęła, — widać było jak musiała być piękną przed kilku laty. Wysmukła, ręki i nogi małej, gdy zawołowana szła lub jechała z córką po mieście, ciekawość młodszych i starszych włóczęgów trotóarowych pobudzała nieraz. Mąż jej, młodszy od niej o lat kilka, na pozór jeszcze wydawał się młodszym i był bardzo przystojnym mężczy-

zną. Wzrost wyniosły, oko żywe, może nieco za grube usta, mocny zarost, śniadawa cera, nadawały obcą, jakby włoską cechę jego twarzy. Przyjrząwszy się jednak bliżej wydatnym szczegółom, kościom policzkowym, kształtowi nosa i wypukłemu czole, jeśliby nie przekonało się natychmiast, że najczystsza krew swojska płynie w jego żyłach; to w ruchach, mowie, w obejściu, była ta poufałość łatwa i wdzięczna, a nam właściwa. Palił cygaro i niedbale siedząc w krześle patrzył w książkę, jakby się pilnie bardzo zaczytał. Na ukłon Polci grzecznie kiwnął głową, mówiąc żartobliwie

— Jaśnie panna dopiero teraz widzialna?

— A jaśnie wielmożny papa zupełnie niewidzialny, bo od rana nie było go w domu, nawet na śniadaniu—odparła swobodnie dziewczynka, siadając przy oknie i zdaleka pokazując z uśmiechem matce postęp roboty na krosienkach. —

— Zagraj cc, Polutku! Jeszcze nie grałaś dzisiaj—rzekła pani Ufalska, przyglądając się uważnie twarzy męża, który już od kwadransa trzymając w ręku książkę, nie przewrócił jeszcze stronnicy i często oczy wlepił we drzwi, jakby

się kogoś spodziewał, lub téż na portjerze plamy jakiej dostrzegł.

Polcia zaczęła grać jakiś utwór Gorji: grała nieźle. Ufalski z początku takt dawał książką, cygaro wyjął z ust, potém chciał je włożyć za palonym końcem, o mało co się nie sparzył i wlepił znów oczy w piec, a zapatrzył się tak pilnie, jakby na kaflach bardzo coś ciekawego zobaczył. Polcia przestała grać.

— Nadzwyczaj pięknie!—rzekł z uśmiechem— Czy jeszcze nie usłyszemy czego? Może zaśpiewać pani raczy?

— Chyba tego mazurka Dobrzyńskiego, co papa lubi.

Matka zawołała jój i poszepnęła parę słów, widać pilnych, bo Polcia wybiegła, przyobiecawszy, że na rozkaz papy mazurka potém zaśpiewa.

— Co czytasz mężu tak pilnie?

— Ciekawy gospodarski artykuł o drenowaniu.

— Widać trudny przedmiot, bo już od godziny tę samą stronicę przeglądasz,

— Nielatwy, wcale nielatwy—odparł mąż lakonicznie, ciskając w popielniczkę cygaro niedopalone.

— Zdaje mi się, że cię głowa boli—wtrąciła nieśmiało kobieta, przyglądając się mu badawczo i niespokojnie.

— Nie.

— Katar masz?

— Trocha.

— Co ci jest?

— Co mi jest? Wilgoć na dworze wpływa na nerwy i humor, a to prawda, że dzisiaj nie mam humoru. Gdzie Julek tak długo siedzi z Szykiem?

— Poszli odwiedzić wuja. On nieco cierpiący; myślałam, że i ty wstąpisz do niego. Czy nie zapomniałeś prosić Derławskich na przyszły piątek?

— Nie byłem.

— Gdzieżeś bawił tak długo?

— Trocha za interessami, trocha u znajomych. Patrzajże, Klociu, Kotłowicz jeszcze z Łasisk nie odpisuje.

— Daremnie taisz się przedemną, Mieczysiu! Spostrzegam, że od dwóch dni coś ci dolega. Znam cię tak dobrze. Każdy rys i drgnienie twarzy twojej, tak się zaraz przy zmartwieniu zmienia—i odbija mi w sercu. Czy nie zasługuję na

zaufanie? — zapytała na wpół pieszczotliwie, na wpół z wyrzutem, biorąc go za rękę.

Pan Mieczysław popatrzył jęj chwilę w oczy z bolesną jakąś tkliwością, uśmiechnął się z przymusem i usiadł przy żonie.

— Słucham spowiedzi — szepnęła kobieta, opierając mu głowę na ramieniu.

— Nie ma grzechu — odrzekł mąż, widocznie walcząc z chęcią wyznania, zwierzenia.

— Jakże spekulacje twoje?

— Które? — zapytał skwapliwie, wdzięczny za deseczkę, po której możeby mu się udało przejść do zwierzenia, a potrzebował go bardzo.

— Ten proces, coście z Derławskim nabyli?

— To nie spekulacja, to interes murowany, złoty! Derławski by mnie przecie darmo nie namawiał. Za miesiąc, za dwa, zarobimy na tém z pewnością kilkadziesiąt tysięcy, może i sto. I prezes i senator zaręczali mi, że wygramy sprawę. Mecenasowi trzeba będzie podforsować, ale to mała rzecz... co innego mam teraz na myśli.

— Cóż? — zapytała cicho żona.

— Słyszałaś zapewne, że Chalkiewicz chce sprzedać swój majątek. Jak wiesz, bardzo mu teraz potrzeba pieniędzy.

— Zkądże mam wiedzieć o tém? Nie znam go zupełnie.

— Znasz go przecie. Z Leleńców.

— Przejeżdżałam przez Leleńce, ale słyszałam, że podobno stryj jego chce to nabyć.

— Gdzie tam! Mając kilkadziesiąt tysięcy, można dwukroć-sto-tysięczną fortunę nabyć z łatwością, a potem sprzedawszy część boru, (tam są pyszne bory, grunta żytne ale i łąki, zabudowania co się zowie), i do Towarzystwa za lat parę przystąpić można. Byłby to piękny dla nas interes.

— Zkąd wziąć kilkadziesiąt tysięcy?

— W tém sęk właśnie. Ja całą sumkę moje i naszą zaangażowałem w tym processie.

— Jakto? całą? Wspominałeś mi przecie, że dwadzieścia tysięcy pożyczyłeś hrabiemu?

— Cóż ci było o tém wspominać? Rozpoczęłyby się zaraz delikatne, a tém bardziej dotkliwsze ubolewania, z dodatkiem łez i utyskiwań na spekulacje nieszczęśliwe, na marnotrawstwo, niebywanie w domu i tam dalej. A przecież to nie ja—rzekł głośniej, wstając i pot z czoła obcierając—chciałem jechać do Warszawy. Mnie

bardzo dobrze było w Łasiskach. Pani to coś przywidziało się, najprędzój to, że radcostwo bawią w Warszawie. Daléjże i my za nimi. Ale ta chęć rywalizowania z ludźmi, o tyle od nas bogatszymi, to śmieszność! Oni pierwsze piętro i my pierwsze, oni wieczory i my wieczory, oni często w teatrze i my także. Możebyś i uczciwego Szyka nie była przyjęła tak chętnie, a przynajmniej targowałabyś się z nim o płacę, gdyby nie to, że przedtém był u nich nauczycielem.

— Zawsze ta sama śpiewka! Ile razy masz zmartwienie, karmisz mnie przywidzeniem, tylko w twojój głowie urojoném. Pobyt w Warszawie dla Polci, dla Julka, co trzeba go było oddać do szkół, koniecznie jest potrzebny. Gdybyś, wybaczone, chciał się nieco umiarkować w manii spekulacyjnej, dochód nasz z pewnością na roczne utrzymanie wystarczył. Radcostwo są bogaci, my wiele nie mamy, ale przyzwoicie żyć możemy.

— Karmię cię przywidzeniem? Przypuśćmy nawet, że sobie czasem coś uroję, ale ty masz przywidzeń dzień w dzień tysiące — i to najnieprawdopodobniejszych. Przyjdę późno do domu,

nuż płacz, szlochania, jęki: jakaś rywalka, może gra w karty. W cóż ja gram? W komers gram— ale czy się to grą nazywa? Karmię cię przywidzeniami? To wy tak nas nie raz nakarmicie, wymęczycie, nadręczycie, że potem wszystko się gorzkim zdaje w domu, gdzie zamiast wesolej twarzy, spostrzega się krzywą, grymaśną lub urażoną. Kobięta jest aniołem, ale dzień w dzień z nią żyjąc, nawet anioł dokuczyć potrafi. I dziwić się tu, że czasem chętnie i do butelki i do kart zasiąść można: to jest do preferansa lub wista. Co tu robić w Warszawie? Tu fatalnie nudno! Gdybyśmy mieli dzieci!

— Na wsi nie raz ci się gorzej nudziło, zwłaszcza też przy końcu. Powtarzałeś często, że przyzwyczajony jesteś patrzeć na ludzi, nie na inweterze, drzewa i chałupy — odparła cicho żona, której łzy mowę tłumily.

— Przepraszam cię, kochanie — zawolał mąż skwapliwie, siadając znów przy niej i biorąc ją za rękę.— Byłem może niedelikatny, ale to pierwsze i ostatni raz się zdarzyło. Szczery jestem, jak wiesz i co tylko mam na sercu, natychmiast wypowiedzieć muszę. Wszak mi wybaczasz?

Wierzaj, że potrzeba mi przebaczenia i pociechy, bo w głowie się mi kotluje. A zresztą kto się kocha, ten się klóci; my nawet nie przemówiliśmy się — dodał tkliwiej, całując ją w rękę. Uczuwszy silnie, kochające ściśnienie, nie patrząc jój w oczy, prędko mówić znów zaczął: — Na honor co tu począć, co począć? Czyba oszaleję!

— Z czém począć?

— Chcesz prawdę wiedzieć? {Oto koniecznie za trzy tygodnie trzeba mi przynajmniej czterdziestu tysięcy złotych.

— Czterdziestu tysięcy? Na co?

— Trzeba nabyć od Chałkiewicza Lelence, bo i mnie gwałtem trzeba niezależności. Nuż process przegram, bo wszystko możliwe na tym świecie. Wprawdzie tu jest niepodobieństwo; musi się udać, radca zanadto szpakami karmiony, żeby miał ręce maczać w niepewnej spekulacji. Przypuśćmy jednak, że przegram, nie mam już mojej własnej dzierżawy, to będę zależał wprost od waszej łaski, a przecie ty sama tegobyś nie chciała, Klociu! Przynajmniej czterdziestu tysięcy.

— Skądże wziąć? O Karpatce, majątku

dzieci i mówić nie wolno. Moje, a raczej nasze Lasiska, warte są dwakroć sto tysięcy tylko, chociaż dochodowe.

— Więcej warte. Radca sam dalby dwakroć pięćdziesiąt.

— Na hipotece Towarzystwo, pięćdziesiąt tysięcy już zaciągniętego długu, wujowi winniśmy dwadzieścia tysięcy.

— Co mnie, kochanie, do twojego majątku, on wiecznie będzie twoim! Mnie trzeba kawałka ziemi, tobyśmy prędej i hipotekę Lasisk oczyścili, bo przecie pracę moję nikomu innemu, tylkobym tobie poświęcił. Ja w tej bezczynności i zależności wytrzymać nie mogę. Tylko czterdzieści tysięcy!

— Ale skąd? Jakim sposobem?

— Gdybyś wuja poprosiła. On ci nie odmówi!

— Niepodobna. W interesie własnym nie możemy.

— Jeżeli za trzy tygodnie nie będę miał trzydziestu pięciu tysięcy, jak moją żoną jesteś, jak Bóg w niebie, chyba w łeb sobie strzelę! — zawołał gwałtownie Ufalski. Oczy się mu za-

czerwieniły, usta zadrżały i żyły nabrzmiały na czole.

— Na miłość Boską, co mówisz? — drżąc, jęknęła żona. — Na co ci tak koniecznie potrzeba pieniędzy?

— Muszę korzystać ze sposobności. Teraz, albo nigdy! Niezależność! niezależność!

— Mieczysławie! nie ufasz mi, to niedobrze! Musi być jeszcze inny jaki powód.

— A więc—szepnął mąż, ochłonawszy i wahając się czy ma wyznać, — kilka dni temu zaszedłem do hrabiego na preferansa. Grałem szczęśliwie, potem jakoś utworzył się faraon. Pierwszy raz téj zimy byłem przy tak grubéj grze i pierwszy raz zagrałem w hazard, myśląc, że jak zysk z preferansa przegram, wstanę i pójdę do domu. Tymczasem... jakoś się zabrnęło, zwłaszcza po kolacji i... przegrałem...

Tu zastanowił się i po chwilowym przestanku dodał: — dziesięć tysięcy!

— Mój Boże! — szepnęła żona.

— Przegrałem do jenerała i przeprosiłem go, że nie mam tyle pieniędzy przy sobie. Hrabia zapłacił za mnie, mówiąc: Polegam na tobie,

oddalbyś mi po jutrze, ale tych pieniędzy dopiero będę za dwa tygodnie potrzebował. Byłem dziś u niego, grzecznie prosząc, żeby mi termin jeszcze o tydzień przedłużył. Przystał na to, skrzywił się trocha i dodał: — Ale teraz polegam już z pewnością, że dotrzymasz słowa. Nie dotrzymać niepodobna! Sama to widzisz! Przysięgam ci, Klociu, na to, co najświętsze, na miłość naszą, że to ostatnia lekcja, ostatni raz w życiu dotknąłem się karty.

— Daj Boże! — szepnęła żona ze łzą w oku. Na cóż ci koniecznie czterdziestu tysięcy?

— Korzystając właśnie z bolesnego, bardzo bolesnego doświadczenia, wezmę się energicznie do reformy. Z Chalkiewiczem muszę zrobić interes; a nie, to do Łasisk pojedę i Warszawę nie prędko znów obaczę. Julka mźnaby oddać na pensję i ty wyjeżdżaj stąd, bo tu nas jeszcze spotka nieszczęście.

— Dajesz mi słowo, że prócz tych nieszczęśliwych dziesięciu tysięcy, reszta ci na nabycie potrzebna?

— Najświętsze słowo! — odparł pewnym głosem, chociaż oczy smutno patrzyły. — Zrzu-

cam pychę z serca — mówił żywo dalej — poproszę Władzia, wiesz, księcia Władysława, z którym tak dobrze zawsze żyłem, żeby mi reszty summy dopożyczył.

— Skąd wziąć? — głośnie myślała żona. — Chyba może wuj pożyczylby mi dziesięć tysięcy na słowo, choć wiem, że się gniewać będzie. Chyba znajdziesz kogo takiego, co...

— Ale znajdzie! — zawołał mąż skwapliwie. — Dziś jeszcze pojedę do mecenasa. Jak mi zaręczy i sam się przekonam, że process nasz dobry, to mam takich stu, nie jednego, co za prostém twojém zaręczeniem, za podpisem, bez obciążenia hipoteki, choćby dwadzieścia tysięcy pożyczą.

— Ach to najgorzej wdawać się z lichwiarzami. Sam nie raz mówiłeś.

— Nie obawiaj się tym razem, mam Władzia na pomoc, a bądź przekonana, żebym cię na podpis nie narażał, gdym nie był pewnym swego.

— Nuż proces przegrasz?

— Więc mi Klocia już nie ufa? Możesz mnie wybawić, przeciąć to pasmo złych myśli, co

maie otacza nie raz. Spokój, co nam teraz pierzcha czasami, znów powróci, nazawsze powróci — i wachasz się jeszcze?

— Oj Mieczysławie! Mieczysławie! Pamiętaj, żeby to było poraz ostatni! Krzywda moja, to nic, — ale krzywdy moich dzieci bym nie przeżyła! — odparła żona, obejmując go za szyję.

IV.

„Panie!

„Liczyłem na niego, jak na człowieka honoru. Daleś mi pan pięć terminów i na żaden nie stawileś się na słowie. Wprawdzie dług to kartowyy; tém świętszy w każdym razie, że ewikcja na dobrej wierze się opiera. Pan graleś w moim domu i ja za niego zapłaciłem, nie wymagając piśmiennego zapewnienia. Dopóki mi samemu nie było potrzeba pieniędzy, dopóty panu czekałem chętnie, ale teraz usilnie pana proszę, żebyś mi w przeciągu dwóch tygodni, które panu do trzech przedłużam, piętnaście tysięcy zapłacił, albo téż natychmiast dał stosowne zapewnienie, jeśli pan sobie nie życzysz, żebym wyłożonych przezemnie pieniędzy za darowane

uważał. Za wielki to podarek! Chcę wierzyć, żebyś pan żadnego nie przyjął, tém bardziej więc przypominam i oczekuję odpowiedzi.

January Mruczek.

„Jaśnie Wielmożny Łaskawy Dobrodzieju?

„Donosząc JW. Panu Dobr. że jestem zdrów, Bogu dzięki przypominam iż powinieneś pan mieć wzglądów na moje cierpliwości w którym i grzeczność niezaprzeczone i rachunek na pańskim honoru gdybym chciał, to żona pani Dobrodzika jakiej nie mam honorów znać nawet musiałaby zapłacić lub zaręczyć moje długi jakich panu zaliczyłem ponieważ pan bardzo grzeczny człowiek jest i my dawne znajome przykrość robić takowemu o ile możności nie mam ochotę przypominam aby my z naszymi dwa tysiące rubelków interes wkrótkim czasie załatwiły — inaczéj sam pan sobie winę przypisze jeżeli na właściwą drogę po odbiór moich należnościów udać się koniecznie będę potrzebny czekam pana w tych dniach u siebie z winnym, uszanowaniem!

Najniższy przyjaciel i sługa bardzo uniżony,

Adam Dzierłatka.“

„Kochany Miechu!

„Miejże wzgląd, u licha, na moje położenie! Gdybym był kawalerem, lub miał żonę bogatą jak twoja, tobym o tém zapomniał, ale ja prócz żony, mam jeszcze troje dzieci. Jako staremu towarzyszewi, pożyczyłem ci bez rewersu pięć tysięcy. Kwartał temu miałeś mi oddać, a do dziś dnia nie widzę listu ani pieniędzy. Powiedz żonie, pokaż jój te kilka słów, toć przecie zapłacić możecie. Zmiłuj się, niezaniedbuj. Drobiazg dla ciebie, dla mnie bardzo wiele znaczy. Zaklinam cię, żebyś tego listu na równi z poprzedniami nie uważał, bo chyba wymagasz, żebym od ciebie weksłu zażądał i sprzedał go ze stratą jakiemu żydowi. Odpisuj—że mi, całuję cię stary wisusie!

Twój Antoni.“

„Niedobry Mieczku! Czy godzi się tak zostawić i opuszczać Weronikę, szczerze i z bezinteresownością przywiązałą do ciebie? Gdyby jeszcze ten *zaklat* uczuć naszych nie wymagał kosztów wielkich, bo zdrowie ma tak słabe, nieboraczek tobym pewno do ciebie nie kore-

spondowała. Wy mężczyzny myślicie, że my od od was nie dumniejsze, a ja po sobie miarkuję, że nie prawda! Midziuś bardzo cierpiący, ząbek mu drugi już widać, ja w najgorszym położeniu tak, że wczoraj obiad od fracuza na kredyt mi przynieśli — a tu garderoba pomięszkanie, praczka, dwie służące, rachunki od krawca damskiego, od rękawicznika, od kupca, z restauracyi procent Szmirgesowój. Zmiłuj się, odwiedź mnie albo przyślij ze sto rubli. Strzesz się Mieczku, bo wpadnę z Midziulkiem do Was i narobię kszyku.

Twoja do grobu cię kochająca.

Weronika.“

Prócz tych korespondencyj, z których list Mruczka i Antoniego najbardziej go zmartwiły i zgniewały — aż je pomiał w rękę; Ufalski przeczytał jeszcze rejestrzyk drobniejszych dłużków swoich w pularesie. Wstąpił po drodze na śniadanie do kupca, tam się rozpamiętywaniu finansowemu oddawał. Dzień był mroźny, ale pogodny, nie wziął więc dorożki i piechotą dążył ku Lesznu. Przechodził przez Krakowskie Przedmieście, Senatorską, Miodową, Długą, była

to pora przedobiadowa, o której, mimo zimy, można spotkać mnóstwo pieszych włóczęgów, w rozmażne futra, lub skromniejsze paltony ubranych. Na prawo i lewo witano się z nim bardzo licznie.

— *Bonjour mon cher! Mon vieux, bonjour!* Jak się ma książę i pan? Panu naszemu wszechwładnemu! Miechu, dzień dobry! Patrzaj, nasz Mieczuś! Panu Ufalskiemu Dobrodziejowi! i t. p.

Po niedbałych kiwnięciach głowy, lekkich uchyleniach kapelusza, po sposobie ściśnięcia ręki i kilku wyrazach, w przechodzie szepniętych, widać było najczęściej raczej poufałość jak zażyłość, owo niby koleżeństwo, co przy butelce, przy zielonym stoliku i przy innych tym podobnych zebraniach, łączy ludzi rozmaitych stanów i usposobienia.

Ufalski, co zwykle pierwszy witał; przyśpieszając dzisiaj kroku, kiwał tylko głową od niechcienia, lub jak najprędzej zbywał znajomych.

Raz na widok powozu, gdzie się rozwałił modniś z mocnym zarostem, cofnął się do bramy i dopiero w kilka minut na ulicę wrocil.

— Mój Boże! — pomyślał z westchnieniem.

— Dawniej platałem figle. Dziś, mając lat trzydzieści kilka, jakże zabrnąłem!

Częsty to wykrzyknik zastanowienia u ludzi, co wiedzą o własnych wadach, ale ich nie znają. Bylby to szczęśliwy objaw, gdyby wiódł do leczenia się ze złego, a przynajmniej usiłowania kuracji. „Kto przyznaje się do winy, połowę jęj zmazuje“ — powiada przysłowie. — W obliczu atoli ściślej słuszności, tyleż złego zrządza jawny, co skryty winowajca.

Szczere przyznawanie się do wad, nawet kiedy nie jest nawykniem bezczelném lub zobojętniałém, rzadko daje rękojmię poprawy lub żalu, a często bywa tylko przestankiem, wytchnieniem mimowolném. Po zaczerpnięciu powietrza, puszcza się w dalszą drogę z oczyma zawiązanemi jak przedtém. Obrachunek chwilowy z samym sobą, także być może tym tylko przestankiem, tym popasem, bez którego i dziko cwałujący rumak obejść się nie może.

Ludzie żywych namiętności, żywěj wyobraźni, a malěj ilości rozmysłu, miewają zawsze wrażliwy umysł a nie raz i zdolny. O ileż szczęśliwszą od nich poziomsza zdolność, mniej-

sza żywość czucia, a większa ilość rozmysłu! A o ileż wygodniej tym, co ich natura, okoliczności, wychowanie, obdarzyły zdziebelkiem szanownego daru towarzyskiego, zwanego tam zdrowym rozsądkiem, owdzie ładem, tutaj taktem.

Przypuśćmy trzech ludzi z tych trzech gatunków! Niech każdy z nich puści się w życie celem użycia, niech da popęd samym błędnym lub lekkim chęciom ustroju swego. Pierwszy najmniej będzie błdził lub najmniej będzie chciał błdzić; dwaj drudzy nie tak gorączkowo, nie tak szczerze i okazale, ale za to wytrwalej chwycąc będą nikle przyjemności, zwodnicze uciechy i brudne zapomnienia hulackiego-szału. Zdanie ludzkie pierwszego bezwarunkowego potępi, drugim i wybaczyć gotowe. Dla czego? Pierwszemu namiętność nie dozwala ukrywać się; drudzy są oględniejsi i skrytsi.

Mieczysław Ufalski, nim się ożenił, na sporąg siedząc dzierżawie, duszą i ciałem należał do hulackich zebrań, jakich wtedy niezaniebdywały pieniądzejsze koterje młodzieży, zwane także modnemi lub pańskimi. Fundusze jego nie odpowiadały może wydatkom paniczów, z którymi

obcował, ale małą tę różnicę wynagradzał miłą powierzchownością, ogladą towarzyską, w gawędce pozorem jakby zdźbła ukształcenia, bo czytywał z rana i w nocy, w łóżku najłatwiejsze, najłżejsze utwory francuzkie, czasem i nasze, co go obdarzało kwiecistszém wyjęzyczeniem. — Miał nadto dobry humor, tak pożądaný zawsze i wszędzie.

Nie dziw więc, że towarzystwo z nim było miłe i stało się niezbędném dla ludzi myślących od rana do wieczora nad zabiciem czasu, nudnego u nich czasu, ożywianego sensacjami wesołości, ale nie wesołością.

Tak uprzedzające wrażenie wywarł w męskiej i w kobiecój zamożniejszej koteryi, zjeżdżającej do Warszawy dla tańców i małżeńskich kombinacyj. Świetne niby stosunki przyjacielskie, a liczne i bardzo znaczne familijne ułatwiały mu przyjęcie. Po francuzku mówił dosyć płynnie, ubierał się starannie; krzepki w nogach, wycinał głośnego, a mimo to salonowego holupca. Mówiono, że w polce nie tańczy, ale rysuje ją po posadzce. Przystojny bardzo i to po mężku, z wyrazem otwartości w spojrzeniu, w rozmowie

niezłościwy, ograniczając ambicję na bywaniu w świecie i przyjaźni z tytułową młodzieżą, — mógł się podobać.

Był bo czas, że jakby za sposób wydobycia na jaw uczciwój nazwy szlacheckiej, uważano głośne tracenie funduszów nie raz szczupłych w zamożniejszym towarzystwie. Chwilowe szumienie i bankructwo przyszywało jakby galon rozgłosu do nazwiska. Dziwaczna ta epoka wyszła już z mody, zwałając większą winę na płochą młodzież, niż na podżegaczy, podpalaczy podbudzaczy fantazyj i dzieciństw u szaleńców, nie raz małoletnich. Mieczysław nie wiele miał do stracenia: długi roczne tylko do połowy dochodów doprowadzał. Gdy woreczek wysuszał zię za nadto, udawał się o pomoc do gościnnego worka brata swojego, znacznie starszego, który go kochał nadzwyczaj. Wysłuchał zawsze kazania, chociaż prośby nie tak często się zdarzały.

Ale gdy zaczął wyliczać świetne znajomości swoje: zażyłość z księciem R., traktowanie *per ty* młodszych książąt B. C. i D.; mieszkanie wspólne z hrabią S., wizyty częste, poufałe u hrabiego T.

i U.; unizoną grzeczność barona Q. i t. d.; gdy od niechcienia opisywał wspomnienia pikników, gdzie bywał czasem gospodarzem; zaszczyt piérwszej pary z dostojną pięknością; gdy nawet wspomniał o wygranym zakładzie, że dwie butelki Cliquot'a żywcem wychyli... na zadumaną twarz jego brata, bardzo rozsądnego, rządowego, praktycznego obywatela, a przedtém żołnierza, mimowolny uśmiech pobłażliwego zadowolenia występował. W karty nie był nigdy bardzo szczęśliwy, ale téż nie mógł skarżyć się i na wielkie nieszczęście—trzymał się, jak to mówią, w mierze.

Wtém — Mieczysław psze stał grać w hazard zupełnie, do swoich koteryj rzadziej zaglądał, zdawało się że i dłużków zaniecha. Przeciwnie. — Trafił dwukrotnie do brata, od żydków wziął na wysokie procenta nieco pieniędzy, u przyjaciół nawet zapożyczył się. Nabył zgrabny koczyk, do niego walną parkę karosów w angielskich szorach. Siwy ogier jego Falsdoff wygrał trzecią nagrodę na wyścigach. Wszystko to bardzo kosztuje w Warszawie.

Humor miał wesoły ale nie tak wylany jak przedtém, w teatrze bywał często, na balecie rzadko,

w towarzystwach kobiecych tak jak dawniej. Przypuszczali jedni, że ukrywał stosunek miłosny z tytułowym jakim ideałem; drudzy, że mu przyszła fantazja do koni, ekwipażu i anglomanii.

Niejaka pani Zoracka, jenerałowa, powinowata jego, otworzywszy w Warszawie salon przyzwoity ale świetności nie najblyskotliwszej, bo na to fortuna acz dostatnia, nie pozwalała; tak szczęśliwie jednak rozpoczęła oszczędne wieczory i zebrania u siebie, że pierwszej zaraz zimy starsza jej córka świetnie wyszła za mąż, za jednego z przyjaciół Mieczysława. Był to małżonek nazwy brzmiącej, zdrowia trocha zwątlonego i fortuny nieco nadwerężonej; w każdym razie znacznie większej od posagu jenerałowny. Gdy starsza córka tak dobrą zrobiła partję, przypuszczała matka, że młodziej, przystojniejszej i otoczonej już aureolą tytułu siostry, pójdzie tém łatwiej. Przedstawili się konkurenci, z pośród których najwytrwalszym: bogatemu wdowcowi panu Derławskiemu i drugiemu, hołyszowi z tytułem, nie dozwoliła nawet bywać w charakterze konkurenckim. Śród zabiegów macierzyńskiej dumy, w oko i w serce panny wpadł jak

z procy Mieczysław Ufalski. Jak zgodne narzędzie, serce jego oddźwiękło także potężnym śpiewem uczucia. Pod wpływem szafirowych oczu, kilku słów przelotnych a tak wymownych—ocknął się nagle; przy ściśnięciu ręki, której drganie czuł przez rękawiczkę, przy obejmowaniu kibici w tańcu, co zdawała się mu stąpić z piersią—zawstydził i zastanowił się nad dotychczasowym życiem bez celu.

Rumieniec, słodka wymówka i łza dziewczyny wlała mu męzką wolę, to niewzruszone postanowienie ugruntowania sobie przyszłości przez nią i dla niej. Przystojni bardzo oboje, sfery i wyobrażeń jednakich, z właściwą różnicą wieku, mimowoli lgnęli do siebie. A wzajemny szacunek i czczy przepis konwencjonalny zniewalając ich do tajenia zawiązków prawdziwego uczucia, ciskał nań urok tajemnicy, już samój przez się uroczej.

Tyle uczuć i wzruszeń nowych, zagrawszy od razu we wrażliwém sercu; tyle myśli skierowawszy się namiętnie do jednego przedmiotu, olśniły go jak pryzmat barwami różnowzorowe-

mi. I miłości własnej gładki kolerek wcisnąć się tam potrafił.

Pochlebiało mu nieco, że panna w mniemaniu wielu do wysokięj partyi przeznaczona, jemu niespodzianie odda rękę, a wtedy mając szwagrem hrabiego skuzynowanego tak świetnie, wszedłszy w kolligacje wysokie, doda blasku nie tylko sobie, ale i nazwie Ufalskich. Posag panny, resztki własnego mienia, powinnyby mu były (tak mniemał) wystarczyć do stwarzania sobie coraz świetniejszej niezależności. Uczuł nagle żyłkę gospodarską, spryt spekulacyjny, rzutność, energję i wytrwałość! Ona także marzyła i myślała wiele, ale nie tak jasno — urzeczywistniała sobie przyszłość, ale nie tak barwnie i nagle. Piérwsza uczuła, piérwsza rozetliła płomień, a potém ożywiać musiała własny gwałtownością tamtego, Nareszcie wśród wzruszeń, ulud i marzeń, sam pan radca *czas* zniewolił ich pomyślcć o przyszłości, przyrzec i przysiędz sobie, że się połączyć muszą. Przed żadném przypuszczeniem, nawet przed myślą nieposłuszeństwa matce, przed rozgłosem *wykradzenia* nie cofały się myśli i słowa panny.

Jenerałowa nie mogła tego nie postrzegać. Córkę pojmowała i знаła tak wybornie, każde jej spojrzenie odgadła zawsze. Ufalski pożądanym był u niej gościem dla własnych przymiotów, dla stosunków z młodzieżą i mimowolnego urzędu wprowadzacza, który przeszłego roku tak szczęśliwie rozpoczął, a i tego roku niemało przyczyniał się do utworzenia modnego pasa, co jak za kometą ogon, za młodszą siostrą się ciągnął. Niewiadomo, czy wiedziała o potędze związku, ale pewną była, że córki nie wyda za „*cet aimable Monsieur Miccislas.*“

Tymczasem odpalony ów holysz z tytułem dostrzegł, może zmyślił jaką śmieszność w salonie jenerałowej i puścił o niej wieści pomiędzy znajomymi. Zrobiła się ploteczka, plotka, potwarz i o mało co nie skandal. Doszło to do uszu ofiar. Ufalski przypuszczony do utyskiwań nad złością ludzką, poprzysiągł sobie, że sprawcy odszuka i zemścić się potrafi. Tém wyłączniej myśl tą go zajęła, im bardziej niniemał, że może zdoła sobie przez to zjednać jenerałowę. Niezwierzając się przed nikim, zaczął odszukiwać sprawcę. Przyszło mu to łatwiej niż się spodziewał, ale że mu nie wy-

padalo występować jawnie w obronie pokrzywdzonych, zaczął u nich bywać nieco rzadziej a częściej spotykać się z nieprzyjacielem wspólnym, któremu nawet to i owo bąknąć na nich pozwolił. W miesiąc potem, na śniadaniu u jednej Sylfidy, przemówił się z nim o drobiazg, powiedział mu niegrzeczność, ztąd poszło do nieprzyzwoitości w słowach. Zwykłym trybem wyzwano go, pojedynek miał być krwawy, umówili się, żeby go odbyć za granicą.

Gdy przyszedł z pożegnaniem do dam, których kolory przywdział, generałowa już wiedziała nie tylko o pojedynku, ale o każdym stąpieniu jego. Żałując w myśli, że Ufalski nie jest bogaty, ubolewała przed nim otwarcie nad stratą, jaką nie spodzianie jój salon poniesie; cieszyła się z przedkierownego powrotu, dodając, że pan Mieczysław będzie zawsze najmilszym i najpożądańszym gościem. Wdzięczność, którą wtój chwili czuła tak żywo, żeby mu dała pieniędzy na drogę, gdyby ich chciał zażądać; wdzięczność ta wiele dodała wagi każdemu jój słowu, a przyjazne usposobienie aż jój wtedy przypuszczać dozwalało, że

ten piękny obrońca mógłby zostać jej zięciem, gdyby mu z nieba spadły pieniądze. Życząc pomysłności i nawet błogosławiąc go na drogę, dała mu dowód niezwykłej i przyjaznej względności. Z pilnemi wyjeżdżała wizytami i prosiła go, żeby pożegnał się jeszcze z córką, która niebawem dokończy porannej toalety. Zostawiła ich samych, uprawniła poniekąd to sam na sam.

Każdy salon jakoś w dzień pusto i chłodno wygląda. W ubiorze *pro forma*, wśród luster, co mdławo ich postacie odbijały, wyszeptane zapewnienia jakoś niepewnie dźwięczyły, lzy obawiały się płynąć, nawet samo najżywsze zapewnienie ostrożnie i cicho spajało drżące usta. Zagadywany o powód wyjazdu, głosem, co mu serce rozdzierał, pan Mieczysław zmyślił dosyć zgrabnie jakiś familijny interes. — Nie zapomniał o delikatności męskiej, jeszcze subtelniejszej niż kobieca, nie wydał się przed matką i córką. — Gdy odszedł, zaraz na wschodach wsadził lornetkę w jedno oko, a drugie zmrużył, bo go lzy w powieki szczypały. A ona? Przywitała matkę z uśmiechem zwykłym, pojechała z nią nazajutrz na wieczór, trzeciego dnia była w tea-

trze, czwartego u nich był dzień *receptyjny*, piątego poskarżyła się na lekki ból głowy, szóstego zmizerniała, ale trzeba było koniecznie jechać na bal. Róż fałszował po raz pierwszy dziewczą cerę, tłok był niezmierny i o mało co kilka razy nie zemdląta. Wcześniej z matką wróciła do domu; w trzy tygodnie potém wstała dopiero z łóżka. Gorączka przerzedziła jasne, bujne włosy; ściemniła i przytłumiła promienie oczu; ściągnęła twarz i usta opiekła; ale że tę zmianę owiewał urok dziewiczy, że czysta krew szybko przemagać zaczęła nad niemocą chwilową, wszyscy mówili, że wypiękniła, wydelikatniała po gorączce.

V.

Przeciwnikowi Ufalskiego bardziej szczęście sprzyjało, — wpakował mu kulę w bok. Rana była głęboka i bardzo niebezpieczna. Po dwóch jednak miesiącach, będąc już prawie zdrów, śmiało wsiadł na kolój i miał wracać do siebie.

Oslabiony, uważając się za zdrowego, nie szanował się w podróży, rana zaledwo zabliźniona otworzyła się i — jak przy wszelkiem powtórzeniu złego, było znacznie gorzej. Bardzo się osłabił powtórnią kuracją, sami doktorzy doradzili ogólne wzmocnienie organizmu, w obawie, żeby się nie wdała gangrena. Brat, co go nadzwyczaj kochał i podczas nieobecności zawiadował jego dzierżawą i funduszami, to jest: wypłacał długi, zboże na pniu sprzedane odstawił i swoje mu pieniądze dosyłał, — sam go odwiózł do wód, gdzie bardzo powoli przychodził do zdrowia. W rok dopiero po katastrofie swojej wrócił do kraju, niespokojny, że na pięć listów, które pod umówionym adresem pisał do swojego anioła, — żadnej nie odebrał odpowiedzi.

Anioł tymczasem dowiedział się o pojedynku, mianowicie u kogo, na jakiem zebraniu kłótnia się wszczęła; — powodu już nie był ciekawy. Zaczął u nich bywać wtedy nie tytułowy wprawdzie, ale lepszy, bo bogatszy od hrabiego zięcia, elegancki, młody i powszechnie wzięty panicz z Ukrainy. Wpadła mu w oko zadumana

twarz ładnej panny, jakiś odcień tęsknoty w jej rozmowach zajął go, harmonizował może ze wspomnieniem stepów, wśród których się wychował, a zwłaszcza z urokiem poezji ukraińskiej, którą lubił i mówić o niej lubiał. Do towarzystwa matki przywykł powoli. Serce mu zagrało, oświadczył się. Panna znów się położyła w łóżko — ale tylko na tydzień, — poczem poprosiła jeszcze o kilka dni namysłu. Już mówiono, że zapowiedzi ogłoszą. — W tém Ukrainiec czy przekonał się, że to grało nie serce a wyobraźnia, czy téż przyzwolenie jej bez żywych oznak radości, dało mu do myślenia; czy arcyzręczne zapytania matki, przenikliwemu i nieco podejrzliwemu nie podobały się; czy téż podobno i w tém widoczna była ręka owego plotkacza, — dosyć — kiedyś oświadczył generałowej konieczny a niespodziewany swój wyjazd do Niemiec, z Niemiec do Paryża, stamtąd do Włoch, gdzie jego ciotka przez całą zimę i część lata bawić miała; z Włoch może na Wschód, ze Wschodu.... Oczéwiste zerwanie! Zgroza! Cała Warszawa wiedziała już o tém małżeństwie, panna zniżona w cenie. — Strach! Upłynie lat

parę nim się kto zjawi, Ufalski wrócić może. Okropność! Siostra jej i siostra szwagra, wesola i złośliwa hrabina Emma, zaczynają czasami opowiadać anegdotki nieco skandaliczne o młodzieży, w których Ufalski brał niemały udział, — Jenerałowa zawsze broni pana Mieczysława, swojego kuzynka, — nazywała go tak czasem. Zjeżdża nagle do Warszawy jedna ich krewna z chorym na artrytyzm mężem, z którym w najbliższej żył przyjaźni pan Derłowski, bogaty obywatel, co to kiedyś na liście konkurentów nie chciano go umieścić. Jenerałowa odwiedza z córką kuzynkę, czuwającą tak przykładowie nad chorym mężem. Odnawia się znajomość z Derłowskim, który zaczyna często bywać u jenerałowej; — małe jego oczki zawsze z uwielbieniem przyglądają się z pod konserwów siostrze pani hrabiny. Trwa to czas niejaki. Nagle rozchodzi się wieść mało stugębna, że Ufalski ożenił się w Berlinie z córką bogatego rzemieślnika. Jenerałowa nie może się posiąść z radości, że interesa jego majątkowe zredukowane już do zera, tak się naprawią świetnie. Wbrew wszystkim gawędkom o mezaljansach,

twierdzi, że pan Mieczysław bardzo mądrze postąpił. Gadano o tém i zapomniano. Panna jenerałówna jakoś rozmowniejszą się zrobiła, żywszą. Matka jój wspominała często o złotém pożyciu swoim z nieboszczykiem jenerałem, o dwadzieścia kilka lat od niój starszym; siostra kochała i chwaliła męża swojego, żałując tylko, że trocha roztrzepany, jeszcze za młody. Hrabi-na Emma swego czwórtdziesto-kilkoletniego małżonka traktowała jak smarkacza w rozmowie. Boleśnie bardzo boleśnie było dziewczynie po odjeździe Ufalskiego; nudno nieco po odjeździe Ukraińca; a małe oczki nowego kunkurenta, tak ciągle z pod konserwów ją wielbiły. Twarz miał jeszcze czerstwą, umysł praktyczny i dosyć ukształcony, obejście bardzo przyzwoite....

Ze łzami w oczach i ściśnioném sercem jechała w piérwszój karecie na swój ślub. A taki długi ciąg karet napelnionych wesołemi twarzami włókl się za piérwszą! Z suchemi oczyma wyjechała z mężem na wieś — trzeciego dnia po ślubie.

Długie cierpienie ciała, przyucza do ciepłego znoszenia innych dolegliwości. Ufalski nie

pokazał po sobie nikomu, że miał serce rozdarte na zawsze, — gdy wróciwszy do Warszawy, na pierwsze przywitanie usłyszał wiadomość o tém małżeństwie. Było to już po Wielkiénocy, ale że wiele domów jeszcze w mieście bawiło, zaczął się pokazywać w towarzystwach. Zaszedł i do jenerałowój. O mało jój łzy nie trysnęły z oczu, kiedy go zobaczyła. Nadspodziewanie — najpożądańszy gość dopominał się bardzo wesoło o dawne swoje prawa. Odgadła komedję, ale gdy napomknęła z lekka o małżeństwie córki z Derławskim, a Mieczysław rzekł spokojnie, z odcieniem smutku i uśmiechu, tylko w głosie: — Czemuż nie jestem Derławskim! — spojrzała nań uważnie i pomyślała, że mogło to być i przelotne uczucie. Czemuż nie? Serdecznie ją to odkrycie, według niój, pewne, ucieszyło, — zapytała się wręcz:

— A pan kiedy się ożenisz, panie Mieczysławie?

— Za dwa lata — odrzekł wesoło. — Głoszono tu już, że się ożeniłem z bogatą złotniczką: poszukam sobie jubilerki.

— Jeszcze czas na pana! Poczekaj pan na jaką wdówkę młodą, ładną i Polkę.

Zawrzała krew w Ufalskim, byłby się wydał, gdyby generałowa szybko nie była dodała:

— Pan się z pewnością z wdową ożenisz, przepowiadam to panu.

— Dziękuję za przepowiednię, pamiętaj pani, żeby była pomyślną — odparł, pocałował w rękę i wyszedł. Na schodach zatrzęsł się z gniewu i wzruszenia, zaklął, i kazał dorożce zjechać przed pierwszą lepszą winiarnią. Wypił sam kilka butelek wina... Obudziwszy się w kilka godzin na stolku, zaczął śmiać się głośno i długo.

Nazajutrz pojechał na wieś do brata, gdzie się znów rozchorował—tylko na febrę. W czasie wyścigów zjawił się w Warszawie. Było go wszędzie pełno— a mianowicie u dawnych przyjaciół. Wszyscy przyznawali, że nieoceniony Mieczuś weselszy jak dawniej i do hulatyki podbudzać potrafi, czego dawniej nie było.

Pani Derławska, która w tym czasie także była w Warszawie, idąc raz z mężem i z matką, spotkała go w Saskim ogrodzie, prawiącego ob-

cessowe grzeczności pięknej, nieco za strojnój kobiecie, oczu bardzo śmiałych i chodu, jakby wyuczonego. Jakoś zażenował się niby, oddalił się o krok od towarzyszki swojej, ale spotkania nie mógł uniknąć, — uklonił się z uśmiechem, pokornie do jenerałowój zwróconym, jakby przepaszającym.

— Dobrze wygląda pan Ufalski, a mówili, że po wyleczeniu się z rany tak niebezpiecznej zmienił się bardzo — rzekła córka do matki, patrząc jój w oczy wyrazisto, odwrócona od męża, bo czuła, że twarz ją paliła.

— Żeby tak dobrze wyglądała jego Czyżówka (majątek co dzierżawił), toby sam jeszcze lepiej wyglądał! A wesoły, miły człowiek, ma brata bardzo porządnego obywatela. Majątek mój jeden Orgowo graniczy nawet z Lasiskami. Bratowa także miła kobieta! Bardzo porządni ludzie! — rzekł Derławski.

— Ja i o tym trzpiocie nie rozpaczam — wtrąciła jenerałowa — zrobi jeszcze dobrą partję. Wy-swataj go tam, prezesie, z którą kuzynką twoją, to nasz powinowaty „*et il est si aimable ce cher Monsieur Mieciślas.*“

— Chyba że mama i Micia pomoże, to zobaczymy—odparł zięć żartobliwie.

— Ależ z całego serca—rzekła mama.

— Mama już go raz swatała z bogatą Niemką, może to ta dama, co szedł z nią właśnie — szepnęła Micia ze szczególniejszym uśmiechem i chciała spojrzeć matce w oczy, która je odwróciła.

Wielkie nieszczęście spotkało w następnym roku pana Mieczysława. Umarł mu brat, do którego był tak przywiązany, i nie pożegnał się z nim, bo umarł nagle. Uczuł to głęboko i żalu nie ukrywał. Stracił przyjaciela, opiekuna, wybawiciela z niejednego kłopotu, z niejednej przykrości, coby mu nieraz bardzo mogła dokuczyć. Wróciwszy z pogrzebu od bratowej, nie ruszył się pół roku od siebie, zapuścił brodę i włosy, gospodarował, czytał.— Ale choć w sercu nieraz zaboląły wspomnienia, choć było dosyć do roboty, choć sąsiedzi czasem odwiedzili, przykryło się mu nieraz okropnie. Gdyby miał woreczek cięższy, możeby nie był wytrzymał i choć na dni kilka do Warszawy pojechał, ale że sobie dał słowo pozbyć się długów, najbardziej naglą-

cych,—rad nierad urządzał w takich chwilach polowanie, krzyczał na ludzi, zaglądał do najdrobniejszych szczegółów gospodarskich lub też czasem na samotnika wysączył kilka kieliszków trunku z własnej gorzelnii, zasypiał i budził się jeszcze w gorszym humorze. Nareszcie dworek, sad, wieś, okolica, konie, psy, fuzja, ludzie tak mu się już nieznośnymi wydali, tak mu trzeba było zobaczyć przychylny uśmiech na czyjej twarzy, usłyszeć słówko pociechy i współczucia, że wyjechał do bratowej, co go listownie kilkakrotnie już o to prosiła. „Zobaczę pocziwą Klotyldę—pomyślał—pobawię się z Julkiem i Polcią, będzie mi raźniej potem wracać do pustelni.“

Zamiast tygodnia bawił dwa: dobrze mu jakoś było u rodziny. W miesiąc potem znów przyjechał i bawił trzy tygodnie, potem pomyślał czyby nie wziąć w dzierżawę Lasisk, potem zdało się mu, że szkodaby było dzieci, gdyby bratowa jeszcze tak przystojna, miała raz drugi pojąć za męża.

W rok potem gospodarował w Lasiskach w Czyżówce zostawił ekonoma i raz na miesiąc dojeżdżał. Z bratową mile czas mu schodził: umiała go zająć, zabawić, pochlebić mu. Zapomi-

nał często o burzliwej młodości i zdawało się mu czasem, że stworzony jest na gospodarza, na ojca rodziny, bo synowca i synowicę kochał i pieścił jak własne dzieci. Nareszcie przyszła mu kiedyś myśl, czyby to nie słusznie było dla dobra samych małoletnich, dla fortuny i wdowy po bracie, żeby *on* się z nią ożenił. Przeszła-bo trzydziestka z okładem, zapragnęło się spokojności... a bratowej oczy, starszej od niego o lat cztery tak błyszczały lub niknęły pod jego wzrokiem, tak ośwładnęła każdą chwilą dnia jego zwolna i cierpliwie, tak go prowadziła na niteczce łagodności, przywiązanej do jego nawyknień, do próżności, — że Mieczysław przepraszając cień brata, co się doń czasem we śnie przychylnie uśmiechał, ożenił się za dyspensą z wdową, jak mu przepowiedziała jeneralowa.

Pożycie z początku najpogodniejsze, rokowało, że się nigdy nie zmieni, dzieci tak się radowały, że wołają; papo! — na dobrego, wesołego stryjaszka — a pani Ufalska o lat kilka odmłodziła.

W pobliżu od Lasisk leży miasteczko Orgów, które wraz z kilku folwarkami dzierżawił odda-

wna wyborny jeden gospodarz, były wojskowy, przyjaciel nieboszczyka Ufalskiego. Kontrakt dzierżawy wychodził mu wprawdzie tego roku, ale spodziewał się przedłużyć go nadal i z czasem nabyć tę majątność. Tymczasem pan prezes, radca, sędzia i t. p. Derławski, dziedzic—doniósł mu, że przenosi się od ś-go Jana z za Wisły do Orgowa. Musiał ustąpić.—W połowie Sierpnia przyjechali państwo Derławscy. Z początku nie udzielali się sąsiedztwu, potem Derławski odwiedził naprzód sam dwa tylko domy sąsiednie. Był i u państwa Ufalskich, następnie z żoną oddał wizytę. Mieczysław nie zapomniał lecz zapominał o swojej Mici, o której wiedział od niego jeden tylko brat nieboszczyk, a ten małomówny, dyskretny nawet żonie ani słówka o tém nie wspominał.

Odwiedziny wywarły na nim wrażenie, ale sam spodziewał się silniejszego. Mężatki bardzo się sobie spodobaly. Różnica fortun choć była niemała, zaprzyjaźniły się bardzo i w tak bliskim sąsiedztwie często się odwiedzały. Mężowie nie tak dobrze przystawali do siebie: w stosunkach ich była wzajemna grzeczność i uprzejmość sąsiedzka, ale brak serdeczności, którą tylko współ-

czucie stwarza. Mieczysław chociaż miał sposobność niejednokrotnej rozmowy sam na sam z panią Derławską, oboje zdawali się unikać téj sposobności. W towarzystwie, jak dawni znajomi, rozmawiali zawsze grzecznie, nigdy poufale. Raz Mieczysław, dosiadając dzikiego konia na podwórzu w Orgowie, spadł i skaleczył się trocha. Pani Derławska nie krzyknęła, nie zemdląła jak jego żona, ale zbladłszy nadzwyczaj, pobiegła doń żywo i zarumieniła się gwałtownie, widząc, że się nic złego nie stało. Derławski radował się także niepomiernie, zacinał szczęki, poprawiał okularów i muskał lysinę.— Drugi raz Mieczysław wstąpił sam w przejeździe do Orgowa. Derławski miał zajęcie i z żoną go na chwilę zostawił. Wróciwszy niebawem, zastał gościa niezmiernie rozmownym i wesołym, żonę spokojną i zamyśloną. Nazajutrz zrana pani Micia wstała z oczyma czerwonymi: bardzo ją w nocy bolaly. Derławski zapisał to sobie w pamięci i wkrótce wybrał się z żoną do Warszawy. A w Lasiskach Mieczysław zapamiętale polubił polowanie, do miasta mnóstwo mu interesów wypadać zaczęło, w sąsiedztwo częste

robił wycieczki, w domu wina znacznie więcej przy i po stole konsumował. Kilka razy śnił mu się brat nieboszczyk i to raz okropnie. Otworzył mu serdecznym palcem ranę w boku i zgrzytał nad nią zębami. Mieczysław krzyknął straszliwie, zerwał się z łóżka na równe nogi, przestraszył żonę, która się aż rozchorowała. Przez kilka dni potem ciągle był zamyślony, i mimo jej prośb, nie chciał powiedzieć, co się mu śniło. Sama Ufalska podała projekt, żeby od ś-go Jana wyjechać do Warszawy, a Lasiska wydzierżawić lub też zaufanego rządcę osadzić.

VI.

Wuj pani Ufalskiej, były prezes jednej z władz sądowych, sześćdziesięcio-kilko-letni wdowiec, bezdzietny, mieszkał na Lesznie w porządnj kamienicy, na drugiem piętrze. Z przedpokoju wchodziło się do salki. Sprzęty w niej machoniowe, przed dwudziestu kilku laty musiały być bardzo modne, o czém świadczył pantaljon wiedeński, z całą arfą pedałów. Na ścianach dwa lustra,

portret nieboszczki pani prezesowej, przystojnej szatynki w białej sukni z niebieską przepaską, pędzla Lumpiego; spory jeden pejzaż Kazanowy i dwie kopje z Ruisdala. W następnym pokoju nie tak obszernym jak piérwszy, kilka szaf aż do sufitu prawie sięgających, a w każdej na kilku rzędach półek pełno książek porządnie oprawnych, rozmaitej wielkości i kształtu: od in folio aż do ósemek, szesnastek i kieszonkowych wydań dzisiejszych. Prawodawstwo i historia rodzinna, z dodatkiem dwóch szaf nadobnego piśmiennictwa polskiego, łacińskiego i niemieckiego stanowiły księgozbiór bardzo starannie wybrany.

Przy drzwiach od następnego pokoju, w miejscu jednej szafy wisały półki z aktami porządnie ułożonemi.

W trzecim pokoju, mniejszym od poprzednich, stało żelazne łóżko prezesa, nad nim krucyfiks antyczek zkości słoniowej; dalej biurko, na ścianach pełno medali większych i mniejszych. W dwóch szafach oszklonych, spoczywały na miękkich aksamitnych wezgłowiach numizmaty krajowe, w chronologicznym ułożone porządku. Weneckie duże okno wychodziło na ogród.

Prezes średniego wzrostu, trocha otyły, włosów a raczej kilku kosmyków dopiero siwiejących, co mu ogromnych rozmiarów łysinę okalały, w białej chustce na szyi wysoko podwiązanej, w białej kamizelce i wice-mundurowym fraku, zwawo przechadzał się po pokoju, bębniąc palcami w złotą tabakierkę.

Przy biurku siedział studencik dwunastoletni, podobny do Panny Pauliny, przeglądał Historję wojen przez A. Hugo pięknie illustrowaną, a przy oknie stał dobrego wzrostu mężczyzna, twarzy nader wyrazistej. Z pod brwi czarnych, gęstych i zrosłych wyglądały oczy okrągłe, jasne, barwy blado-zielonawej, nos dobrych rozmiarów, u końca nieco galkowaty, widocznie familijny, opuszczał się ku ustom. Koścista broda, wypukłe niskie czoło, twardy zarost znacznie jaśniejszy od czupryny, a ta znów jaśniejsza niż brwi, dziwnie odbijała od ogorzałej, żółciowej cery, z którą tylko mocnemu brunetowi byłoby zupełnie do twarzy. Jednak mimo potężnej ręki, którą do całości dodać trzeba; przyjrząwszy się bliżej, nie można było odmówić wdziękowi temu mężczyźnie,

z obliczem na pozór nieprzystojném. Był to wdzięk najprawdziwszy, bo mężki i energiczny.

— Otóż, panie Nepomucenie—ciągnął prezes gawędkę—wracając do tego znakomitego urzędnika, męża stanu, można powiedzieć, pod którym ja czas niejakiś i twój ojciec nieboszczyk mieliśmy zaszczyt służyć, otóż wrócił on z kampanii, gdzie ranny był w łopatkę, w krzyż czy plecy, tego już dobrze nie przypominam sobie, wiem tylko, że odtąd głowę do góry nosił, nawet w tył nieco pochylał. Przy niziutkiéj całej postaci, dziwnie jeśli chcesz, ale jakoś butnie to wyglądało. Wróciwszy do siebie na Polesie, z nudiów wiejskich prosił raz siostry, wysoce ukształconéj damy, która piękną miała bibliotekę, żeby mu co do czytania przysłała. Hrabina, można powiedzieć, duchem świętym tchnięta, a może usposobienie brata odgadując, przysłała mu jakieś dzieło o finansach traktujące. Przeczytawszy ją skwapliwie, zażądał drugiey w podobnym przedmiocie, potém trzeciéj, i tak w tém zasmakował, że przez ciągle czytanie nadzwyczajnie się uzdolnił. Przy olbrzymiey intelligencyi, dziwnie zdrowym rozsądku i złotéj logice, zaiste nie trudno

mu to przyszło. Będąc marszałkiem, przy przejeździe Monarchy, gdy go przyjmował w imieniu obywateli, przypadkiem w rozmowie dał mu się poznać z kilku myślami w przedmiocie swoim— i tak zastanowić zdołał niepospolitego znawcę ludzi, że mu ten natychmiast zaproponował zarząd skarbu, gdzie jak wiesz, panie Nepomucenie, cuda, można powiedzieć, zwłaszcza téż z początku tworzył. To wysokie ukształcenie się, li tylko za pomocą niejakiego odczytania i to w późniejszym wieku,—jest faktem tym dziwniejszym, że pierwiastkowe jego wychowanie zupełnie odmiennéj było natury: wojskowe, w korpusie paziów, czy podobno tylko w korpusie kadetów. Niepospolity i giętki umysł zapełnił tu brak, którego przy gruntowném ukształceniu i ciągléj w nim pracy gdzieindziej nie widać. A jak się masz, panie Mieczysławie?—rzekł prezes grzecznie ale bez uśmiechu, witając wchodzącego Ufalskiego, który go w ramię pocałowawszy, szczerze uściśnął rękę Nepomucena i studencika pogłaskał.

— Czemu nie siadasz, panie Nepomucenie, dawno cię już prosiłem? Pan Mieczysław niechże siądzie—mówił prezes nie przerywając prze-

chadzki. — Ale! — zawołał nagle — znowu drugi, pod którym i z którym także zaszczyt miałem służyć. Już nie z magnatów jak poprzedni, ani ze szlachty, ale po prostu z mieszczan, z dawnych mieszczan polskich, z pomiędzy których wyszło bardzo wielu ludzi, można powiedzieć, użytecznych dla kraju. Służył w wojsku chwilowo, tak jak wszyscy; potem wróciwszy, pomagał rodzicom przy szczupłym ich gospodarstwie w którymś miasteczku blisko od Warszawy i kierować się miał podobno do stanu duchownego. Były to czasy pruskie, magistratura cała była cudzoziemska; kto chciał do niej należeć, musiał znać niemiecki język. Po wyższe ukształcenie niemało młodzieży jeździło do Halli, Getyngi, Wrocławia lub Królewca, gdzie, jak ci wspomniałem, panie Nepomucenie, i ja się kształciłem. Doszedłszy lat trzydziestu, domniemany ów duchowny czując zdolności niepoślednie, a nie chcąc ich w kącie zagrzebać, bierze kilkanaście talarów do worka, kij do ręki i pieszo przywędrowywał do Halli, gdzie najprzód wyższe nauki szkolne, a potem uniwersyteckie ukończył, utrzymując się z idealnej oszczędności i laski Pana Boga. Cóż powiesz,

panie! Człowiek ten nie żałował bynajmniej, że za późno wziął się do nauki. Na czele potem jednej z najużyteczniejszych instytucyj w kraju niejednokrotnie powtarzał, że przedłużył sobie młodość pracą szkolną, którą inni we wcześniejszym wieku przebiegać zwykli. Mógłbym ci przytoczyć, panie, także jednego z najzamożniejszych dzisiaj obywateli ziemskich w kraju, który był prywatnym jeometrą, i dopiero w trzydziestym roku życia, a nawet później, małą oszczędność sobie uzbierawszy, przebiegł z kijem w rękę całą Europę. Obrął sobie za przedmiot specjalny agronomję, w której uzdatnił się wysoce i prócz niej innych nauk dla człowieka oświeconego nie zaniedbał. Wróciwszy, zaczął urządzać dobra, od zarządu dóbr przeszedł do maliej własności, potem do większej; z wyboru współ-obywateli piękne urzęda piastował i dzisiaj, można powiedzieć, chociaż już dobrze podeszły, w pracownictwie, czynnym życiu zachował całą energję i czerstwość umysłu młodego.

— Wszystkie te przykłady, które pan prezes raczyłeś przytoczyć — ośmielił się odrzec Nepo-

mucen — tyczą się ludzi wyjątkowo zdolnych, a o zdolności nie tak łatwo.

— Owszem, panie Nepomucenie, u nas nic łatwiejszego jak o zdolności. Wytrwałość, silna wola, pracowitość, cierpliwość, to są przymioty bez porównania cenniejsze a rzadsze, zwłaszcza teraz. Dla tego téż wyobrazić sobie nie zdołasz, jaką mi sprawia pociechę widok młodzieńca, uczciwie i godnie zarabiającego na kawałek chleba. Jest to u mnie rękojmia dla przyszłości, można powiedzieć, jest szlachetna różnica od tych nawet, co nie prawie z ojcowizny nie uroniwszy, grzebią w dziedzicznej roli i nic nie przysporzają. Prędzej polegać można na tym, co sam sobie wystawił budynek istności, od tego, co się w nim wygodnie urodził. A mamże ci wspomnieć o tych nieszczęśliwych, co np. będąc gospodarzem lub urzędnikiem, mniema, że w niewłaściwej dla siebie krąży sferze, a inną nie umiając stworzyć sobie, niechętnie kręci się w codzienném kółku. Albo ci szaleńcy, dzieciuchy, co marnując trochę zdrowia i fortuny, z niezależnego życia gwałtem przejść chcą do jarzma lub podłości.

— Wypadki, panie prezesie, rozmaitych ro-

zmaicie stawiają. Bieda nauczy tego, ó czém dostatek nie może mieć wyobrażenia.

— Dla tego téż i święta bieda, panie Nepomucenie! Jest to najprawdziwszy probierz na duszę ludzką. Silna w niej szlachetnieje, słaba upada. Ale pewno chcecie cygara lub téż lulki palić? Przepraszam was, zagawędziłem się: przejdźmy do drugiego pokoju. Co tak zaczytałeś się, panie Mieczysławie? A! z pasierbem obrazki przegładasz. Piękna to publikacja i chociaż cudzoziemskie książki nierad kupuję, chyba, że z dziejami naszymi styczność mają, tę jednak chętnie i można powiedzieć, tanio nabyłem. Brat twój nieboszczyk, panie Mieczysławie, co tak się jój naparł, że mu odmówić nie mogłem, poplamiał mi dwie kartki. W żaden sposób nie dały się wywabić, a papier cienki i przemakający. Tę samą prawie masz żyłkę wojskową co i brat, panie Mieczysławie, tylko że tamten gospodarstwo lubił.

— O! i ja lubię gospodarstwo — odezwał się Mieczysław, niezadowolony z lekkiego nieco sposobu, jakim go zwykle wuj traktował. Na wspomnienie jednak żyłki wojskowej założył książkę

i żywo a szczerze bystrém swoim okiem spojrzał na Szyka i prezesa.

— Bawiąc tak długo w Warszawie, przeniewierzasz się w takim razie ulubionemu zatrudnieniu — wtrącił nieco z przekąsem prezes.

— Dla tego téż fatalnie nudzą mnie i nudzi mnie czasem Warszawa. Gdyby Klocia chciała była mnie słuchać, oszczędziłaby mi wiele chwil nieprzyjemnych.

— Jednak mówiła nieraz, że podobno i na wsi narzekałeś często, panie Mieczysławie!

— To chyba na to, prezesie, że miała zamiar wyjeżdżać do Warszawy. Z uporem kobiecym nie poradzisz, zwłaszcza kiedy się w kaprys przemieni. Tu narzekam, bo mi tęskno do wsi, bo znam tylko dwa zawody, które serdecznie kochać można: żołnierkę i gospodarkę.

— Są jeszcze inne równie użyteczne, a może użyteczniejsze, można powiedzieć. Że pominię wiele, zawód, któremu się oto nasz przyjaciel pan Nepomucen poświęcił, tém jest szanowniejszy, że tak mało u nas nauczycieli prywatnych krajowców i że nie wszyscy poświęcają się mu sumiennie a uczciwie.

— Dużo jeszcze brak, panie prezesie, do tego, żebym mógł w moim zawodzie całe zadanie sumiennie wypełnić. Wiele w nim zrobić można, ale w obszerniejszym zakresie.

— Owszem, dopilnuj jednego chłopczyka, panie Nepomucenie, żeby został uczciwym, uzdolnionym młodzieńcem, a potem *eo ipso* takimże samym człowiekiem, to już dosyć, a nawet wiele! — odparł prezes, prowadząc gości do drugiego pokoju, gdzie na Jacentego zadzwonił.

Stary sługa spojrzawszy z zdziwieniem na ścienny zegar, który wpół do drugiej znaczył i nieco z obawą na pana swojego, pokręcił głową, podał cygara Ufalskiemu i Szykowi a fajkę prezesowi, który jedną z szaf otworzywszy, wy dostał paczkę starych broszurek.

— Patrzaj panie Nepomucenie, co za rzadki nabytek udało mi się zrobić, i to od żydków, którzy bardzo często nie wiedzą, jak szacowne rzeczy mają u siebie. Masz tutaj wielką rzadkość, egzemplarzyk wprawdzie zdefektowany, brak tytułowej kartki, który istotnie tak brzmi: „Co Nowego, albo Dwór Trztyprztyckiego.“ Nabyłem to nadzwyczaj tanio. Tutaj znów zbiór

nieoszacowanych broszurek: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego“ i „Uwagi nad Uwagami,“ których także często napotkać nie można. Na tych arkuszach są mowy i głosy niektórych posłów i senatorów, w czasie ostatnich sejmów u nas w przeszłym stuleciu. Powoli coraz się więcej tych głosów pozbiera, tak, że i parę tomów z nich urośnie.

— Szlachetnie to obrócony pieniądz na nabywanie zabytków i pamiątek z przeszłości — wtrącił Ufalski, przeglądając broszurki.

— Tém bardziej, że to upodobanie nie tyle kosztuje jak by się zdawało. Trzeba umieć szperać i wiedzieć gdzie szukać a często i okoliczność nastręczy się szczęśliwa. Upodobanie do zbierania, które i w młodym miałem już wieku, uchroniło mnie od innych upodobań, do których burzliwe te chwile, skłonne są zazwyczaj. W późniejszych latach, nie mając w domu z kim najbliższym serdecznie rozmawiać, obcuję z tymi licznymi przyjaciółmi, których sobie co dzień przysparzam — dodał prezes, wskazując na szafy. — Cokolwiek, choćby tylko zdaleka, odnosi się lub najbliedsze światelko ciska na przeszłość

naszego piśmiennictwa i dziejów, skwapliwie chwytam i pysznię się z tego, że zbiorek mój, jeśli nie ma nadzwyczajności bibliograficznych; co do rzadkości prawniczych, historycznych i literackich, żadnemu z tutejszych nie ustąpi. Czy też bywasz często w Biblijotece Rządowej, panie Nepomucenie? Musisz mieć pewno także upodobanie do grzebania po starych foljałach?

— Nauka dziejów, zwłaszcza téż rodzinnych, panie prezesie, tak poważném wydaje się mi zadaniem, że niepośledniej trzeba zdolności, aby się jój oddać z postanowieniem, że się i z drugimi podzielimy pracą naszą. Prócz tego trzeba czasu, by takiój nauce wyłącznie się poświęcić.

— I tu ci powiem! panie Nepomucenie, praca, wytrwałość—za zdolnością krok w krok postępuje. Można nie być pomysłowym autorem, a jednak bardzo pożytecznym i szanownym pisarzem, bez poglądów często dowolnych i nawet pretensjonalnych, można szczegółowe fakta objaśniać, pojedyncze epoki obrabiać, zapomniane lub nieznanne wypadki opisać; dzielić się można pracą nie tylko rozgłośniejszą. Nauczyć choćby tylko kilka osób tego, co się samemu

umie, to już wielka przysługa, i można powiedzieć, zasługa u ogółu.

— Która już się niejednokrotnie panu Nepomucenowi należy — wtrącił Ufalski, przelotne rzuciwszy na prezesa spojrzenie.

— Jakże mi od niej daleko! — odrzekł zafrasowany nieco Szyk, zmarszczywszy trocha brwi na studencika, który na chwilę oczy od obrazków oderwał i przysłuchiwać się zaczął rozmowie starszych.

— Przyznają ci ją panie ci, którzy, zdaje się, najbliżej przekonać się o niej mogą. Co do mnie, dodam, że jeżeli ci nie brak czasu, panie Nepomucenie, to nadarza ci się sposobność obznajmienia się dokładniejszego z dziejami rodzinemi. O książki trudno nie będzie. Z tych wszystkich dosyć zaczerpnąć można, a pamięć musisz mieć dobrą.

— Owszem, panie prezesie, dosyć tępą.

— Ale wyrobioną — i co raz zapamiętasz, tego już nie zapomnisz, panie, a to właśnie najważniejsza. Zmiluj się, panie Mieczysławie, ostrożnie! Rozedrzesz mi stronnicę, nie przerzucaj kart tak prędko — zawołał prezes. Skwapliwie książki

ze stołu zebrawszy, złożył je do szafy, na najniższą półkę, gdzie niekompletne dzieła zwykle chował.

Wybiła druga godzina i służący chrząknięciem dał znak panu o sobie.

— A! przyszedłeś Jacenty — rzekł, odwracając się prezes i książkę w zielonój oprawie kładąc na stoliku. — Kochani panowie! bardzo mi przyjemnie czas z wami przeszedł, ale wybaczenie, że was porzucę nie zadługo, bo tę godzinę przedobiednią poświęcam zwykle dla interesantów. Tryb mego życia regularny i zawodu robić nie lubię. Panie Nepomucenie! zacznijmy od Marcina Gallusa. Po łacinie tyle umiesz, że ten wiersz Leonilski zrozumiesz łącno, a gdybyś, panie, czego nie rozumiał, Bobrowski dopomoże. Daj się namówić!

— Obym tylko zdołał odpowiedzieć godnie pochlebnemu pana prezesa wyobrażeniu!

— Wuj dobrodziej nie odmówi nam łaskawych odwiedzin na pojutrze wieczorem. Żona zagroziła mi, żebym się nie pokazywał, jeżeli z pewnym przyrzeczeniem od wuja nie przybędę.

— Wszystko to bardzo dobrze, panie Mieczysławie, ale wiesz, jak mi trudno wydalić się z domu. Nie jestem znów odludkiem i dla Kłoci chętnie czasem parę godzin poświęcę. Cóż będziecie robili?

— Młodzież potańczy, będzie partja.

— Preferansa?

— I wista.

— Prawda, że to Polci urodziny, prawda! Dziadunio musi być przecie. Niech potańczy malutka, bardzo słusznie! Czy tańczysz, panie Nepomucenie?

— Ja? panie prezesie? Nie, — wybelkotał prędko Szyk i krew czoło mu oblała. — Brat mój za to wyręczać mnie będzie. Pani Ufalska była tak łaskawa, że pozwoliła mi go wprowadzić: był już na jednym wieczorze.

— A to dobre! Chłopiec jak słyzałem, pracowity, zdolny, syn zasłużonego urzędnika, którego znałem, czy może być we właściwszém dla siebie towarzystwie jak w porządnym obywatelskim domu! Pewno nie obejdzie się bez wystawności przy tym festynie, prawda panie Mieczysławie? My ludzie pracowici, to lubimy

szczerą pogadankę, serdeczną zabawę. Wystawnych i ceremonijalnych zebrań nie bardzo, prawda, panie Nepomucenie?

— Zdaje mi się, że ile razy wuj dobrodziej zaszczyć nas raczyłeś swoją bytnością, to na brak serdeczności lub szczerości w przyjęciu nie narzekałeś, tem bardziej też na zbytek wystawności — dodał Ufalski z uśmiechem. — Tylko, że się żyje z tym i z owym, że się kobiety tu i owdzie spotykają, to ich rzecz i obowiązek wywdzięczyć się jednakowém przyjęciem. Mogę więc liczyć na łaskawość prezesa i zaręczyć Kłoci? Bo na honor odprosilibyśmy wieczór, a faworytka wuja, Polcia, zapłakałaby się na wieki.

— Uściskaj, panie Mieczysławie, odemnie żonę i Polcię. Przyjdę na parę godzin. Bądź zdrow, kochany panie Nepomucenie, do zobaczenia! Wiesz już teraz kiedy mnie zastanie w domu, przy moich, można powiedzieć larach i penatach. Ile razy ci czas pozwoli, choćby codzień, proszę bardzo — rzekł prezes, ściskając serdecznie rękę Szyka — kłaniaj się Julku mamie i siostrze — dodał głaskając go po głowie studencika. — A może-

byś zjadł jabłuszko tyrolskie? Jacenty, przynieś panu Julijanowi jabłka tyrolskie, co tam w moim pokoju sypialnym w olszowej szafie leżą!

Goście pożegnali się jeszcze raz z prezesem, który ciągle widoczne pierwszeństwo dla Szyka okazywał. Wychodząc, spotkali siedzącą w przedpokoju zgarbioną, niewidomą staruszkę, przy której stał chłopczyna jasnowłosa: zapewne wnuczek.

— Uczciwy człowiek z tego prezesiska! — rzekł Ufalski, kiedy już byli na ulicy. — Otóż jego interessenci! Co dzień daje posłuchanie rozmaitym biedakom, podejmuje się spraw najniefortunniejszych i to oczewiście bezinteresownie, często z własnej kieszeni dołożyć musi. Wprawdzie trudno żołnierzowi odwyknąć od prochu, majtkowi od morza. Stary prawnik ma przytém zatrudnienie i rozrywkę, ale innemu na jego miejscu, przy jego majątku, czyby się to chciało?

— Rzadki, niepospolity człowiek! — wtrącił Szyk poważnie.

— I co najważniejsza, w jego wieku tak młode wyobrażenia, nic a nic nie nudny—dodał

Ufalski cokolwiek ironicznie, odwracając się nagle od Szyka do doróżki, która stała na rogu Orlej ulicy.

— Podwiozę was kawalek, a potem sam dalej jechać muszę. Powiedz z łaski swojej Kłoci, panie Nepomucenie, że będę się starał być na obiedzie w domu, ale zapewne wypadnie mi zostać u mecenasa. Jakoś zimno na dworze, wstąpmy tu na chwilę!

Kazał stanąć doróżkarzowi przed cukiernią.

Szyk nie pić nie chciał, Ufalski spory kieliszek wódki wychylił, a malcowi naladował kieszenie cukierkami.

— Ale, ale — rzekł nagle, przypominając coś sobie i na bok Szyka odprowadzając — żona mi dała dziś dla ciebie pieniądze, panie Nepomucenie! Czy potrzebujesz? Zaraz wypłacę.

— Nic pilnego — odparł Szyk — mam jeszcze paręset złotych.

— Jak chcesz, panie Nepomucenie — odparł Ufalski, chowając pulares jeszcze prędziej, niż go wy dostał.

— To już ci podobno trzeci, czy czwarty miesiąc nie płacę. Masz słusność, lepij razem.

Trudniój wydać tysiąc lub parę tysięcy złotych od kilkuset. Do widzenia, *mon cher!* Nie zapominaj powiedzieć żonie, że m pojechał do mecenasa.

— I to także, choć trocha roztrzępany, ale najlepszy i najuczciwszy w świecie człowiek. Bóg widocznie łaskaw na mnie, że się między dobrych ludzi dostałem — myślał Szyk, idąc zwolna z malcem po zamarzlój ziemi w Saskim ogrodzie.

— I cóż z tego! Jak się dostałem tak się i wydam — pomyślał dalej. — Panna Paulina pójdzie pewno za męża, za obywatela jakiego ze wsi; ten malec podrośnie, wyślą go do uniwersytetu lub za granicę, a ja znów gdzieindziej będę uczył grammatyki i jeografii — dodał po chwili, zwracając spojrzenie na składną twarzyczkę malca, którego rysy twarzy przypominały.

VII.

Ufalski zajechał przed bramę jednego z hotelów, przeszedł długie podwórze, wszedł do offi-

cynki, minął pierwsze, drugie piętro—i wgramolił się po wąziutkich schodach aż pod strych. Zastukał do drzwi, na których blacha z numerem była przybita. Nikt nie odpowiedział, a dziurka wewnątrz była zasłonięta. Zaczął stukać mocniej i znudzony wreszcie zawołał:

— Już gdzieś wyszedł hultaj! A mówiono na dole, że musi być w domu.

— A jakże—jest! Dla Mieczysia zawsze jest. *Entrez*, aniolku! — odezwał się cieniuteczki głosik—i wpuścił go do ciupki okrągłutki, niziutki jegomość jeszcze nieubrany, który drzwi natychmiast zamknął, klucz wyjął, zamek ręcznikiem osłonił i potem prędko zakopał się znowu pod koldrę w łóżko, gdzie leżał jeszcze o trzeciej po południu.

— Przyznam się, że za długo śpisz. Luciu, chyba chory jesteś — zaczął Ufalski, siadając na łóżku.

— Ja zawsze chory, *vous savez* Mieczusiu, i zresztą co robić w ten głupi dzień? Zimno i nudno—odparł cieniuteńkim głosem.

— Chcesz wypalić dobre cygaro?

— Zobaczę, kochanie! Tam są zapalki na pie-

cyku. Ja to powinienbym poczęstować cię dobrymi cygarami, ale tutejszego nie śmiałbym ci ofiarować. Zapisalem w Hamburgu dwa tysiące, sztuka po półtora złotego. Coś nie przychodzą.

— Ależ u ciebie nie palone dziś w piecu — rzekł Ufalski, smutném okiem wiodąc po niskiej, wąskiej ciupce.

— Zimna woda i chłodna atmosfera konserwuje mnie, Mieczku — odparł z piskliwym uśmiechem Lucio, podnosząc do cygara wąską główkę, porośłą rzadką, miękką i siwiejącą fryzurką, w której błyszczalo dwoje mrugających ocząt. Twarz, na której zmarszczki rysowały się tu i owdzie na wodnistej cerze, podobna była raczej do twarzy kobiecój po czterdziestce, niż do męskiej. Brak mu było czterech jeszcze lat do czterdziestu.

— Przyszedlem cię prosić na obiad: mam z tobą sporo pogawędzić. Wstawaj!

— Wybacz Mieczysławku, że z tak miłej inwitacyi nie potrafię korzystać.

— Dla czego?

— Bo cokolwiek pić lub smakować będę, to zawsze będzie dla mnie dopiero śniadaniem, któ-

re przyjmuję tém chętniej, duszeczko, że mamy ze sobą pogawędzić. Jakże, onegdaj? Ja końca już doczekać nie chciałem.

— Jak zwykle! Nieszczęście mnie ściga—odparł Ufalski, zamyślając się posepnie.—I żeby to tylko w kartach!

— W czémże więcej, *Dieu des Dieux*? Zlituj się, nie przestraszaj mnie, Mieczulku! W czémże więcej? Jesteś zdrów, *bel homme* co się zowie, masz piękne mieszkanie, futra, powóz, Weronisię, pularesik niczego, cygara zawsze, długów mało i nadewszystko żonę doją!

— Co?

— I marszczysz się zaraz czulodrzewko! Dostojną, dostojną, dostojną, przez prędkość powiedziałem doją. Święta kobieta! Nie wierzysz, przeproszę, w rękę cię pocałuję. Ale w czémże więcej nieszczęście, Mieczusiu, bo mnie zabijasz?

— Czy ty to pojmnjesz? Ciebie jak trupka już nic nie obchodzi.

— *Excusez*, serce! Ja nie jestem trupek, ja żywy Lucio, frapowany w lodzie jak szampan, żeby lepiej smakował. Cygaro, coś mi dał, za ręczam ci, że niezłe; zapach trufelków przy śnia-

danku naszym przewąchuję, to mnie rozrzewnia, jak Boga Kocham! Mów o nieszczęściu dopóki leżę, mów! Ty mówisz dobrze. *Que diable!* To coś na serjo — zawołał zmieniając ton głosu pan Lucio i podniósł się na łóżku. — Myślałem, że utyskujesz tak sobie... a ty naprawdę zmar-twiony. Cóż więcój, dla Boga?

— Co więcój? Kiedy przez kilka lat mieszka-łem na wsi, nie pokazując się tutaj, jakoś, wiész, odrodziłem się może i poprawilem. Przy zatrudnieniu i samotności, zastanawiając się nad da-wném życiem naszym, przekonałem się, że wszy-sczy byliśmy raczej warjaci, nie głupcy.

— Przelóż, Mieczuleńku, przelóż, lub obok postaw: i głupcy i warjaci. Więc cóż?

— Ten stracił fortunę i zdrowie u jakiej tam marnój zalotnicy, tego lichwiarze zjedli, ten prze-grał, tamten przepił, ów przejadł.

— Trufelki! — odezwał się z głębokiém we-stchnieniem Lucio, uderzając się w piersi.

— Zawsze byłby za to porządny folwark je-den i drugi. Nie żalowałbym tak siebie i was, gdybyśmy przynajmniej umieli byli tracić, gdy-byśmy użyli byli prawdziwie; ale pieniądze roz-

chodziły się tak *mesquinement*, że mi aż wstyd za nas wszystkich.

— Nie wiń tak nas, jak tę mięsinię, tę *burgadę*, Ufalsiu, gdzie nawet tracić nie można przyzwoicie — przerwał pieśczołliwie Lucio.

— W każdym razie, więcej winię tych, co potrącili za granicą, jak nas, bo przynajmniej pieniądze tu zostały,

— O téj wyższości naszej tak wspomnieć warto, jak o musztardzie po obiedzie. Mów dalej! Na wsi wstydzisz się za nas wszystkich. Wybacz, że się będę ubierał.

— I zacząłem już przywykać powoli do monotonnego trybu życia, któremu cel jaki taki naznaczyłem. Oczyszcivszy się z długów zupełnie, zostać rolnikiem rządym, pokazać że i my nie tylko zdolni jesteśmy do hulanki, że chwilowy szal nie zepsuł serca.

— O tém nikt niemyślał, ale zepsulby głowę, gdyby ją który z nas był miał, duszko! Wybacz! Tak mi zimno, że muszę koniecznie poruszać językiem. Więc?

— Ożeniłem się — i to ożeniłem z żoną po bracie.

— I jeszcze ci niedobrze, że nawet nazwiska nie potrzebowała zmieniać? Ty, wyborny człowiek, jeszcze z celem rządności; ona, święta kobieta!

— Nie przerywaj, malutki! Z początku wszystko było jak najlepiej, byłbym dwa razy wszerej i wzdłuż usterkoryzował moje Lasiska, polował, jadł, pił i żył sobie jak najspokojniej.

— Któż ci teraz broni sterkoryzować, pić i jeść?

— Przychodzi pani kaprys do Warszawy— rzekł Ufalski, patrząc w ziemię ponuro. — Jak mnie powietrze tutejsze oblało; to takie przekłete powietrze, że znów zgłupiałem gorzej niż przedtem!

— Zdaje mi się, że nie, aniolku!

— Jakto nie? Wtedy przynajmniej traciło się w naszym towarzystwie. Była jaka taka przyzwoitość.

— Pozór.

— Więc pozór przyzwoitości, jakiegoś niby lepszego tonu. Przynajmniej grając w karty pewny byłeś, że nie biorą cię na pewne. Teraz niby to zacząwszy myśleć o spekulacjach, dja-

beł wié w jakie znajomości powchodziłem i co się z tego wywiązało. Wiedząc, że mnie durzą, pozwoliłem się durzyć; czując błoto pod nogą, wlażę w rynsztok. Co to-bo za *genre* jest teraz!

— Ja ci powiem to nie to, tylko to, że ty zdegradowałaś się z birbanta-modnisia, którym żonatemu być ci trudno, na birbanta-szlachcica czyli *szlagę*, Ufalsiu! Czując woreczek napchany, mogąc być nieustającym fundatorem, i to że nie tak kosztownym, więc częstszym jak kiedyś; z naszej kliczki nie znalazłeś nikogo, prócz małego Lucia... niedobitka. A fundatorstwo, to jedna z przyjemnych passyjek, bo się nawet w manją może zamienić.

— Lepsza w każdym razie od passji do kart.

— *Possible!* Nowi twoi różno-kolorowi znajomi, okrzyczeli cię dziekanem pijaków w handlu winnym, gdzie tysiąc złotych zapłaciłeś; księciem smakoszków na obiedzie, na którym i ja byłem, pamiętasz Ojcem poniterów, po przegraniu kilkuset rubli do majora; arcy-bankierem, gdy cię sześć razy zdebankowali.

— Więc ta ich wdzięczność niezgrabna, bezczelna, ta radość źle ukryta, to pochlebstwo

w najgurszym *genr'ze*, chwyciło cię za serce, już nawykłe w rodzinie do przewodniczenia, ojcowania. Polubiłeś te twoje nominacje, jakoś poważnie i pocziwie wknajpie lub szulerni brzmiały. Wciągnęli cię, wciągnąłeś się sam na morze, wiatr dał pomyślny i teraz zdaje ci się, że jesteś od ładu daleko, ale Mieczusiu, o ileż bliżej od Lucia, o ile! Ja kochaneczku, kiedy miałem jeszcze pieniądze, powiedziałem sobie, że tylko na tym świecie mam zdolności do trawienia, zresztą do niczego więcej. Nie mając wytrwałości, pracować mi niepodobna; trzeba więc żyć jak można: czasem bardzo źle, czasem bardzo dobrze, jak zwykle, kiedy kto nie ze swojej żyje kieszonki. Ty jednak, co przy niezależności, jeszcze byłeś na drodze skruchy; chyba, wybacz, był inny jaki powód, co cię prócz nawyknięcia, prócz powietrza tutejszego popchnął w karteczki, dłużki et compagnie?

— Co za powód? — odparł ponuro Mieczysław.

— W tobie Mieczulku, była zawsze jedna strona zakryta, gdzie się tała może namiętność, może... pst! pst! — zawołał nagle, kładąc palec na usta.

Ktoś stapał ostrożnie po wschodach i zaczął stukać do drzwi coraz silniej. Nareszcie znudzony zaklął: — A to pokraka paskudna! O głupie pięć rubli już tu od czterech miesięcy łażę. Pewno jest psia wiara, tylko nie chce otworzyć. Moje chodzenie więcéj już warto, niż jego buty. — Palnął nogą we drzwi, aż zatrzeszczała deszczulka i miał odchodzić. Ufalski otworzył sam, wyjął papierek pięciorublowy i nie wpuszczając wierzyciela do pokoju, rzucił mu go do sieni.

— Dziękuję jaśnie panu i przepraszam, ale to już i największój cierpliwości miarka się przebierze. Jaśnie pan pewno kuzyn tego pana, przepraszam.

Ufalski zatrzasnął drzwi, Lucio tymczasem trząsł się ze złości.

— Powinienbym ci podziękować, ale, *mon cher*, nie dziękuję. On ma pieniądze grubjanin, gadzina! Szkoda pięciu rubli. To pięć obiadków znośnych na niepomysłne czasy.

— Do tego więc przyszło, Luciu! Ba! gorsze moje kłopoty od twoich.

— Ale cóż za kłopoty? powiedz nareszcie!

Ufalski wymieniwszy mu długi swoje, drażli-

wy rodzaj niektórych i wykazawszy konieczność upłaty, przekonał go, że bez sześćdziesięciu tysięcy obejść się nie może.

— Tak, tak—zawołał Lucio, wsadzając w dziąsła rząddek fałszywych zębów — w twojem położeniu nie można inaczej. Byłoby to zdegradować się z birbanta szlagi, z młodego męża, uktórego dom przyzwoity, na bankruta kompletnego i osławionego. Co innego kawaler hulaka, co innego żonaty. Musisz, serce, choć w części popłacić; żona nie da ci przecie upaść.

— Myślała, że jej stryj dziesięć tysięcy pożyczę. Stary dowiedział się widać, że już na hipotece jest kilkadziesiąt tysięcy, zwąchał może piśmo-nosem, że to dla mnie i odmówił.

— Nikczemny skąpiec!

— Owszem, wcale nie skąpiec, zacny bardzo człowiek! Żona zezwoliła mi wprawdzie, żebyśmy pożyczyl razem dwadzieścia kilka do trzydziestu tysięcy. Ale od trzydziestu do sześćdziesięciu jeszcze bardzo daleko! Co za głupie czasy! Dawniej pożyczylby mi Gustaw, Antoni, Władzio, teraz chyba Alfred. Niegodziwe czasy! niegodziwe!

— O taką summkę i dawniej łatwo nie było.

A to, Mieczuś, panie, na wielką zawsze skalę! Sześćdziesiąt tysięcy mu potrzeba. Alfred? Alfred? Wprawdzie różnica między mną a tobą ogromna. Ty oddać możesz, dasz zapewnienie. Alfred zmienił się *foncièrement*, odmówił mi pięćdziesięciu rubli. Powiedz, serce, ileżbyś ty chciał od niego pożyczyć?

— Przynajmniej ze 20,000, albo niech zaręczy za mnie.

— Probuj, serce, probuj! Nie wiem, ale nie zdaje mi się.

— Kto wie czy nie masz słuszności: ty zawsze byłeś barometrem dobrym.

— Powiedz mi: wszak żyjesz dobrze, sąsiadujesz nawet z Derławskim?

— Więc cóż?—zapytał ostro Mieczysław.

— Jego poproś, ja ci ręczę, że on ci nie odmówi pożyczki lub zaręczenia — szepnął Lucio, podnosząc się na palcach i przyglądając bacznie gościowi.

— Zkąd wnioskujeś? Kto ci mówił o tém?

— Jednoróg, wiesz, nie Szmul ale Stanisław; ten, co to u Julka naprzód stał z brodą za drzwiami w przedpokoju, a potem ogolony rozwałił się

w salonie i ciągnął nam banki w sztos. Zdaje mi się, że mu coś winien jesteś z dawnego. Zgadalo się o tobie: „To bardzo porządne pan. Pan Derłowski z nim ma interessa i szanuje go bardzo. To bardzo porządne pan!“

— Nigdy! nigdy! — zawołał Ufalski mocno.— Przyjaźń sąsiedzka i zażyłość przyjazna swoją drogą, a interes swoją. Mamy wprawdzie wspólną jedną sprawę. Wspólka-to nie pożyczka!

— Na twojem miejscu nie wachalbym się, ale wiész lepiej, anioleczku, odemnie, co się święci. W takim razie nic—jak żydkowie. Będzie to kosztowało, ale da się zrobić.

— Wiem, że od każdego lichwiarza 20,000 a nawet 50,000 pożyczę, bo żona zaręczy. Co do tego, mam już nawet na myśli Dzierlatkę, który dla mnie był zawsze bardzo grzeczny przy tylu interessach. Ale reszta zkąd?

— I resztę znaleźć można. Wprawdzie trzeba tu trochę pofajnować, jak mówi Jednoróg. Nie możesz się obejść?

— Nie mogę w żaden sposób.

— Jeśli koniecznie ci potrzeba, to trzeba też coś poświęcić ze zbytecznych skrupulików i dra-

żliwości niedorzecznej; témbardziej, że to raz ostatni przecie.

— Myślisz już o figielkach, w których jesteś tak biegły, djabelku! Mnie teraz figlować nie wolno. Z lichwiarzami, za kawalerskich nawet czasów nie figlowałem.

— Nie bój się. Jest jakaś niewidzialna ręka, co czuwa nad tobą: w dobrym czy złym zamiarze, nie wiem. *Nous en reparlerons*, uczciwy Mieczuniu, przy obiadku — odszepnął Lucio. Pocałował go w serce, w ramię, podał mu futro i kapelusz, drzwi cicho otworzył i szybko zamknął. Poważnie szedł przez podwórze z Ufalskim, ale gdy przechodził przez bramę, koło szwajcara, tak nagle przyspieszył kroku, że się z nim dopiero Ufalski przy skręcie ulicy złączył. Przy obiedzie jedli dobrze, pili znamienicie. Ufalski zapłacił dwieście kilkadziesiąt złotych.

VIII.

Pani Ufalska cierpiąca, trocha się zdrzemnęła, kiedy mąż przyszedł ją obudzić, i chociaż na nią

zawołał dwukrotnie, jeszcze oczu nie otworzyła.

— Niech papa mamy nie budzi, tylko co zasnęła — poprosiła Polcia, wchodząc na palcach do sypialnego pokoju.

— Konieczny interest, Paulinciu! Ten pan, co ze mną przyszedł, nie może długo czekać.

— Albo to pan! To żyd jakiś brzydki!

— Ciszéj, Paulineczko, bo tam słyhać ze sali.

— A już téż, jak mamę kocham, papa zanadto grzeczny, delikatny i zaprasza aż do sali takiego brzydala. Kiwnął mi zlekka głową, kiedym przechodziła przez salę i zaczął nuty moje przeglądać. Chciałam już doprawdy poprosić pana Szyka, żeby go do przedpokoju wyprosił.

— Panna Paulina widocznie chce się dzisiaj przekomarzać ze mną. Oto lepiej pomóż mi, kochanie, obudzić mamę.

— Mama tylko co zasnęła, niech papa nie budzi!

— Przypominam kochanego panu dobrodziejowi, że ja mam bardzo niewiele czasu—odezwał się głos chrapliwo-nosowy i wejrzała przez otwarte drzwi tłusta, opuchła twarz, z rudemi, pokręconemi włosami.

— Zaraz żona się obudzi, chwilę jeszcze poczekaj, mój Jednoróg, jakieś łaskaw!

Paulinka pobiegła szybko do drzwi i pod nosem z gniewem mu zamknęła.

— Paulinciu, to niepięknie, żeby panienka dobrze wychowana była niegrzeczną dla kogokolwiek — odezwała się matka, która się obudziła na głos Jednoroga.

— Drobiazg może czasem popsuć cały interes, ważny interes; ale Paulinka niewinna. Zrobiła to przez troskliwość dla ciebie — wtrącił Ufalski, sympatycznie patrząc na twarzyczkę pasierbicy, zarumienioną z gniewu.

Matka jój podniosła się i weszła z mężem do sali. Jednoróg siedział na kozetce, gdzie zwykle ona lubiała siadywać. Zobaczywszy ją, wstał, zlekka się uklonił i nieproszony, zaraz usiadł na fotelu, założywszy nogę na nogę. Jedną ręką ujął za gruby łańcuch od zegarka, drugą w kuddatęj gmerał czuprynie i pozierał jakoś z lekceważeniem po meblach salonu.

— Dziwno, co ja nie wiedziałem, że pan dobrodziej ma już córkę tak dorosłą, piękne panienką! — zapytał Ufalskiego.

— To córka mojej żony, moja pasierbica.

— Pani dobrodzika kochana już ma drugie małżeństwo — zapytał, widocznie w chęci prowadzenia dalszej rozmowy.

— Już drugie. Nie traćmy czasu. Dalej do interessu! — rzekł prędko Ufalski.

— Może pani dobrodzika kochane pozwoli mi wypalić cygarę?

Ufalska spojrziała z zadziwieniem na męża, który rzekł niecierpliwie:

— Ja sam cię potem poczęstuję cygarem, teraz nie ma czasu.

— Kiedy bułem wczoraj zrana na herbatę u księża Antoniego, wspominał mi, że na wieczorze u hrabiny Józefowe, panie damy pałą wszystkie cygarę. To dziwne jest! — prawił Jędnoróg, usiłując uśmiechnąć się do Ufalskiej.

— *Nous n'en finirons pas!* — rzekła ta do męża.

— Hrabia Józef, dobry hrabia, ale bardzo gołe jest. Odemnie samego chciał pieniędzy, widać na ten wieczór. A wie pan dobrodziej kochany kto pożyczył?

— Nie ciekawym.

— A wie pan dobrodziej kochający, dla czego on tak pieniędzy traci? Pardon, pani dobrodzikie, to nie on, to jego żone depansowne jest. Jak był u mnie onegdaj na preferanse Lucio, pan zna Lucia?

— Którego?

— Pardon pani dobrodzikie, Luczio, ten mój przyjaciół. Przecie to i pański.

— No, do rzeczy, do rzeczy!

— Czy to fortupiano tutejszy, czy zagraniczne jest? Ja także kupilem ten zagraniczne i zapłaciłem cztery tysiąców.

— Do rzeczy! Nie mam czasu na gawędkę — rzekł coraz niecierpliwiej Ufalski.

— Pan niegrzeczne jest — odparł Jednoróg, podnosząc głowę do góry.

— Co mi tam pleciesz o niegrzeczności! — krzyknął Ufalski, tupiąc nogą. — Masz robić, to rób, a nie — to idź do djabła!

Paulinka z sypialnego pokoju przebiegła wesoło przez salon do siebie.

— A jej! co pan tak niecierpliwe? Niech sama pani dobrodzikie uważy, że tak szie nie mówi,

kiedy nawet i winne szie jest komu i robi interes. jaki jeszcze interes! Pan szie zapomina!

Ufalska chciała odejść, widząc że mąż zaczyna blednąć, a oczy mu się czerwienią. Obawiała się nieprzyjemnej sceny jakiej, o którą u rozgniewanego Ufalskiego nie było trudno.

— Zaczniemy czy nie? — zapytał jednak, przewyciężając się.

— Zaraz, zaraz, niech szie pan wygorączuje! Pani więc dobrodzike kochane, wspólnie z mężem dobrodziejem zgadza się zaciągnąć pożyczkę 20,000. Mąż pani winien mi z dawnego siedmset pięćdziesiąt rublów, więc my to wciągniemy razem. Co do procentów, to my już szie umówiły i przy wypłacie ja sobie odtrączę. Ja bardzo grzeczne interes robie, bo na proste rewers, bez aktu przed rejentem i wpisu do hypoteki pożyczam, a pan szie jeszcze gniewa.

— Nie wspominales mi o tych 5,000 — szepnęła żona. — Kończmy, mój drogi, bo mnie aż głowa rozboleła.

Ufalski wyjął papier stemplowy i chciał pisać rewers. Jednoróg odchrząknawszy i rozwaliwszy się wygodnie na krześle, rzekł poważnie:

— Za pozwoleniem pana dobrodziej, ja dyktuję.

— Dyktuj więc!

— Rublów srebrem trzy tysiące, wyraźnie rublów srebrem trzy tysiące, na dniu dzisiejszym pożyczili my od Stanisława Jednoroga, którą to sumę za zwrotem niniejszego rewersu, solidarnie obowiązujemy szie oddać na dzień 4 Lipca b. r. niezawodnie, zapewniając bezpieczeństwu na dobrach Lasziska, w powiecie... gubernii... położonych, oraz na całym majątku ruchomym. Walutę całkowitą w gotowości odebrali my.

— Warszawa, dnia — rzekł niecierpliwie Ufalski.

— Za pozwoleniem! Jeszcze małe rzecz! Wrazie uchybienia terminu, poddajemy się egzekucję prawną, wprost na mocy niniejszego rewersu wynikające, bez poprzednie wyroki sądowe, na co własnoręcznie podpisujemy się. Pani dobrodzike będzie łaskawe podpisać pierwsza — rzekł, wyrrywając bez ceremonji pióro z rąk Ufalskiego. — Teraz pan dobrodziej kochany. Warszawa, dnia... miesiące... Dobrze! — dodał przeglądając rewers i podpisy — dobrze!

Po co się było gniewać? Przecie my dawne znajome.

— Kiedyż zapłacisz?—zapytał Ufalski, odbierając rewers i chowając do pularesu.

— Jutro tu będę zrana o dziesiątę, jeśli może to nie zderanżuje panią dobrodzikę.

— Uwolnij mnie od téj wizyty — rzekła po francuzku żona.

— To my na mieszcie ten interess załatwim— odparł z uśmiechem Jednoróg, dając do zrozumienia, że rozumie po francuzku.

Nazajutrz gdy przed wieczorem Ufalski wrócił do domu (nie był na obiedzie), oddał żonie rewers na cztery części rozdarty.

— Muszę poszukać innego żyda — rzekł zadumany. — Jak mnie zaczął wodzić od Anasza do Kajfasza, tak go odprawiłem do wszystkich djabłów. Pewno tu jutro przyjdzie Ametystowicz: z nim łatwiejsza sprawa.

Nazajutrz przyszedł Ametystowicz z plastrem na oku, kłaniający się, jękający i lepiej po polsku mówiący od Jednoroga. Chociaż nie zdjął algierki futrzeń, wszedłszy do sali, załedwie jednak śmiał usiąść przy Ufalskiej.

Odbyła się z nim ta sama ceremonja—ale tegoż samego wieczora oddał znów Ufalski rewers żonie, przeklinając żyda, że jeszcze większego żądał procentu niż Jednoróg.

— Najlepsza to będzie sprawa z Dzierlatką: z nim się zaraz interess zrobi. To nawet uczciwy żyd, jak na lichwiarza. Przepraszam cię, kochanie, za tyle ambarassów! Z pewnością to raz ostatni, i wierzaj mi, że nad tém więcéj od ciebie boleję.

Za chwilę wyszedł z domu. Czekał na niego u Loursa Lucio, jakiś wyświeżony, z binoklem na nosie. Jadł sobie z nudów imbir smażony w cukrze i popijał kiurasem.

W parę dni potém, Ufalski pojechał do Dzierlatki. Myśli mu ciągle szeptały dwa krótkie zdania, któremi od niejakiego czasu usprawiedliwiał czy téż potępiał swoje postępowanie: — „Oj Miciu! Miciu! coś ty nabroila!“ „Oj Mieczysławie, czemuś się ożenił?“ — Prócz téj piosnki w głowie i trzech butelek, które przy śniadaniu z Luciem wychylił, odzywał się mu jeszcze poszept ważniejszy, którego sam przed sobą chciałby się

był wyprzeć lub zapomnieć na zawsze. Określał go temi orzeczeniami: — „Kto za Lucia radą pójdzie, to ten djabeł zawsze go splami lub zbruka.“ — Odesłałem wprawdzie Antkowi, Mruczka w polowie zaspokoilem, Weronika odczepila się. Gdyby jeszcze tym oddać! Jakże mnie zdarli bez litości! Zawsze przynajmniej na trzy miesiące mam spokojną głowę. Przez trzy miesiące, wiele bardzo wiele stać się może. Oj Miciu! Miciu!

Stanął na Chłodnej ulicy. W sieni na pierwszym piętrze przeżegnał się, roześmiał i zadzwonił.

— Ach! jaki zaszczyt dla mnie, że pan dobrodziej do mnie łaskaw pofatygował — zawołał otwierając drzwi sam gospodarz domu, rumiany, twarzy nieodrażającój, w średnim wieku, pan Dzierłatka. — Proszę bardzo do salonu, niech pan nie żenuje, można w palte, ja sam w tużurku, bo żonę moję nie ma w domu.

Ufalski z uśmiechem wszedł do drugiego pokoju, gdzie posadzka była wprawdzie froterowana i meble palisandrowe, ale tylko co musiały być nabyte. Z pod brudnych powłoczek kartonowych wyglądało jeszcze zgrzebne płótno. By-

ły tam aż dwie serwantki, kilka wazonów z tak zwanego florenckiego marmu, bez ładu ustawionych; fortepian z dawnego na nowy przerobiony, biórko staroświeckie, orzechowe. Na ścianie daguerotypy pana Dzierłatki z całą familją, kilka sztychów koloryzowanych z romansowemi podpisami: Eveline, Mathilde, Adelaide i t. d., w kącie piec okopcony, przed nim kawał wypalanej podłogi.

Okna zasłonięte były grubemi, perkalowemi firankami.

— Niech pan siada sobie z łaski swojej— rzekł sadowiąc się także Dzierłatka i lewém ramięm czochając się nieco, jakby mu niewygodnie było w tużurku.

— Służące pojechał z żonom i córkom, sam przyniosę panu cygar—dodał, stawiając pudełko z cygarami, srebrną popielniczkę, lojówkę w wysokim mosiężnym, szabassowym lichtarzu i paczkę zapalek na stoliku.

— Ja muszę pana poczęstować—rzekł Ufałski, otwierając port-segarę, z kąd Dzierłatka biorąc cygaro, dojrzał paczki biletów bankowych z drugiej strony ułożonych. Kilka wystających

rogów od stu-rubłówek, miły uśmiech sprowadziły mu na usta.

— To na teraz do palenia, a to jako amatorowi na potem — dodał Ufalski, kładąc na stoliku kilkanaście cygar. Oczy Dzierłatki ruchliwe jak żywe srebro, że nigdy w nich spojrzenia uchwycić nie można było, zatrzymały się tym razem przez chwilkę na dorodnej twarzy gościa.

— Pan zawsze był i jest bardzo grzeczne. Jak u hr. Edmunda jeszcze pana miałem przyjemność znać, to pan mi zawsze jakie przyjemność starał zrobić i my nawet wszystkich interesów ze sobą godnie kończyli. Bardzo panu dziękuję.

— Nie ma za co. To drobiazg, panie Dzierłatka!

— Ja bardzo lubię, kiedy kto i w drobiazgie grzeczne jest dla mnie. Możeby pan dobrodziej kieliszek wódki ze mną. szie napił, nim o interesu mówicz będziemy?

— Zgoda! — rzekł Ufalski, kontent, że Dzierłatka pierwszy mówić zaczyna o tém, co mu z trudnością z gardła wychodziło.

Dzierłatka poczęstował Ufalskiego śliwownicą.

— No jakże? Jakże pańskie żone zdecydowała, kiedy mnie pan dobrodziej zapłaci, bo mnie naprawdę potrzebne pieniądze?

— Zapłacić nie mogę ci teraz, panie Dzierlatka, témbardziej, że choć mam pieniądze, jeszcze mi kilkunastu tysięcy na ukończenie interesu jednego koniecznie potrzeba.

— Jak zrobimy?

— To już w tem pańska głowa.

— Ja panu co powiem — odrzekł mocniejszym nieco głosem Dzierlatka — a małe jego oczki jeszcze żwawiej na wszystkie strony poruszać się zaczęły. — Pan mnie winieneś cztery tysiące rublów, na które mam podpis pana, to jest pańskiej żony, która wiem, że jemu przyzna, wiem. Czy pan się spodziewa pieniędzy w tych czasach?

— To jest jak prędko?

— Tak, za kwartał, za cztery, za pięć miesięcy — rzekł Dzierlatka, patrząc na końce lakierowanych butów Ufałskiego.

— Wielkich nie, ale ze czterdziestu tysięcy spodziewać się mogę — odparł Ufałski, licząc na

to, że wygra na loterji lub w karty, albo w ostatnim razie pożyczę od wuja.

— Ja panu co powiem. Muszę pana szanować i wierzyć prawdziwie, kiedy panu tyle razy na prosty rewers pożyczyłem; ostatnim razem nie widząc nawet jego żony? Teraz dopłacę tyśiąc rublów w gotowiźnie, odtrącę od dawnego!

— A reszta?

— W pięćset rublach dam panu te wszystkie wazony i mojego walacha skaro-gniadego.

— Ależ zlituj się, panie Dzierlatka, skórę ze mnie zdzierasz.

— Niech panu kto inny takie innteress zrobi. Zresztą, nie przystaje pan, to do woli pana. U mnie pieniądz próżnować nie może. Niech mi pan zwróci tamten dług cały, to najchętniej zrobimy innteress — ale tak choć się pan na ś-ty Jan spodziewa pieniędzy, ja nie wiem, że pan będziesz miał. Ja pana nie nagle, niech szie pan namyszli!

— Żebyś mi choć dziewięć tysięcy mógł dać gotówką.

— Dam panu osziem, i to moje ostatnie sło-

wo. Pół dziewięta. Nie podoba szie, panie do brodzieju?

— Kiedy inaczej nie można, i na to przystać trzeba. Tak mi potrzebne pieniądze do ukończenia processu, że najoczywiściej pozwałam się łupić, panie Dzierłatka!

— Process? Kiedy pana Derławskiego w tém głowa, to pewno wygra—wtrącił niedbale Dzierłatka.—Pan powiada, że ja pana złupie. Niech noby pan z innymi zaczął: z Jednorogiem, Ametystowiczem albo Librowskim; toby pana dopiero złupily.

Ufalski przyznać musiał w duszy, że pan Dzierłatka miał słusność.

— Ja już takich interessów nie robię nawet. Ale ja do pana mam słaboszcz: pan mnie zawiódł może czasem, ale nie oszukał, przepraszam; bo pan prawdziwie grzeczne. był dla mnie zawsze i wiem, że krzywde miecz nie będę. Pańskie żona ostatnieby wszystko za pana oddała.

— Do tego nie przyjdzie, ja sam zapłacę—odrzekł Ufalski nagle.

— Ja wiem, tak szie tylko mówi, ale po co czas zamarynować, kiedy interess skończyć mo-

żemy — dodał, przynosząc po chwili z biórka dawny weksel, papier stempłowy, atrament i pióro. — Ufalski w podobnym rodzaju rewers jak poprzednie napisał.

— Jedźmy więc — zawołał. — Żona zaraz podpisze, a ja bardzo będę ci obowiązany, panie Dzierłatka.

— Mogłybyśmy i nie jechać. Co mąż, to żona, co żona, to mąż; jeszcze tak porządne państwo. Zresztą, wezmę pieniądze, pojedziemy do Banku: zamienię list zastawne, a wazony przysłać panu do mieszkania?

— Dwa można przysłać. Po resztę ja sam przyślę.

— Bardzo dobrze, kochany panie Ufalski. Ach! otóż i moje żone z córką: to w samą porę przyjechały.

Po chwili weszły dwie damy, z których starsza, choć jeszcze nie stara, tłusta i sporego wzrostu, z okrągłemi a czarnemi jak węgiel oczyma, cery czerwonej; miała na sobie salopę materjalną w migdałowe cętki i kapelusz barwy siarczystej z piórami, zamiast bindy perukę, z pod której jednak koniuszczki odrastających włosów

przezierały. Była to pani Dzierłatka. Dygnawszy pompatycznie Ufałskiemu i mężowi powiedziałwszy wdzięcznie: — jak szie mas kochankie! — rozsiaść się chciała w fotelu, ale że miejsca dla jój objętości nie starczyło, przeniosła się na kanapę i odetchnęła. Dzierłatka cochnął się lewém ramieniem.

— To moje żona, którą pan zna, a to moje córkie Łutka, którą panu reprezentuję — rzekł po chwili, wskazując na opiekłą Łutkę w biało-papuzi kapeluszu i wiśniowy płaszczyk z szensyłowym kołnierzem strojną. Trocha piegów, włosy rudawe i nawet malutki, czasem niespodziany zyzik, nie były tak nieprzyjemne, żeby jój twarz tchnąca zdrowiem i młodością, nie miała się podobać. Owszem, była niczegowata (kobiety z jój rodu nieraz prawdziwie są piękne), a kiedy z zimna i *reprezentacji* ojcowskiój przystojnemu mężczyźnie świeże rumieńce na białą, świeżą cerę wystąpiły, panna Dzierłatka mogła się i podobać.

— Młodsze moje córki — szepnął po chwili Dzierłatka, na bok odprowadzając Ufałskiego — chodzą na pensje; żałuję, że ta w domu miała

tylko metra i muzykie dosyć trocha się nauczyła: ma głos przyjemne. Może pan posłucha. Tylko, że ona bardzo żenujące; niech pan sam poprosi, proszę pana.

Ufalski przeklinając w duszy talent panny Lutki, ale pragnąc jednak skończyć z ojcem, usta ubrał w najgrzeczniejszy uśmiech i udał się do pani Dzierłatka, żeby prośbę jego u córki poparła.

— Poprę! poprę! poprę!—odparła uszczęśliwiona mama, a trzykrotnie wymówione *r*, wyleciało jęj z gardła jak fryga lub bąk po posadzce.— Zaszpiewaj co kochane Łudeczkie! Pan hrabia proszi.

Panna Łutka zdjęła salopkę, kapelusz, rękawiczki, chuchnęła w ręce, rozlarła je, rumieniec rozciągnął się aż do uszu i kształtniej szyi, otworzyła fortepjan i — po kilku akkordach— donośny głosik zanucił następującą piosnkę dziwnego wyboru, której słowa nieźle wymawiane, mniej więcej tak usłyszał Ufalski:

Śluchajcie panienki młode:

Zbierajcie kwiatki i zioła...

— *Was heisst denn eigentlich* ziola? — spytał Dzierłatka żony, który tego dobrze nie rozumiał.

— Ziola! ziółkie! kraüter, tyzannes, rumiankies, kwiat lipowe, szałwie, pieprz mientowe—odsze-pnęła żona.

— *Verstehe! Verstehe!* Bardzo żenujące moje córki — dodał ciszej do Ufalskiego.

— Owszem, tak piękny głosik trzeba pielęgnować. Niech pani śpiewu nie zaniedbuje!

Wy macie uczuć swobodę

I blask waszego anioła.

Mówią, że ja zakochana:

O! nie wiercie proszę.

— Ty tu opuściła coś, Łudeczke; tu dłużej szie jakosz szpiewa. *Du hast das Sehr verlassen.*

— To wszystko jedno, mamó!

— No, no, zaszpiwaj jak dawniej, Łudeczko!

O! nie wiercie, bardzo proszę!

Kochać, cóż za słodka zmiana.

To są rozkosze.

— Ślicznie! — zawołał Ufalski. — Pani widać musi bardzo lubić muzykę?

— I teatr i operę i balet — odparła wstając panna Łutka, i jeszcze raz spojrziała na dorodną twarz gościa.

— A dzisz w teatrze, zdaje szie, że opere— odezwała się sapiąc mama.—Precz wy *szajgece, fort, guchem!* — zawołała grzmiąco, aż się szyby zatrzęsły, na zgraję bachurów swoich, co już oddawna szwargocząc u drzwi, wbiegły z hałasem do salki.

— Nie czytałam na afiszu — szepnęła córka i przelotnym jakimś zyzikiem spojrziała na ojca, który nieco zamyślony, czego szybsze bieganie oczu jawnym było dowodem, przyglądał się z boku Ufalskiemu.

— No to i chodźmy — rzekł nagle.—Kiedym panu obiecał, że dzisiaj interess skończę; słowa muszę dotrzymać.

— Józef! daj nam futra!

Przyszedł z futrami suchy Józef, oliwkowej cery. Kręcone, gęste i krótko ostrzyżone włosy jego, niedawno z pod krymki wyjść musiały.

Ufalski grzecznie sklonił się i kiedy już wy-

szedł, matka z Łudką przypadły do Dzierłatki i zaczęły mu szeptać na wysługi:— a opere, a teatres, baletes. Po nich jeszcze zgraja bachurków zaczęła wołać: — a karmelkies, a piernikies, a makagie.

— Dzierłatka na to wszystko kiwnął głową, cochnął się lewém ramieniem i wyrzekł sentencjonalnie:

— *A gitter* szlachcie, uczciwe szlachcie.

— *Feiner Graf!* — rzekła matka.

Łutka pobiegła do okna spojrzeć na dorózkę, w której Ufalski czekał na jój ojca.

Kiedy Dzierłatka już zmienił pieniądze, w workach i papierach zniósł je do dorózki, zapytał nagle Ufalskiego:

— Teraz jedziemy. Do pana dobrodzieja—za pewno żenujące?

— Gdzie chcesz! U ciebie czy gdzieindziej, panie Dzierłatka! Albo... może... na winko wstąpimy, może na obiadek?

— Do Premiera?

— Do jakiego Premiera?

— Ten, co w Roeslera domu ma szyld Premier.

— A! do Miszota? Chodźmy—rzekł po chwilowym namyśle. — Weźmiemy sobie oddzielny pokój i pociągniemy trocha! Wszak lubisz, panie Dzierlatka, czasem dobrego winka skosztować?

— Nu, kto nie lubi? Pamięta pan, jak hrabie Edward raz mnie prosił na obiad. Były także wtedy...

— A córka, żona, co mówią?—zagadnął z przymuszonym uśmiechem Ufalski.

— Dla mojej żony i córki, ja wiem, że pan poszle dzisiaj łoże na trzecim piętrze do teatru, a my sobie będziemy się *wesoło* bawili, jak pań laskawy dobrodziej będzie chciał tylko.

IX.

Była to pierwsza zabawa tańcząca, jaką téj zimy Ufalscy wydawali w Warszawie:—rodzaj więc balu. Gdyby on był chciał, mógłby sprosić modniejsze towarzystwo, zwłaszcza téż męzkie, ale na żonę musiał zdać wybór i zaproszenie kobiet z pomiędzy familji i wiejskiego karnawalowego transportu. Mężątek Warszawianek trzy tylko by-

ło, z których dwie z córkami. Z temi paniami przyszło nieco młodzieży z ich koterji. Resztę zaproszonych mężczyzn dopełnił Ufalski kilkunasu młodszymi swoimi znajomymi, li z wiejskiej sfery, co to na zimę z rozmaitych stron królestwa spływają do Warszawy. Nie byli to blizcy jego znajomi, a żaden z nich nie był bardzo obyty w towarzystwach tutejszych; dla tego téż za coś poczytywać sobie mogli wieczór w porządnym domu, gdzie dobry ton gospodarstwa, powierzchowność Mieczysława i piękny apartament imponować im mogły. O pannie Paulinie powszechnie mniemanie twierdziło, że była ładna, dobrze wychowana i posażna—przyznawali jej to znajomi, a nowo przedstawieni ciekawi byli czy przyznają.

W sali obszerniej i dobrze oświetlonej każda para mogła popisywać się dowoli tańcowemi zdolnościami. Pani Ufalska cokolwiek za starannie, może za młodo ubrana, przypominała jak zwykle dawną piękność; należała jeszcze do tańczących. Klassycznie pięknej kobiety nie było, ale téż i szpetnej ani jednej. Wszystkie albo bardzo ładne, albo ładne, albo przystojne; albo téż

niczego, jak zwykle Polki, co to twierdzą o nich cudzoziemcy, że dla zrównoważenia świetnych przymiotów mężczyzn, zabraly nam tylko wdzięk, powab i rozum. Pomiędzy mężatkami odznaczała się pani Michalina Derlawska. Ubrana była bardzo niebiesko: na sukni, w stroiku głowy, nawet w emalii bransoletek, przeważała barwa stałości, z którą okazałej szatyńce o wyrazistych żenicach było dosyć do twarzy, a byłoby zupełnie szczuplejszój i bledszój od niój kobiecie. Twarz jój kształtna, biała szyja, ramiona pulchne, biust wydatny, usta pełne i ostro wycięte, włosy bujne, — w próżniaczój lub zajętej nią wyobraźni, mogły na pozór pobudzić myśli, marzenia lub chęci przyjemne i arcy-ziemskie zarazem. Twarz jój i postać nie miała jednak nieruchomości, ani ospałości miękkiej, cechującej kobiety, nieco od niój otulsze i piękniejsze. W oczach, na ustach, w poruszeniu ręki, w sposobie siedzenia, widać było, że nerwy grały, ale czy tém subtelniejszym życiem, co w ognisku wrażliwego serca, zapala ócz promienie żywsze, od marzącej duszy bierze zadumę czoła? — Po ustach pełnych, błakał lekki grymasik niezadowolenia czy też ta-

jonego przymusu; żywe oczy powlóczysto spoglądały czasem. Do tańca nie zawsze przyjęła zaproszenie, a czasem wyglądała zamyślona w polce lub walcu.

Młodzież nie zajmowała się nią tak bardzo. Ośmielała ich bardziej inna męzatka, Warszawianka, nie tak nadobna ale ruchliwsza, z prawdziwem upodobaniem oddana tańcowi, a której nigdy nie zabrakło uśmiechu i odpowiedzi grzecznej na pochlebne słówka. Za to pani Ufalska, o ile jej tylko dozwalały obowiązki gospodyni, a nie wzbraniała troskliwość macierzyńska, śledząca tryumfów jedynaczki,—prawie nie odstępowała pani Michaliny. Rozmawiały tak uprzejmie i poufnie, czasem nawet szeptały, uśmiechały się z wzajemnych uwag, postrzeżeń, a może i zwierzań... Oczy ich nabierały dziwnej przenikliwości, kiedy jedna na drugą zdaleka spojrzeć mogła tém spojrzeniem kobiecém, szybkim i wnioskującym, co w mgnieniu jedném drugą obejrzy,—od faldka falbany do końca grzebienia; od korka trzewika do myśli pod maską twarzy ukrytych, lub przez nią wyrażanych.

Ufalski tymczasem jako gościany i szczęśliwy

gospodarz, skwapliwie kręcił się wszędzie. Radził wiścierzom i preferansistom, a potrafił radzić, bo grał dobrze w karty;—baczył, żeby przy kombinacjach gry kieliszki nie próżnowały, a wino, na którym także znał się dobrze, zastosował do szanownego wieku grających. Kieliszek Derławskiego szczególnie go zajmował, czego oczywiste były dowody na kropkach potu, występujących coraz obficie na nos, objuczony niebieskimi konserwami. Sposób, jakim podegrał kilka razy w wista wuj żony jego, prezes, także go nieraz zastanowił i wywołał trzy wykrzykniki zadziwienia i cztery zachwyty. A jakże umiał namawiać młodzież do tańca, rozmawiać z nimi o tancerkach, wynajdywać dowcipne powody, żeby nie zapominali o pokrzepianiu sił francuzem lub węgrzynem, co w dobrym gatunku niewyczerpane stało w drugim pokoju! Kobietom gdy prawił grzeczności, zachwycone panienki dziwiły się, dla czego ich do tańca nie zaprasza,—a i mężatki uznawały go za najprzystojniejszego mężczyznę z całego grona. Czasem siadał przy żonie lub przy pani Michalinie, brał lornetkę w oko, co na młodzieży wywierało wrażenie, bo

duże mając jamy oczne, bardzo mu w nich wygodnie, bez skrzywienia twarzy, szkielko się mieściło.—Właśnie ktoś żonę zabrał do tańca,—kiedy siadał przy niej: zaczął więc rozmawiać z jej sąsiadką.—Po kilku chwilach rozmowy, żyły mu nabrzmiały u skroni, szczęki zacięły się i brwi zmarszczyły. Niebieskie wstążki i gazy, brosza z szafirami poruszyła się żywiej na piersi Michaliny, grymas na ustach powiększył się; drgnienie, jakby odblasku dalekiego ognia, przebiegło po twarzy i szyi, i zdawało się niknąć między pulchnemi ramionami.

— Trwałość wspomnień pierzchliwsza od trwałości wdziaków. Tak jest!—rzekł nagle.

— Ależ to niegrzecznie wspominać kobiecie o trwałości, która wkrótce znika. To już nietrwałość w takim razie.

— Mówią, że piękność zachowują najdłużej kobiety obojętnego usposobienia. Trzeba strzedz serca... choćby jeszcze bardzo daleko było do tego kresu.

— Powinniby mieć ten sam przywilej mężczyźni lekkiego usposobienia.

— Z dodatkiem hulanki, która termin skróca.

— To niedobry dodatek, bo nad nim bardziej drudzy cięrpia.

— Niż sam hulaka?... Pawda! — dodał, zlekka zwracając się w stronę, gdzie żona tańczyła. — Są czasem anioły-kobiety, których niegodni ludzie letcy i płosi.

— O! tak — rzekła z lekkim westchnieniem kobieta, poprawiając koronek u szyi.

— Ale bywają i pozorne anioły.

Znikł grymasik z ust Michaliny, które się nieco dumnie podniosły, z powłoczystego wzroku wyjrzały dwie strzały promienne, gdy spotkały się z oczyma Ufalskiego, z których wypadła lornetka — ale nagle wzrok zlagodniał i najmiłszy głosik szepnął wesoło do pani Ufalskiej, że uważała, jak wszyscy patrzą tylko na Polcię: tak prześliczną tego wieczoru. Nawet sam ojczym ciągle o niej rozmawiał.

— O! państwo ci bardzo są w przyjaźni — odparła matka i wskazała na męża, który istotnie zbliżył się do pasierbicy, pożartował z nią chwilkę, potem usiadł na chwilę przy oknie w dali od tłumu i znów lornetką oko uzbroił.

Panna Polcia w białej sukience, drobnymi nóż-

kami jak cień przesuwiała się po posadzce. Trzepotały jasne loki, błyskały żywe oczy, migiała mléczna szyjka i rączki różowe. — Młodzież nie odlepiała od niej wzroku, przyznając jéj pierwszeństwo między pannami— a ona, nie wiedząc czy wiedząc o tém, z jednakowym uśmiechem tańczyła z każdym i rozmawiała. Czy z każdym?

Szyk nieruchomy jak karjatyd stał we drzwiach od jéj pokoiku, na buffet dziś zamienionego i zwracał ciągle oczy w jedną stronę, ale że miał oczy niewielkie i głęboko osadzone, nie zdradzał niemi osoby, co go zajmowała. Czasem tylko uśmiechał się do brata swojego Felicjana, o którego twarzy nieuderzającój ale bardzo przystojnej, o spuściznie oczywistój po matce, w oczach ciemnych i dużych, ułożeniu skromném a wprawném i tańcu bardzo przyzwoitym—kobiety bardzo pochlebnie myślały, a nawet mówiły. Polcia przyszła go wybrać do figury w mazurku i nie patrzała nań zupełnie. Kiedy go z porządku figury oddała innój tancerce, dopiero wtedy z boku zwróciła spojrzenie ciekawe, bojaźliwe i głębokie. Uśmiechnęła się do tancerza swojego, dalekiego kuzyna jéj ojczyma. Był to młody, stoty-

sięczny dziedzic, włosów ryżawych *à la mal-content*, twarz miał trocha krostowatą, wzrost niewielki i lornetkę bujającą po białej kamizelce. Dziedzic coś powiedział, znów uśmiechnęła się i przypadkiem spojrzała na nieruchomą postać Nepomucena Szyka, koło którego przebiegła w tańcu. Szkarlatem twarz się jęj oblala, a pan Felicjan tymczasem swoją tancerkę posadził aż na drugim rogu sali.

Nepomucen poprawił halsztuka, który mu brodę po wojskowemu do góry podnosił i wyszedł na chwilę do pokoju swojego. Na progu uderzył się pięścią w czoło, westchnął i siadłszy konno na krześle, w świecę samotną zapatrzył się nieruchomo.

Dochodził go ów zmieszany hałas i dźwięczny gwar zabawy. Uczeń jego oparłszy głowę o stół na grammatyce Trojańskiego, smacznie chrapał w ubraniu.

— Żebym to ja choć przez pół tak umiał tańczyć jak Felicjan, ale takie gburzysko jak ja, chyba do pluga zdatne — zawołał półgłosem. Nie mogąc pohamować wybuchu niezadowolenia, uderzył pięścią w stół aż się ocknął Julek i z zam-

kniętami oczyma wyszeptał przykład składni, której się uczył przed chwilą: *puto, te amaturum esse*.

Roześmiał się Szyk mimowoli, głośną malca po głowie, co ją znów oparł o książkę, a sam zapatrzył się w świecę, otaczając się kłębamii dymu z cygara, co bure i niekształtne płynęły nad światłem.

Do Ufalskiego zbliżył się dziedzic ryżawy, usiadł przy nim i chciał go naśladować kwadratową niezgrabną lornetką, nie był bo w humorze. Wesolą ową męzatkę zamówił do kontredansa. Gdy się kontredans rozpoczął, stanęła do tańca z Felicjanem. Dziedzic zaręczał dwukrotnie, że zamówił pierwszy; Felicjan toż samo trzykrotnie twierdził o sobie. Dama go przeprosiła, przyznając słusność Felicjanowi: musiał ustąpić. Zdawało się mu, że jakiegoś szyderczego uśmiechu dojrzał w gładkiej twarzy antagonisty, zdawało się mu, że go za lekko traktuje Warszawiak bez wąsów i faworytów.

Takim panom nieraz się zdaje to i owo.

— Panie Mieczysławie! Kto jest ten pan tań-

czący z tą bardzo wesołą mężatką? — zapytał Ufalskiego złą francuzczyzną.

— Który?

— Ten szatynek ogolony.

— To brat guwenera Julka — odparł machinalnie i niechętnie Ufalski.

— Zapewnie urzędnik?

— Tak! Jakiś tam urzędnik — przebaknął z lekceważeniem.

Z pewnością nie myślał o tém, co powiedział.

— Wyobraź sobie, panie Mieczysławie! — zaczął skargę dziedzic, ale Ufalski wstał nagle, wyszedł do bufetu, nalał sobie kieliszek wódki i duszkiem wychyliwszy, otrząsnął się. Wyjął pulares, stanął w kącie przy portjerze, zajrzał do torebki, gdzie dwa stułotowe papiérki i kilka dziesięcio-rublowych, cały kapitał składały. Zgrzytnął zębami, schował pulares, nalał sobie jeszcze jeden kieliszek, zaklął po francuzku i tupnął nogą. Ktoś chrząknął. Odwrócił się: Nepomucen Szyk wracał od siebie.

— Chodźmyż prędzej, chodźmy... my oba tak potrzebni na tym balu: filary zabawy — rzekł ironicznie.

X.

Wiściarze ukonczyli partję. Jak tylko pani Ufalska zobaczyła we drzwiach wuja, natychmiast przybiegła z córką, usadowiła go między sobą i Michaliną, przy której znowu zajął miejsce mąż.

Kobiety w niektórych razach nie potrzebują porozumiewać się bliżej, odgadują jak w interesie niewspólnym nawet, zgodnie działać potrzeba i lubią używać tych drobnych swoich, dyplomatycznych darów;—zwłaszcza kiedy ich bez szkody dla siebie używać mogą. Pani Michalina widząc troskliwość pełną uszanowania, którą matka z córką otaczały kuzyna, dostrzegłszy jeszcze pierwiej grzeczności dla pana Mieczysława, —dała także popis uprzejmości zręcznej, słówkon. jedwabnym i potoczystym, których starsi chętnie z pięknych ust słuchają.

Rzuciwszy okiem przychylném na tańczącą młodzież, prezes rozpoczął gawędkę o młodzieży w ogóle, podzielił ją na dwa oddziały: pracowitych i próżniaków, na których bardzo powstawał.

— Muszę się ująć, panie prezesie, za próżniakami choć w części — wtrąciła Michalina. — Niektórzy z nich przynajmniej tańczyć i rozmawiać z kobietami potrafią. Starszy Szyk naprzykład, może być wzorem pracowitości, uczciwości, ale i nieokrzesania; młodszy nie musi być już tak pracowitym, bo tańczy nieźle i ma pewien rodzaj manier, których pewno od starszego nie nabrał.

— To zastanawia, jak teraz spotyka się wielu młodych ludzi nazwisk nieznanych zupełnie, niewiadomo z kąd przybyłych, których w towarzystwie bardzo na swoim miejscu znaleźć można.

— Jeżeli to stosujesz, radco, do nazwiska Szyków, dziwi mnie, że powątpiewać możesz o najpiękniejszym pochodzeniu tej rodziny, przybyłej ze Śląska do Wielko a potem do Mało-Polski, i od czasów Zygmunta Augusta osiadłej. Byli oni wyznania naprzód braci czeskich, potem arjańskiego. Za Jana Kazimierza jedna ich gałąź wyszła za granicę, zapewne do Holandji, gdzie po zmianie nazwiska już ich dziś nie dojdiesz; druga wróciła do wiary katolickiej i w kraju po-

została. Z téj gałęzi właśnie, ostatnimi potomkami może ci dwaj bracia. Ojca ich znalazłem osobiście: zdolny, można powiedzieć, urzędnik. Sobiesławy Szykowie, znana bardzo rodzina, zlituj się, radco!

— *Réellement c'est ainsi*, masz słuszość, prezencie, przypominam sobie — odparł radca poważnie do żony.

— Powiedzmy raczój, że niejedna z nazw, które dzisiaj za świetne uchodzą, jest bez porównania późniejszą, nowszą; czasem bardzo świeższą nobilitacją od wielu takich, co się nieznanymi, a raczój, można powiedzieć, zapomnianymi wydają. Zaszczytu szlachectwa zasługami można było dostąpić. Nowe warstwy układały się na dawniejszych, występowali nowi ludzie energiczniejsi i zabieglejsi od tych, co w niezależnym, wolnym stanie, kilka nieraz wieków przeżywszy, przez *rozdrobnienie* mienia schodzili na prostych, zagonowych rolników, jedynie klejnotem wyróżnionych. Do dziś dnia w osadach szlacheckich przekonać się można o tém.

— Jednakże są tak szczęśliwe rody i nazwy, co od dawna umiały się w równowadze utrzy-

mać i utrzymują — wtrącił Derławski, podnosząc głowę i poprawiając konserwów.

— Bywalo to — odparł prezes — ale i to bywa, że ród jeden gaśnie zupełnie, potem kiedyś tam występuje znów ta sama nazwa, najczęściej nie tego nawet herbu... i dla nieświadomych za ten sam szczep uchodzi. Panie dobrodziejki, można powiedzieć, niewiele zabawicie się przy rzęczeniu naszym o przeszłości.

— Owszem, wuju, słuchamy jak najpilniej — rzekła Ufalska.

— I korzystamy, prezesie! Kobiety chociaż niepojętne, czasem rozumieją — dodała Michalina.

— O tém nie wątpię, pani radczyni łaskawa, bo panie i to rozumiecie, że ten, co zacnością osobistą uszlachetnia nazwę, jakkolwiek Bóg mu dał, ma dopiero wartość szlachezną. Przeszłość szanować potrzeba jak katakumby, gdzie liczne napisy na taflach, czytamy z religijném uczuciem; — a terażniejszość na przyszłość pracować winna. Oto, Nepomucen Szyk, to mi zacny, przykładowy można powiedzieć młodzieniec, i prawdziwe to szczęście dla siostrzenicy mojej, że go ma w swoim domu. Winna to radcy, po-

prawdzie, który tak pochlebne a słuszne o nim zdanie wynurzył.

— Rzadko tak roztropnego nauczyciela, *je vous l'ai dit, Micheline* — rzekł Derławski.

— Bardzo cierpliwy — wtrąciła Michalina.

— A jaki cichy, grzeczny, delikatny — dodała Ufalska. — Otóż jak to Bóg laskaw i błogosławi ludziom takim! Rodzice młodo ich odumarli, a starszy brat własną, ciężką, gorzką pracą lepiej potrafił pokierować młodszego, niż niejedna matka lub ojciec własne dzieci swoje. Skończył uniwersytet, ma być prawnikiem, jak słyszę zdolnym; szkoda tylko, że nie na linii obrończej, ale pogadam o tém z panem Nepomucenem.

— Prezes istotnie bardzo serdecznie zajmiesz się nimi.

— Bo takimi ludźmi, pani radczyno, wypada i trzeba się zajmować. W surowej szkole kształcą się najużyteczniejsi ludzie. Ojcowie nasi dobrze to rozumieli. I powiedzcież panie sumień, żywiój — odezwał się prezes — przyznaj i ty, radco, powiedzmy wszyscy z ręką na sercu, czy tacy ludzie nie więcej pod każdym względem warci od tych tu drugich, co dobrym rodzi-

com lub familji zawdzięczają niezależność, dobry byt i przedewszystkiém próżniaczkę? Czy takim nie łatwiej zaufać, czy nie jest bezpieczniej wydać za nich córkę i powierzyć los dziecięcia, niż tym, coby zubożawszy, na kawalek chleba zarobić nie potrafili?

— Nie każdy tak szczęśliwy, prezesie, żeby się biednym urodził — wtrąciła z lekkim uśmiechem Michalina.

— Wielu jest dana ochota do pracy, ale nie wszystkim wytrwałość, której trudno nabyć, bo ją podobno Bóg daje — dodała Ufalska.

— Zdanie pańskie, prezesie, nie wytrzyma bezpośredniej repliki — rzekł radca — jest oczywiście — ale okoliczności, temperament, położenie. Gdyby nie było mniej i bardziej pracowitych; toby równowagi pracy w społeczeństwie nie było.

— Jedna Polcia widać zgadza się ze mną zupełnie — rzekł prezes, usuwając rękę, w którą go wnuczka, od kilku chwil przysłuchująca się rozmowie, pocałować chciała. — Zobowiąziesz mnie asindzka, jeśli do tańca wyprowadzisz pana Nepomucena, który się z panem Mieczysła-

wem zagawędził. A można powiedzieć, obaj prawdziwi mężczyźni w tém zebraniu, jakby stworzeni do korda. Cóż to za przystojna twarz pana Mieczysława, jak przypomina rysy Jabłonowskiego, hetmana z czasów Jana III-go, jeśli panie ten portret widziały.

— Aktualnie przypomina. Piękna fizjonomja, dobrze się prezentuje na pochwałę gustu pani — wtrącił radca, głaszcząc się zlekka po łysinie.

— Bardzo, bardzo przystojna, można powiedzieć — dodał prezes i z westchnieniem zażył tabaki.

— Ależ pochlebiacie mi panowie za otwarcie.

— Pod pozorem chwalenia męża, są to może komplimenta dla pani — dodała Michalina, ścisnąc z uśmiechem rękę Ufalskiej, a spojrzenie jej szybko, powłóczysto zwróciło się przez chwilę na jej męża, który mozolił się z Polcią, żeby namówić Nepomucena do polki. Szyk zarumienił się jak dziecko, przysiągł, że nie tańczył jak żyje i tańczyć nie potrafi zupełnie.

— Kiedy poradzić nie mogę prośbą ni groźbą, to chodź pan wytłumaczyć się przed dziadkiem — rzekła Polcia, prowadząc go do prezesa,

który się odtąd tylko nim wyłącznie zajął i wyjeżdżając przed wieczera, jeszcze w przedpo-koju z kwadrans z nim porozmawiał.

Po wieczery, która usposobienie wesole zwykła podwajać, jakoś wrócił Ufalskiemu humor dobry, co go na chwilę był opuścić. Zaprosił nawet panią Derławską do walca, tańczył bardzo krótko i sadzając, skłonił się grzecznie ale obojętnie. — Potém poprosił żonę, tańczył z nią długo, ucałował kilkakrotnie jęj rękę, a w drzwiach od budoaru, do serca przycisnął; widziała to Michalina, przy której usiadł znowu.

— Bawimy się tém lepiej — rzekła, — że pan dajesz przykład. Trzeba było dawniej tak zrobić.

— Wybornie, wybornie się bawimy — odparł prędko. Dreszcz go przeszedł gwałtowny, zbladł i pot zimny wystąpił mu na czoło.

— Pan cierpiący jesteś, panie Mieczysławie?
— zapytała troskliwie.

— Nie trzeba nigdy mięszać win. Wiem o tém dobrze i zbłądziłem z własnej winy! Pilem za- nadto, a jak na gospodarza, to nie przystoi.

— Nie widać, żebyś pan pił — szepnęła kobieta i zamyśliła się, a gdy odszedł od niej, zamyśliła się jeszcze bardziej i widoczniej, aż jej Ufalska z Polcią przerwały dumanie.

Wkrótce wyjechała. Gdy ją Mieczysław odprowadzał, powiedziała głośno:

— Czekam więc pojutrze z pewnością. Proszę przypomnieć żonie.

— Tylko z pewnością — dodał radca.

Młodzież tymczasem nie przestawała tańców. — Królową zabawy była bez zaprzeczenia Polcia. Jakoś najczęściej zdarzało się jej tańczyć z Felicjanem, któremu nieszczęśliwym trafem nadeptał na nogę ryży dziedzic i nie przeprosił go. Felicjan zwracając się w mazurze, oddał mu ten sam przycisk i przeprosił kogo innego za nim stojącego, który sumitował się, że noga jego żadnego szwanku nie poniosła.

W chwilowych przestankach, młodzież w pokoiku przy sali pokrzepiała się winem. Ryży dziedzic spotkał się przy téj operacyi z Felicjanem, wystąpił do niego ostro z pretensją, wyrażając się, że *lada komu* nie da sobie ubliżyć. Było ich tylko dwóch. — Felicjanowi błysnęły

oczy, już miał odpowiedzieć niegrzeczność. Ufalski, który to słyszał, stojąc blisko drzwi, zbliżył się skrzywiony do dziedzica i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł z widocznym wybuchem złego humoru:

— Mój panie! Ja *lada kogo* nie przyjmuję. Słabą masz głowę i wino przez ciebie pape. Proszę bardzo przeprosić pana Felicjana, brata mojego najlepszego przyjaciela. Wyciągnij rękę i przyznaj, żeś pijany — dodał, ciągnąc go do pieca, gdzie Felicjan w obrażonej postawie czekał na przeciwnika. — Sprawa załatwiona! powinienś pan poprzestać na tém przeproszeniu, nikt was nie słyszał, ani widział. Napijcie się ze mną po kieliszku wina i marsz do tańca! Panie Szyk! Polcia z chęciąby zawałcowała. Panie Janie! wesola mężatka próżnuje.

Odeszli.

— Z serca, z serca dziękuję — rzekł Nepomucen, który koniec téj rozprawy z drugiego słyszał pokoju.

— Drobiazg! — rzekł Ufalski, ściskając go szczerze za rękę.

— Za ten drobiazg jednak możesz pan zawsze liczyć i polegać na mnie.

Ufalski wzruszył ramionami. Po chwili spojrział mu w oczy żywo i przychylnie, wstrząsnął silnie ręką i rzekł zwolna:

— Dwóch nieobludnych, życzliwych sobie ludzi, co na siebie wzajem liczyć mogą: to związek przyjaźni! Święty związek! A ja wierzę jeszcze w przyjaźń, choć w tyle rzeczy wierzyć przestałem.

XI.

W wygodniejszym ubiorze domowym znacznie było lepiej pani Michalinie, niż w balowej sukni.—Siedziała z robótką przy lampie i słuchała z roztargnieniem felijetonu, który jej mąż czytał głośno w Żurnalu. Zawieja była na dworze, wiatr walił o szyby śniegiem, igielka żwawo migiała w białych palcach. Czasem kładła robótkę na kolana i patrzyła na zegar, którego skazówka zdawało się jej, że za wolno znaczyła godziny.

— Tak! Był to wieczór w swoim rodzaju, Miciu! Z towarzystwa prawie nikogo — rzekł Derławski, zdejmując konserwy i czerwone, ma-

le oczy obcierając chustką.— Sądziłem, że Ufalscy inaczéj wystąpią: on ma tyle stosunków. Zainwitowano nas tak uroczyście!

— Jednak się bawili.

— Tak... Uczciwa Ufalska jest bardzo uprzejma, on umie nadać popęd zabawie, urządzić przyjęcie... Zresztą jak na towarzystwo szlacheckie, aż nadto było dobrze. Ciekawym, ile taki *reunjonik* mógł ich kosztować. Jak sądzisz, Miciu?

— Pewno niewiele.

— Kolacja jednak, win pełno i to nielada, chłodniki, muzyka, oświetlenie. *Cela coute, cela coute*, Miciu! Ale Ufalski oczywiście nie rachuje. Kto tak szalenie gra w karty i grubo przegrywa.

— Czy istotnie.

— Mówią także — dodał z uśmiechem — że ma inne wydateczki niemale. O dłużkach słychać. Szkoda człowieka, szkoda Lasisk, żeby przeszły w żydowskie ręce. Jabym je sam chętnie nabył.

— Szkoda żony, tak dobrej osoby! Nie potrafiła go widać przywiązać do siebie. Co to za niegodziwa passja do gry!

— To dziwna, że za kawalerskich czasów nie tyle miał grywać, a przynajmniej nie przegrywał. Dopiero teraz, po przyjeździe do Warszawy, rozpoczął ten zawód tak energicznie— dodał Derławski z uśmiechem.

— Może to nieprawda, co mówią. Tyle fałszywych wieści czasem krąży.

— Ta jest pewną, ja ci za nią ręczę, Miciu! Szkoda Lasisk, przewiduję ich los. Ale co do wieczora...

— Daruj mi już ten wieczór, mój mężu! Prezes mnie znudził, Ufański był wymuszony, mało-mówny, towarzystwo nieznanne, wzorowi ci Szykowie nieznośni. Pojechałam dla niej i dla Polci, a powiem ci szczerze, żalowałam potem.

— Nie byłaś bo wczoraj dysponowana. Mam nadzieję, że cię nasz bal w inne wprowadzi usposobienie. Tylko nie wiem, *chère amie*, czy można się ryzykować tak śmiało? Bo to już bal kompletny, a w Warszawie występując z balem, trzeba się obrachować pod wielu względami.

— To jest szkoda pieniędzy, chciałeś pewno powiedzieć,

— Owszem, parę wieczorów wydać musimy, pieniędzy nie żal mi przecie; tylko na bal kompletny trzeba mieć większe apartamenta od naszych. Ciekawym co ci powiedzą Ufalscy. Poradz się jego, on się zna na tém wybornie.

— Można się obejść bez ich rady — odparła niecierpliwie żona i rozparłszy się wygodnie w fotelu, ziewnęła spazmatycznie.

— Do widzenia, Miciu!

— Gdzież tak wczesnie?

— Już ósma. Na partję do generała, a choćby mi przyszło przegrać, muszę być.

— Na taki czas?

— Konié czekają.

— *Bonne chance!*

— *Merci.*—Pocałował ją w czoło i odszedł.

Nieruchoma siedziała ciągle.— Kiedy usłyszała dopiero turkot odjeżdżającego powozu, podniosła się, zadzwoniła i kazała przyprowadzić synka. Przez chwil kilka bawiła się z nim, pieściła, wypytywała i... nagle... kazała mu odejść do książki, do guwernera.— Wzięła karsel do ręki, przez kilka pokojów przeszła do gabinetu męża, przyniosła pudelko z cygarami i popielniczkę.

— Już dziewiąta! Na dworze tak brzydko!— szepnęła, zbliżając się do zaśnieżonego okna, przez które, prócz zawiei i nocy, nic zobaczyć nie mogła. Siadła do fortepjanu w sali, którą tylko jeden kinkiet oświecał i zagrała mazura, którego przed kilku laty bardzo tańczono. Wróciwszy do budoarku, wyjęła z za gorsa parę biłecików, na wpół już spłowiałém pismem pokrytych, przeczytała je uważnie—i cichą łzę obcierając, obejrzała się, jakby w obawie, czy kto nie wszedł do pokoju.

— Po dziewiątej już — szepnęła po chwili, padając na kozetkę. Uśmiech grymaśny i niemiły wykrzywił jój usta, zdjęła czepeczek i na służącą miała zadzwonić.

Nagle dzwonek rozległ się głośno w przedpokoju i służący zameldował pana Ufalskiego.

— Kto?—zapytała, nie dosłyszawszy zapewnie.

— Pan Ufalski.

— Prosić!

Z włosami nieco rozczochranemi, z węzłem od chustki, co gdzieś aż na kolnierz od fraka wyspacerował i do tego w butach zabłoconych, wszedł mocnym krokiem Ufalski, blady nadzwyczaj.

— Ależ przepraszam panią, że spóźniłem się i przychodzę tylko sam — rzekł ochryplym głosem i uściskawszy ją za rękę, siadł tak mocno w fotelu, że go aż kółka o parę kroków posunęły.

Drgnęły usta kobiecie, zmarszczyła czoło i rzekła z uśmiechem wzgardliwym:

— Poświęcenie prawdziwe, że pan w taką porę raczyłeś dotrzymać obietnicy.

— Poświęcenie *c'est le mot*. Żona z Polcią koniecznie do teatru, bo wydaje się im, że lubią muzykę. Wyprawilem z nimi kuzynka ryżego, coś pani widziała u mnie i uczciwego Szyka. A sam musiałem być w jedném miejscu, potem wlokłem się niegodziwą dorożką i wysiadając, padłem tu na progu. Niezgrabność z wiekiem przybywa. Cygara widzę! Prawda! Prezes czy radca pali.

Michalina milcząc, przysunęła pudelko.

— Zostaliśmy, jak widzę gospodarną pracowniczką; to wzorowo, przykładnie i rozrzewniająco! Robótka dziwnój zgrabności, arcydzielko kobiecego kunsztu. Powtarzam codzien żonie, żeby tradycyjnej igielki nie zaniedbywała, chociaż przyznać można, że jój od rana do wieczora

ra nie opuszczała nigdy i nie opuszcza. Cześć kobietom gospodarnym, pracowitym, rządny i praktycznym! To dzisiaj w modzie... i o ileż ta moda lepsza od ekstrawagancji, co to w nich lwice celowały. Przyznam pani, że tu zimno w tym budoarku.

Slużący wniósł herbatę.

— Kiedy pani sama nie nalewasz, niestety! A tak lubię, jak zgrabne paluszki kobiece nachylają imbryk. Nawet, nie śmieję się pani; lubię, żeby syczał samowar: to potrzebne akcesorium do obrazu herbaty w rodzinie, który mi aż nadto dobrze znany.

— Zapomniałeś pan jeszcze o drugim akcesorium, o rumie — szepnęła kobieta nieśmiało i z rumieńcem.

— O rumie?—zapytał, zastanawiając się nieco. — Zapewnie! Wróciliśmy raz z polowania z radcą, prezesem czy starostą, jak pani chce, z mężem pani, w Orgowie. Deszcz ze śniegiem nam niespodziankę w polu zrobił. Zaczęliśmy ogrzewać się naprzód herbatą i to z rumem; pani mi sama nalalaś, proszę i teraz.

— Mieczysławie! Panie Mieczysławie! Zdaje

mi się, że udajesz za dobry humor — szepnęła kobieta, patrząc nań litośnie.

— Po co ta poprawka! *Mieczysławie* tak mi zabrzmiało, jak kropla wody w gorączce. Proszę nie czarować! — szepnął i chciał ująć dłoń kobiety, która się z obawą cofnęła.

— Panie Mieczysławie! Czy Kłocia mnie dziś nie odwiedzi?

— Po teatrze przyjadą. Kochany prezes, radca czy tam sędzia, zawsze na ciężkie czasy i na kolki narzeka? Widać się wyleczył, kiedy chce wydać wieczór świetny! Arcy-radcowski pomysł! Nic dziwnego! Pani mu czarujesz troski. O! i ja mojej żonie czaruję. Niebo na ziemi ma ta kobieta. Jeśli to niebo potrwa jeszcze z lat parę, to może spaść z niego aż pod ziemię — zawolał z przymuszonym uśmiechem.

— I śmiesz pan jeszcze przyznawać się do tego?

— Ufam w przyjaźń pani i obwiniam się, obiecując, że nie wiem, kiedy nastąpi poprawa.

— Nie wierzę, żebyś pan chciał gubić kobietę, która tém tylko błądzi, że zanadto cię kocha — odrzekła z przytłumioném westchnieniem.

— Chciéć? Bron' Boże! Na każdego człowieka, pani Michalino, przychodzi raz w życiu czarna chwila, która mu wolę odbiera. Czasem ją sprowadza traf lub namiętność, czasem obluda ludzka.

— Więc pan jesteś dzisiaj pod władzą czarnej chwili?—wtrąciła kobieta niby żartobliwie.

— Człowiek silny wytrwa w klęsce, człowiek słaby przyzywa na pomoc słabych także, a najłatwiejszych pocieszycieli: karty i wino, hulankę, płatnych przyjaciół i przyjaciółki: wszystko to, co drażni zmysły i obalamuca duszę.

— Więc to prawda, że pan grywasz, przegrywasz, i często masz tak dobry humor jak dzisiaj? — zapytała kobieta z twarzą zaplonioną.

— A gdyby?

— Żona wie o tém?

— Nieco...

— Pozwala?

— Kocha.

— I lzy dobrej i nieszczęśliwej kobiety znieść możesz?

— Uśmiech się znosi i lzy znieść można.

— Niepodobna, żebyś pan dobrowolnie chciał

gubić siebie i spokój domowy. Żal do ludzi, zawody, nie zdołają usprawiedliwić nałogów pozorami namiętności. Więc spaść można aż tak nisko! Jakże mi boleśnie, zem to usłyszała!

— Dla pani? Boleśnie? Nie rozumiemy się.

— Rozumiemy się bardzo dobrze. Kazać panu nie mogę, rady nie usłuchasz, żebyś zaprzestał niegodnego życia; ale mogę cię błagać i dopóty będę błagała, aż mi dasz słowo, że wyjedziesz z Warszawy.

Ufalski patrzył zdziwiony jeszcze przez mgłę wina na lśniące spojrzenie i rozognioną twarz kobiety—ale kiedy łzy jój trysnęły z oczu i do nóg mu upadła, wyprzysłomiał, zmięszał się i podnieść chciał ją natychmiast.

— Madame Micheline! Na miłość Boską co robisz? Wejść kto może.

— Nie powstydzę się dobrego uczynku.

— Daję słowo, jakie chcesz, tylko wstań pani! Ja to powinienem uklęknąć — zawołał, chcąc paść na kolana.

Wstała.

— Pamiętaj pan, że to święte słowo, a choćby ci kto w życiu i świętego słowa nie dotrzy-

mał, toś pan za szlachetny, żebyś pan miał żartować z kobiety, dla której przekonanie, że cię ubłagać zdołała, byłoby najmilszą chwilą w życiu, nagrodą wielu, wielu przykrości.

Gorącego jak zwykle serca, wrażliwy i wzruszony—Ufalski łzy miał w oku, gdy ujął dłoń kobiety.

— Nie spodziewałem się nigdy, żebyś pani mogła być tak dobrą dla mnie. I dawniej taką samą wydawałaś się zawsze.

Dzwonek brzęknął nagle w przedpokoju i weszła pani Ufalska z Polcią. Niebawem po nich przybył i pan Derłowski.

CZEŚĆ DRUGA.

Ach! verkannt, verkannt zu werden,
Wenn das Herz sich edel fühlt,
Ist von allen Herzbeschwerden,
Die wohl, die am tiefsten wühlt.

Tiedge.

I.

— Mon cher Mieczysieczku! Lucio ci donosi, że od kilku dni cierpi na niestrawność. Rzecz niesłychana! Może myślisz że to przymówka do twojego woreczka; zgadłeś, ale nie ze wszystkim. Żurnatki przestały mi dopisywać, i na domiar nieszczęścia nie chcą już zapłaty za kłatkę moję na trzeciém piętrze, tylko po prostu wymagają, żeby ich raz na zawsze porzucić. A przecie Lucio sporo kiedyś pieniędzy za pierwszopiętrowe numera płacił. Przekonywam się, że długów zrobiłem tylko jedną trzecią summy, którą z własnych pieniędzy straciłem, to dosyć! W porównaniu z Ernestem, Alfonsem i Gustawem, to jeszcze bardzo mało! Twoja Weronisia

taka teraz sentymentalnie naiwna, że aż Jednoróg pożyczył jój pięćdziesiąt rubli. Bywa tam często. Nam, przyjaciółom jój, nazwiska twojego wymienić nie wolno. Chce widocznie uchodzić za twoją ofiarę; zobaczysz, że jeszcze pójdzie za mąż — i to wkrótce. Słowem, Mieczysieczku, straszliwe zmiany i dziwne niespodzianki. Cobyś téż powiedział, gdyby Lucio przyjechał do Lasisk na miesięczków parę i kochanego koleżkę w nudnych chwilach rozrywał, dyrygował potraweczkami, z kobietkami kuł płoteczki, o modach z niemi rozprawiał, a do stroików gustu dodawał. Wszak wiész, że Lucio zna się na tém nieźle. I na tę podróż potrzeba mi tylko sześćdziesięciu rubli, a dasz wiarę? tak jest źle ze mną, że ich w Warszawie dostać nie mogę. Wiem, że mi przyślesz tę bagatelę, bo obecność moja może konieczną będzie u ciebie. Wyobraźże sobie: Jednoroga i Ametystowicza zastanowiło kiedyś, że oba nie przy magnifice wyplacali, a skoro dowiedzieli się jeszcze, że Dzierłatka w jój obecności pożyczkę zaliczył, zwąchali wiadać pismo-nosem, bo wszyscy trzej na Jednoroga cessję pretensyj swoich prawdziwie czy téż

symulacyjnie zrobili. Dzierlatka ręczył za twoją prawość, dodając, że zbywa pretensję swoją głównie dla tego, iż tak małych interesów zupełnie zaprzestał robić, pewno ci nawet o tém doniesie. Trzeba się będzie ostro trzymać, bardzo ostro, Mieczunieczku! Nie obawiajmy się! Na wszystko jest sposób, musi wynaléźć się i na to. Jeśliby z *nią* trudno ci iść miało, przyspiesz przesyłkę i powierz mi pośrednictwo. Ja panią zwolna potrafię udobruchać i ułagodzić; co więcej, przekonam ją, że najlepiej zbyć Lasiska. Byłaby to dla ciebie prawdziwa przysługa. A o nabywcę nie trudno, znajdziesz go prędzej, niż się spodziewasz. Nie zaniechaj więc, Mieczuniu, przesyłki, bo Jednoróg wkrótce spadnie do was niespodzianie. Pijawka ta nie wątpi, że odbierze swoje, zapewniał go o tém Dzierlatka, jego brat i moje potwierdzenie dodało ważności. Niegodziwiec chce korzystać z twego ambarassu. Przyznaj, że nie mało może na nim zarobić. Szczęściem, w danéj chwili miewasz cudne pomysły, o terminie zapewne już pomyślałeś. I Luciowi nie brak conceptów; potrafimy żyda oszłamunic.—Spiesz się tylko, aniolku! Adieu, ko-

chanie, i wierzaj jak przykro, będąc czyim prawdziwym przyjacielem, smutną donosić nowinę. Dla tego ci tylko wspomniał o smutniejszym położeniu swoim, że jakoś we dwóch łatwiej znosić zmartwienia i szukać pociechy. Spiesz się, spiesz, serce! Czekam odpowiedzi najniecierpliwiej.—Twój

Lucio.

— I bądź tu mądrym! Siedm razy przeczytałem, a jeszcze nie wiem jak się rzecz ma w istocie i kto mi zaręczy, czy nie on sam wtajemniczył w podstęp Ametystowicza i Jednoroga. Pożyczając mi, może już wiedzieli o oszustwie. Była to oczéwiście rachuba na biedne moje żonisko. Odetchnąłem lżej przez chwilę, a tu znow ciężko być zaczyna. Gdyby Dzierłatka nie był zbywał swojej summy... liczyłem na to, że mi termin przedłuży. Kilkanaście tysięcy potrafiłbym przecie wystarać się i zatkać tymczasem gardło Ametystowiczowi i Jednorogowi, ale czy on teraz przystanie? Szczęśliwa jaka pożyczka możeby przecie udała się! Wieczne pożyczki! Z długu w dług, z długu w brud!

List w drobne podarłszy kawalki, cisnął do sadzawki przez okno od altany. Na dworze parno było, zbite chmury, gdzieniegdzie promieniami zachodu pokrwawione ciężały na widnokręgu. Przez chwilę natłok różnorodnych myśli wirował mu po głowie; ani jednej nie zdołał doprowadzić do końca, po chwili znów kombinować zaczął. — Wiem, że gdybym szczerze wyznał Kłoci, płakałaby, zemdlala może, rozchorowała się i... zgoda! Niepodobna spekulować tak z zimną krwią na łatwowierność kobiety! — Przedewszystkiem trzebaby je obie ztąd wyprawić, bo gdyby się wprost od Jednoroga dowiedziała, że mi pożyczyl pieniędzy, za jój poręczeniem; a ja rewers jój zwróciłem. — Nie! to nie może nastąpić, rozniosłoby się zaraz po obywatelstwie, po okolicy żyd by sam porozpowiadał... a gdyby nam jeszcze przyszło sprzedać Lasiska — zgubionybym był na zawsze! Brat mój tak dobrego, tak zanego używał w tych stronach imienia, że mnie ułatwia stosunki jedynie pamięć nieskazitelna, co ją po sobie zostawił. — Może z Derławskim process wygramy nabyty, w tych dniach ma się to rozwiązać. O Boże, o Boże, jakżeby to dobrze

było! A nuż przegramy!... Cha!—zawołał nagle, szerokimi krokami przebiegając altanę—a gdybym zaproponował Derławskiemu, żeby nabył moją pretensję, wszakże tak skwapliwie namawiał mnie do współki! Zadziwi się naturalnie, że wyrzekam się oczéwistego zarobku, na który on liczy z pewnością, ale ja mu powiem, że dwadzieście kilka tysięcy więcéj mi teraz znaczy, niż siedmdziesiąt lub sto za pół roku, to mi odmówić nie może. Chociaż ma teraz wiele wydatków, w każdym razie to drobiazg dla niego. Trzeba zrzucić pychę z serca i poprosić go. Żonę łatwo mi będzie przekonać, że tą summą mam spłacić Dzierłatkę.—Tak! nie może mi odmówić, bo *ona* będzie wiedzieć o tém, a *ona*, gdybym chciał, to bez zbywania pretensyj moich, miałbym i pożyczkę, ale nie chcę. O Boże! może jeszcze wypłynę po raz ostatni!—W karty przestałem grać, do Warszawy nie zajrzę przez lat kilka, namiętności wolnieją, przecie przy niej jestem już zupełnie spokojny. Tak już zaczynało być dobrze, a tu list od Lucia znowu mi przypomnieć musiał błotko stołeczne i tych towarzyszków, z pomiędzy których wielu, że znałem kie-

dyś, wierzyć sobie nie mogę, a naprzód tego bezczelnego pasibrzucha. Uczciwy Nepomucen! Z nim jednym zażyłość czyż nie lepsza od najliczniejszej szajki. Otóż i kobiety jadą z Orgowa! —zawołał na głos, nieco weselój i szybko wybiegł z ogrodu przededwór na spotkanie żony. Kobiety uśmiechały się: Polcia szczerze, Michalina poważnie, a pani Ufalska tém nienaturalniej, że zczzerwieniałe jój oczy i napuchłe powieki wyglądały jakby tylko co z łez obtarte. Szyk z Julkiem odprowadzili wierzchowców swoich do stajni, pani Michalina chciała wracać (swoim powozem odwiozła sąsiadki do Lasisk). Zanosilo się jednak na potężny deszcz, a może i burzę, bo już parę razy lysnęło między chmurami: zgodziła się przepędzić wieczór u Ufalskich.

Z okien dworu w Lasiskach z jednej strony widać było ogród i wierzcholki drzew bliżutkiego lasu, nie boru; z drugiej zabudowania, gorzelnię i parę chat włościańskich. Po krajobrazie choćby najskromniejszym, chętnie błąka na wsi spojrzenie, zdaje się, że ludzie weselsi i miłsi w takim dworku, z kądem latem widać albo piętrzące się bory, co stopniowo niebieszczeją co-

raz błedziej, tak, że mrokiem ostatni ich pas dojrzany łączy się z oblokami—albo rzekę, co świetnym szlakiem z piaszczystemi wyłogami przecina zieloną łąkę; albo jezioro zadumane, staw z młynu pieniaącym szumem; albo wreszcie rozległe równiny, śród których rozległe, szeroko bujać marzeniom i myśli! Tu na niczém podobném oko wdzięcznie spocząć nie mogło. Ojciec pani Ufalskiej w najniekorzystniejszém, w najobjętniejszém miejscu dwór swój wystawił. Nie zdarza się to u nas wyjątkowo, a z pewnością nie ma takiej wsi, gdzieby tanim kosztem nie można było upiększyć sobie ogrodu i podwórka przynajmniej, zaradzając choćby tylko tym blizkim ograniczonym widokiem brakowi obszerniejszego. Córka odziedziczywszy Lasiska, kazała wykopać w sadzie sadzawkę, wystawiła altankę i na podwórzu klomb zasadziła. Jedyna to była rozrywka dla oka!

Kobiety wcale nie miały ochoty przyglądać się nawalnicy. Michalina z panią domu usiadły na kanapie, obok nich w fotelu Ufalski, dalej Polcia, która co chwila uśmiechała się, rumieniła i bladła, aż Szyk nieco dalej siedzący dostrzegł

przyczyny tych zmian ustawicznych, i żal mu jój było, że się bojaźni swojej wstydzila.

— Panie wszystkie bardzo jesteście odważne — rzekł nagle.

— Dla czego?

— Że nie obawiacie się grzmotów i piorunów. Bardzo wielu mężczyzn drży na samo wspomnienie o piorunie.

— Nie koniecznie tak odważne, jak się zdaje — wtracił Ufalski — Klocia się dawniej bardzo obawiała, Polcia dopiero dzisiaj po raz pierwszy jest bohaterem.

— Nie wyłączam się i ja z liczby bojaźliwych — dodała Michalina. — Kiedy jestem sama, a usłyszę grzmoty i zobaczę zygzaki piorunów, modłę się po starodawnemu i zatykam uszy. W towarzystwie i obawę łatwiej znieść lub przemódz. Kiedym była w wieku Polci, to się mama aż gniewała na mnie za bojaźliwość.

— Ja to najtchórzliwsza jestem, gdy jakie przeczucie niedobre mną owładnie — wtrąciła pani Ufalska.

— Oj to prawda! — dodał mąż z uśmiechem,

nie widząc jak nań Michalina smutno i sympatycznie spojrzała.

— I to kobietom bardzo wybaczyć można— wtrącił Szyk, gotując się na dłuższą rozprawę.

Nagle zabrzęczały szyby, prawie się zatrząsł drewniany dwór od straszliwego huku i widać było jak w ogrodzie stara, wysoka grusza, o sto kroków najwięcej ztamtąd runęła na ziemię. Kobiety mimowoli przeżegnały się, Polcia zbladła jak marmur, nagle schwyciwszy się za serce, krzyknęła i zsunęła się z krzesła na posadzkę. Matka i Michalina podbiegły ku niej. Szyk w mgnieniu oka podniósł omdlającą, Ufański przeciął sznurówkę, eter i woda kolońska otrzeźwiły. Burza tymczasem gdzieindziej przeniosła orkiestrę, tylko jak kotły, ofikleidy i kwartviole dalekie grzmoty przygłuszone dochodziły, a piorun czyli tołombas, nie odezwał się już ani razu.

— Co ci się stało?— zapytała troskliwie pani Derławska, gdy się Polcia zawstydzona na niej wsparła, a matka drzwi otwierała od sypialnego pokoju.

— W tych drzwiach, oto w tych— odszepnęło dziewczę— zdawało mi się, że stał papa niebo-

szczyk. Nagle straszliwy huk serce' mi ścisnął, w oczach ściemniało, zadzwoniło w uszach. Dziwne przywidzenie!

— Szczególniejsze! — odszepnęła Michalina, oglądając się, czy kto nie zwrócił uwagi, lub nie usłyszał.

Ufalska boleśnie spojrzała na córkę. Mąż jój pokręcił węża i stojąc blisko lustra, zajrzał mimowoli. Rysy własne, które tam dostrzegł przypomniały mu twarz brata, drgnął także: oboje słyszeli.

— Wiesz co, panie Nepomucenie, zażartowałem przed chwilą z żony a teraz gotówbym jak ona wierzyć w przeczucie i obawiać się go. Tu coś niedobrego się stanie! — rzekł, zwracając się do Szyka, który skwapliwie śledząc oczyma za Polcią, także usłyszał.

— Co zlego? Czyżby panna Paulina miała zachorować? Bóg łaskaw, to nie nastąpi, za godzinkę będzie najzdrowsza, zobaczysz pan, ręczę — odrzekł Szyk.

Zajęty jedynie Polcią, nie umiał się z tém zataić, nie potrafilby odpowiedzieć co innego.

— Masz słusność — rzekł ciszej Ufalski za-

myślając się — cóżby tu złego stać się mogło? Niech tam kobiety tymczasem uspokoją Polcię i siebie a my, nim dadzą kolację i herbatę, skosztujemy tego węgryzka, co to żona ma pod kluczem. Daj się przebłagać dzisiaj na parę kieliszków ze mną do kompanji!

— W Orgowie radca wmówił we mnie kieliszek Xeresu tak mocnego, że dotychczas głowa mnie boli. Jeślibyś mnie więc Pan mógł zwolnić...

— Jakże radca? Oprowadzał was zapewnie po gmachach cukrowni. Przybyło sporo od tygodnia? — zagadał Ufalski, któremu przypomniał się projekt zbycia Derławskiemu owój części w processie.

— A jakże! Oprowadzał. Chociaż mówił niewiele jak zwykle, za to uśmiechał się często. Wspominam o tém dla tego, że Julek, który już miewa koncepciki swoje i zdolność wielką do rysunków, zwłaszcza do karykatur, szepnął mi, że Derławski uśmiechający się podobny jest nadzwyczaj do dziadzi, do pana prezesa, kiedy skrzywiony zażywa tabakę. Zgromiłem malca.

— Na honor, prawda! Malec trafnie dopa-

trzył. Jak żyję szczerego uśmiechu nie widziałem u niego.

— Wspomniał, że na przyszły miesiąc już wszystkie maszyny będą sprowadzone, bąknął ile to kosztów ogromnych ponosić musi.

— Oczéwiście! — wtrącił zamyślony Ufalski.

— Narzekał, że się wdał w spekulacje, co go na straty narazić mogą. W ogóle był nam bardzo rad jak zwykle, ale, ale... i prosił mnie już przy wsiadaniu, kiedy kobiety odjechały, żeby panu serdecznie się pokłonić i prosić, czybyś go nie mógł pojutrze a najpóźniej w Piątek odwiedzić, bo on przy czynnościach swoich ruszyć się z domu nie może.

— Dobrze, dobrze, dziękuję — odparł Ufalski jeszcze zamyślony. — Ale, ale, butelecarka nasza! Zlituj się, towarzyszu mi choć do jednego kieliszka!

— O widzisz pan, płonne przecucie i obawa złego. Panna Paulina już zdrowa, już rozmawia i śmieje się. Chwalaż Bogu!

— Zaraz tu wrócimy. Chodźże, zlituj się, nie odmawiaj mi! — rzekł z uśmiechem i poufale Ufalski, biorąc go pod rękę.

W pokoju gospodarza na drugiej stronie, wkrótce służący wniósł butelkę w szanowną pleśń przystrojoną. Ufalski prędziuchno napęłnił dwa kieliszki.

— Zdrowie Michaliny! Zdrowie pani Derławskiej! — zawołał poprawiając się, — to zacne bardzo i szlachetne stworzenie! Stary jój zrzęda nie wie nawet jaki skarb ma w domu!

Wychylił duszkiem, Szyk nie mógł mu w żaden sposób nadażyć. Krzywił się jakby na obrzazg, o który trudno w winie wyborném. Pragnąc choć słowami odpowiedzieć na gościnne wezwanie gospodarza, którego serdecznie lubił, dodał zwolna:

— Przyznam się szczerze, że pani Derławska nie jest taką kobietą, jaką ja pojmuję.

— Dla czego?

— Jest grzeczna bardzo, choć rzadko wesółą; jest uprzejmą, ale mimowoli przebija w niej jakieś państwo, jakaś konwenjencja i przymus. Może mi się to zdawało, kiedy byłem u nich nauczycielem. Teraz, przyznam się, nie tak mnie to razi jak dawniej. Muszę jednak oddać jój pod jednym względem niezwykłym, zupełną słu-

sówność. Jak żyję nie słyshałem, żeby źle o kim mówiła. Powinnaby więcj jakoś zajmować się czytaniem, muzyką. W jej położeniu, gdzie o gospodarstwie myśleć nie potrzebuje zupełnie, to nietylko pozwolone ale i wypada.

— Masz po części słuszność, lecz to kobieta ze zwrotem umysłu praktycznym.

— Ku czemuż praktyczność ta skierowana? Prawda, prawda, przepraszam! Już kiedy zajmuje się chłopkami, zagląda do chałup, pilnuje szkólek, lekarstwa daje, to dosyć! Prawda!

— Bardzo dosyć, bardzo wiele nawet.

— Bądź co bądź, panie Mieczysławie—dodał Szyk serdeczniej, — to nie to, co pani Ufalska, co panna Paulina.

— Ciekawym dla czego?

— Ja, widzisz pan, obiadam, rozmawiam w salonie z ludźmi, co mi placą, od których ni by zależę, — prędj więc potrafię z warunków położenia mego poznać się na prawdziwej delikatności, na tém sercu z odcieniami subtelniejszymi, które jeśli chcesz, nazwę szlachetniejszymi, a którego najlepsze nie ukształci wychowanie.

— Pochlebiasz babom moim.

— Tego nie potrafię. Tutaj mi tak od razu było swobodnie, tak byłem pewny, że cień nieporozumienia nigdy pomiędzy nami nie zajdzie; tam tego nie było. Przy pierwszej wizycie i pierwszej rozmowie z kobietą piękną i umiejacą rozmawiać, kiedy chce, (to trzeba przyznać pani Derlawskiej,) przeczułem jednak, że to miejsce nie dla mnie, choćby mi korzystniejsze jeszcze dano warunki. Sprawdziło się przecucie.

— Wypijmy więc zdrowie żony, masz słuszość, to anioł kobieta.

— Zmiluj się, panie Mieczysławie!

— Myślisz pewno, że będziesz musiał wypić potem oddzielnie zdrowie Polci? Z tego cię już zwolnię. Razem matki i córki! Niech żyją szczęśliwe! A szczęśliwsze by były pewno, gdyby mnie jedna tylko szwagrem, a druga stryjaskiem nazywała.

— Co też to mówisz, panie Mieczysławie!

— Ja teraz przy winie żartować już nie umiem, — rzekł Ufalski, nalewając sobie jeszcze kieliszek, który duszkciem wychylił. — Ale — dodał zapomniałem o cygarze dla ciebie. Znalazłem

tu w szafce jeszcze jedno z tych, co to z Hamburga przeszłego roku wypisałem.

— Czemuż pan Sam nie palisz?

— Za mocne dla mnie, jak cię kocham. Wiesz też — rzekł po chwili, — że Derławski mógłby mieć lepsze cygara. Jak żyję nie paliłem u niego dobrego. Żaluje sobie widocznie.

— To prawda! Ale ma też spore wydatki.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza. Gdyby sam palił mało, tobym mu za złe nie miał — ale paląc od rana do wieczora, prowadząc dom na taką skalę, to już skąpstwo. Skąpy to dziad bardzo skąpy i chciwy nawet, jeśli chcesz wiedzieć.

— Oszczędność widziałem, ale skąpstwa i chciwości nie dopatrzyłem się.

— A tymczasem tak jest — i dla tego zdrowia jego pić nie będziemy, ale za to nasze kawalerskie. Musisz, bo wierzaj mi, że lepiej być kawalerem nawet starym, niż żonatym z bratową.

— W braku szczęścia, skarga do darowania, — lecz w zbytku szczęścia?

— W zbytku? — zawołał Ufalski i miał już jednym pędem ciąg zwierzeń wypowiedzieć

człowiekowi, któremu ufał, szanował go i lubił. Serce jego potrzebowało wylania.

Służący przyniósł parę pistoletów, które pan kazał z rana wyczyścić strzelcowi, powiesił na dywanie nad łóżkiem i poprosił panów do salki. Kobiety już z herbatą czekały.

— Ot, tak to lubię — rzekł Ufański, któremu jakaś inna myśl nagle powstała w głowie. — Butelka wypróżniona, dziękuję, panie Nepomucenie! Chodźmyż teraz uspokoić i zabawić kobiety. Ale czy też dobrze wyczyścił pistolety? — dodał, zdejmując ze ściany parę prawdziwych Kuchenrajterów. — Dawno już nie były w użyciu a to podarunek od brata mojego — i po nich to mam na pamiątkę ranę w boku, com ci o niej wspomniał. Znowu mi podczas wilgoci dokucza.

— To, z tych pistoletów

— A z tych.

Jeżeli przedtém nienaturalności i wzruszenia dopatrzeć się można było u Michaliny i pani Ufańskiej, to teraz w niespokojném spojrzeniu

pierwszej i bladości drugiej, nie zdołałyby go ukryć przed okiem, nawet najobojętniejszém. Polcia choć zbladła, lepiej wyglądała od nich,

— Cóż panie tak się nagle zmieniły? Piorunów już nie słyhać! — rzekł mocnym głosem Mieczysław, siadając przy Michalinie.

— Wszystkiego zlego proszę papy pan Szyk narobił — wtrąciła Polcia, z uśmiechem patrząc na zafrasowaną i zaplonioną nagle twarz Nepomucena.

— Pan Szyk! A to jakim sposobem?

— Wspomniał pierwój o naszej odwadze. Chciałam właśnie dać dowody mojej, wtém tak z nienacka na próbę byłam wystawioną, że jej dowiodłam nie po mojej myśli, ale to po raz ostatni. Już nie będę się odtąd obawiała piorunów, zobaczy papa!

— Już teraz widzę, że się nie boisz, bo ich nie słyszysz.

— A pan Szyk za karę, musi nam dokończyć pieśni ostatniego Minstrela, przekładu Odyńca, którą wczoraj zaczął czytać. Madame Micheline nie słyszała początku, więc od początku. Tak już ułożyliśmy, tylko proszę czytać wyraźnie i

tak pięknie, jak zwykle — rzekła Polcia z minką wesoło-poważną, kładąc przed nim książkę i przysuwając lampę.

— A ja ośmielę się na chwilę odłożyć rozkaz pań wszechwładny, — wtrącił Ufalski — i śmiem poprosić o zagranie nam tego walca Straussa lub mazura mojego.

— Na mazura zgoda, ale co do walca: już niechaj mi papa inną jakę sztukę grać każe, nie tę staroświeczczyznę, — odparło dziewczę, której oczy, mimo lekkich sinych obwódok, tchnęły zwykłą swobodą łagodną i tryskało z nich uroczej wesołości światło.

— Zagraj to najprzód, a potem co innego.

— Potem mam, teraz będziemy słuchali pieśni ostatniego Minstrela. Cóż moja muzyka i to na fortepianie odstrojonym, przy tym śpiewie, co nim piękna poezja zapelnia duszę! — odrzekło dziewczę, bez namysłu nad frazesem, a z przekonania jednak, co głębszym, rzewnym odcieniem wyjrzało z żywych jej ocząt.

— *Charmante creature!* — szepnęła Michalina do matki, której Ufalski na dźwięk ulubionego swojego mazura, bystro raz spojrzął w oczy,

aż jego żona tego dostrzegła, ale dostrzegła zarazem nienaturalnego rumieńca aż do skroni rozlanego. Spojrzała na Szyka. Po trzech tylko kieliszkach, rumiany był pan Nepomucen potężnie. Zawstydzila się, zasmuciła i chętnie zaczęła słuchać pieśni ostatniego Minstrela. Przy czytaniu tylko dźwięk słyszała. Nie potrzebując mówić, swobodnie myśleć mogła, a wiele o wielu rzeczach myśleć miała. I Michaliny umysł krążył gdzie indziej. Przy tym ustępie dziarskiej prostoty, gdzie rycerz Delorraine zaręcza Lady Branksomu, że czytać nie umie; ustępie, nie mającym najmniejszej pretensji do rozrzewnienia, lza zaświeciła w jej oku, ręka drgnęła mimowoli, palce się wyciągnęły, jakby pragnęły cichem uściśnieniem przekonać dłoń inną o współczuciu szczerém, istotném. Ufalski z początku słuchał uważnie i powtarzał nawet z przyjemnością ostatni wyraz każdego ustępu, ale śpiwność wiersza i nizki, brząający głos Nepomucena, wywarły na nim wpływ, którego się może od wina nie spodziewał. Nie zasnął, tylko wpadł w stan ów, gdzie ciało czuwa a dusza drzemie. Było chwil kilka, że nie myślał o ni-

czém, a chwil wiele, gdzie błędne obrazy snuły się po strudzonym umyśle. Jedna Polcia uważała pilnie i to nie tylko na myśl poematu, na dźwięk jego, ale i na sposób, w jaki lektor wywiązywał się z zadania. Przyczynę każdej zmiany głosu, każdego odcienia przeczuła jeśli nie pojęła; czasem nawet oceniła, skrytykowała, bo zmrużala żywe oczki — a była to oznaka niezadowolonia. Gdy grała na fortepianie, a źle którą nutę wzięła, co jęj natychmiast wyborny słuch wyrzucał, także zwykła była mrużyć oczy.

Smutno przeszedł wieczór w Lasiskach, w czasie czytania i po przerwie; mimo usiłowań Ufałskiego, który sam w siebie chciał wmówić, że ma dobry humor i Polci, która z Szykiem przekomarzała się, że ją chyba naumyślnie chciał przestraszyć, aż matka dała jęj do zrozumienia, że tego za wiele. Po 10-ęj zaszedł powóz po Michalinę. Gdy ją Mieczysław odprowadzał, uczuł silne ściśnięcie ręki, co mu aż drżała pod ustami, gdy ją do nich zbliżył. Aż się potém zapytał żony, czy p. Derławska nie ma czasem jakiego zmartwienia?

— Ona nie — odparła Klotylda — mąż jéj ma zmartwienie.

— Cóż takiego?

— Sam ci powie — odrzekła smutno żona.

— Czy im się co spaliło! Może mały zachorował? Toby przecież tu nie przyjeżdżała. Ale! — zapytał nagle — pytałaś się go téż o nasz process?

Milczała.

— Może przegraliśmy?

Żona uchwyciła go za ręce i błagając, patrzyła nań jakby chciała wybuch gniewu złagodzić. Tymczasem nad jej spodziewanie, Mieczylaw rzekł spokojnie:

— Na tym świecie wszystko możliwe! Powinniśmy byli wygrać a żeśmy przegrali, to traf zrządził. Jak mnie jednak Derławski, taki biegły i wytrawny spekulant mógł namawiać i namawiał ciągle! — dodał po chwili.

— Przecież nas to jeszcze nie rujnuje. Mam nadzieję, że wuj mi odpisze, będzie więc na oddanie długu, coś go w zimie zaciągnął; a przy terażniejszym naszym sposobie życia, nawet w krótkim czasie zupełnie z interesów wyjdziemy.

— Dziś myśl przyszła mi właśnie, żeby w ostatnim razie, gdyby wuj nie przysłał, odstąpić Derłowskiemu części mojej w tym processie.

— Mimowoli przeczuleś nieszczęście.

— O tak! — odparł Mieczysław z głębokim wetschnieniem i rozpalone czoło oparł na ramieniu żony.

II.

...„U dobrych ludzi każdemu jak u rodziny“, wyrażał się Szyk w jednym ustępie z notatek, co znów na rozdział ten złożyć się muszą. Pożywałem chleb mojego zawodu w rozmaitych częściach kraju, u ludzi rozmaitych; smak jego wydawał się rozmaitym, dostałem się nareszcie do domu, do ludzi takich, co z nimi żyć i umierać. Kiedy mieszkaliśmy w Warszawie, serdeczność i współczucie, które godzi się nazwać rodzinem, nie ukazało mi się jeszcze tak wyraźnie, nie objęło tak szczerze, jak na świeżem powietrzu wiejskiem, gdzie już czwarty miesiąc bawimy. Pani Ufalska—jakaż to cicha, łagodna isto-

ta! Nie brak jej ukształcenia, a w żadnej rozmowie nie pokaże, nie wyda się z niem pierwsza; nie brak jej koligacji, stosunków i majątku, a grzeczność jej zarówno uprzejma dla wszystkich. Możeby tylko dopatrzył więcej dobroci, kiedy z niższymi obcuje. Szkoda że smętność, zadumanie, obwija jakby krepą każde jej słowo żywsze -- i przebija się nawet w uśmiechu. Czyżby tak wiele nacierpiała się w życiu i cierpieć miała jeszcze teraz! A przecież kochając nadewszystko pana Mieczysława, którego bardzo można kochać, szczęśliwą powinna być w pożyciu i jest nią bez zaprzeczenia. Co za matka! Może nieco za słaba dla dzieci, gdyby ojczym nie był jeszcze od niej słabszym dla pasierbów. Dobrze bo dzieci! Julek jak na chłopczyka nieco za powolny, do konia sam go dopiero musiałem przyzwyczajać; nie ma zdolności, co to je zowią chwytliwemi, co w mgnieniu oka pojma wszystko i łatwo zapomną; pojmuje zwolna i zatrzymuje na zawsze, a wszystko trzeba mu nadzwyczaj jasno wyłożyć, o najmniejszym szczegółku nie zapomnieć; dowód, że dokładnie potrzebuje zrozumieć, nim się czego nauczy. Spostrzeżenia

miewa trafne, zastanawiające nieraz sprytném dopatrzeniem śmieszności lub składności w ruchach i fizjonomji czyjéj. Przy zdolnościach jego do rysunków, dar ten dobrze skierowany, mógłby się ku dobremu rozwinąć. W ogóle, więcéj w nim dotychczas spostrzegam istoty z matki niż z ojca. Żywość jego siostry, szybkość jéj pojęcia, ruchliwość wyobraźni i otwartość szlachetną możnaby na pozór nważać za spuściznę po ojcu, za pierwiastkowe oznaki charakteru bardziej spokrewnionego z męzkim niż z kobiecym; gdyby jéj dobroć, wrażliwość i czułość nie wyrażała się częściej łzami niż uśmiechem. Daremnie chciałbym zresztą określić istotę, której dźwięk głosu, słowo jedno, uśmiech pozbawia mnie uwagi,— a nakazuje tylko wrażenie harmonizujące z istotą powstałą z mgły wiosennéj, promieni zorzy i tęczy, o którój każdy z nas marzy za młodu. Gdyby wiedziała ile rozkoszy mi wlewa w serce, smutnéj rozkoszy, przy którój serce raduje się i boli, — spojrzenie jéj każde, uśmiech wyłącznie ku mnie zwrócony!! Rozmawia często, wypytuje się o Felusia czy zdrów, czy pisuje do mnie, czy mu się dobrze powo-

dzi? Dodaje z uśmiechem, że choć Julek ma mamę i papę, ona jednak tak będzie kochała swego braciszka, jak ja młodszego brata. Zapytywałem z kąd wie, że brata kocham tak bardzo? Odpowiadała, że prezes bardzo jój wiele wspominał, o zacnym przywiązaniu mojem. Lubi bardzo kiedy czytam, o co i sama mnie prosi. Czasem bez ceremonji kładzie książkę na stół i z nieokreślonym wdziękiem milczy, dając do zrozumienia, a raczej każąc, żebym czytał.

Niestety! Jesteśmy w najlepszej przyjaźni, która się utrzymała jeszcze, odkąd miałem sposobność wyświadczyć jój przysługę, o której nawet i wspominać nie warto. Widziała, że Julek bardzo niechętny do konia. Żeby go zawstydzic, czy też sama pragnąc jeździć konno, uprosiła matki, żeby jój amazonkę sprawiła, a ojczyzna, wybornego jeźdźca, żeby ją uczył konnej jazdy. Pan Mieczysław przyznając mi niesłusznie, że mu w tym talencie nie ustępuję i że może więcej mam cierpliwości, przy czwartej lekcji powierzył mi uczennicę. Nie wiedziałem, że kasztanka tak strachliwa. Jeszcześmy do lasu niedojechali, kiedy uskoczywszy w bok, na widok niespodziana-

ny baby zbierającój jagody, zaczęła ponosić pannę Paulinę. Ta z początku śmiała się nawet, — ale nagle klaczka pędzi cwałem ku lasowi, rów po drodze był szeroki, dostrzegłem, że widocznie miała ochotę przesadzić go. P. Paulina krzyknęła, trzymała się jednak mocno na siodle, dopędzam, chwytam za cugle, zeskakuję z siwosza, zesadzam ją na ziemię. Tymczasem kasztanka wierzgnęła i Bóg łaskaw, że tylko drasnęła mnie w pierś i w ramię, co prawda to prawda — uczciwie! Musiałem się położyć. Jakże troskliwie anioł ten wypytywał się o mnie! Ile razy, kiedy już byłem zdrowszy, przybiegała sama do Julka, ze łzami w oczach dziękowała mi i cieszyła się, że się na tém tylko skończyło! Widocznie Bóg zesłał ten wypadek na moję pociechę i karę zarazem, bo co za marzenia, co za myśli bujać mi zaczęły po głowie! Przypuszczałem nawet, że mógłbym spodobać się jój, a czyż to podobna? Chyba dziewczę lub babie wiejskiój, albo jakiój istocie szpetnej i z krótkim wzrokiem poszramiona twarz moja i pochylona postawa znośnemi wydaćby się mogły! Tyle innych względów pominawszy, jak

przekroczyć zaporę pomiędzy panną Pauliną Ufalską a Nepomucenem Szykiem! Gdybym przynajmniej był artystą, albo jak Felcio urzędnikiem, to jeszczeby śnić można, a sen piękny! cudny!....

Przykro mi bardzo, że od niejakiego czasu mój p. Mieczysław stracił humor zupełnie. Przegrał process, po którym wiele sobie obiecywał. Szkoda kilkudziesięciu tysięcy, ależ od nich cała exystencja jego nie zależała. Pani Ufalska cieszy się nawet potajemnie, że go ta lekcjka z manji spekulacyjnej wyleczy może; mówiła mi, że jeśliby ze wsi nie wyjeżdżali; to w przeciągu lat dwóch zupełnie wyjść mogą z interessów.

Nie przypuszczam więc, żeby przegrana miała być powodem tak nagłej zmiany, témbardziej u niego, co nigdy przyjacielem pieniędzy nie był i nie będzie; co choć mu ich wprawdzie potrzeba było nieraz, ale po stracie umiał się bardzo prędko pocieszać. Tyle razy wspominał mi o tém i wierzę mu, bo takiego człowieka jak on, bardzo prędko odgadniesz i zrozumiesz: Choćby chciał maskę przywdziać, nosić jój nie potrafi: wrodzona otwartość zrzuci ją niespodzianie.

Szkoda, że wśród pięknych chwil młodości, zmar-nowanych bez powrotu, szczęście ciągle się doń widać uśmiechało, nie nauczywszy patrzeć na życie z poważniejszej strony. Brnął wśród upodobań i namiętności z zawiązanymi oczyma. Zdawało się mu, jak studentowi świeżo na świat wypuszczonemu, że największą przyjemnością i celem życia winno być tylko użycie. Po ożenieniu, choć oczewiście zaprzestać musiał dawnych facecyjek; przywiązanie uległe słabej żony, która go kocha jak rozpieszczone dziecko, nie mogło mu oczu rozwiązać, nie wyprowadziło umysłu jego z koła, po którym najprzyjemniej mu było błąkać. Często słyszałem go mówiącego o wielu rzeczach, jakby ten, co mundurek szkolny onegdaj zrzucił i tylko pojęcie form konwencyjnych i uszanowanie dla nich daje mu ni-by pozór stateczniejszy.

Dochowanie ulud młodych, zapal (niestety, może chwilowy) do pięknego i szlachetnego, ta nawet oryginalna lekkość i jakby trzpiotowatość nie raz tak mi się wydała sympatyczną, że zupełnie przeważała ową smutną w moich oczach stronę, która w każdym, co nażył się sporo mi-

mowoli się rozwinię — stronę przeżycia, zobojętnienia. Uśmiechowi jego ziewającemu, żywe oczy fałsz zadają, szyderczemu słowu prawdziwie z serca wydobyte zaprzecza; a ów wykwintny przymiot, delikatność, której nigdy względem mnie nieprzekroczył, którą tak mało ludzi posiada, która za najlepsze wychowanie starczy, bo pierwszą jest cechą prawdziwie oświeconego człowieka, wszystkie drobne jego wady, dla niego samego tylko szkodliwe, nader zmniejsza. Uprzejmość zaś tak wprost szczerą i koleżeńską, że niepodobna go nie ukochać; ujmująca powierzchowność wcale nie jest zwodniczą i serce ją potwierdza. Teraz jednak zmienił się do niepoznania. Myślałem, że złe usposobienie potrwa tylko chwilę i przejdzie jak dotąd bywało — ale gdzie tam! Onegdaj naprzykład byliśmy w kościele w Orgowie. Jak zwykle po nabożeństwie, panowie i panie z parafji żegnają się na smętarzu. Pan Mieczysław na liczne zapytania mężczyzn i kobiet (bardzo go lubią w całym sąsiedztwie) odpowiadał tak jakoś kwaśno, niechętnie, lakonicznie, że to aż moje zwróciło uwagę: kilka razy wyglądał jakby za-

żenowany. Jedna z najbliższych sąsiadek Lasisk, bardzo przystojna blondynka, pytała go się troskliwie, czy niecierpiący, bo nieco zmizerniał. Odrzekł z przykrym i nienaturalnym uśmiechem: „Licha ja tam kiedy zachoruję“ — i odwrócił się od niej nagle. Kobieta zdziwiona zmierzyla go od stóp do głów. Derławscy jeszcze przed nabożeństwem, wszystkich nas koniecznie na obiad zaprosili. Z początku przyjął zaproszenie i nawet namówił żonę i pannę Paulinę. Po nabożeństwie prosił mnie, żebym z nim wrócił do Lasisk, na co najchętniej przystałem. Zbliżył się do pani Derławskiej, gdy z żoną jego już szła ku pałacowi i przeprosił, że niemogąc służyć, chyba wieczorkiem ze mną po damy przyjedzie. Dojechaliśmy do olszynki, gdzie się kończą grunta Orgowa, poprosił mnie, żebym z nim wysiadł z powozu, samego Julka do domu odprawił, zaleciwszy, żeby się z obiadem nie spieszyć. — Mam przy sobie cygara, dzień piękny, będziemy się przechadzali — rzekł do mnie. Po kilku ustępach rozmowy o przedmiotach mniej więcej obojętnych, na następujący tor nagle ją sprowadził:

— Co to za miły jednak widok — rzekł między innemi, — kiedy się ujrzy w kościele uczciwych chłopców modlących się serdecznie i dzieciców lub dierżawców dających im dobry przykład! Potém, gdy się z nimi gawędzi po nabożeństwie, — to aż przyjemnie| należć do ich grona, gdzie każdy mniej-więcej obowiązki obywatelskie uczciwie spelnia i dobrego używa jmienia, Nie zawsze się to zdarza — ale dzisiaj prawie wszyscy uczciwi byli ludziska. Rządni gospodarze, niemarnotrawnicy, szanują siebie, mają też prawo wymagać poszanowania.

— Rządne gospodarstwo, niemarnotrawstwo, jest to zapewnie wiele, ale jeszcze nie, wszystko. Od porządnego obywatela wymaga się więcćj warunków.

— Kto nie marnotrawi i poprzestaje na tém, co posiada, ten przed drugim głowy uchylać niepotrzebuje, brudzić się nie będzie z lichwiarzami. Uczciwemu nazwisku nie dozwoli, żeby niem potém lada kto plukał sobie usta... a tak bywa, bywa! Przykre to musi być położenie człowieka, któryby poniekąd czuł sie niegodnym podać rękę temu i owemu; co to spokojnie, swobod-

nie — wraca z żoną i dziećmi z kościoła, myśląc nad tém, jak im przysporzyć fortuny pracą, zabiegłością. Wielu ubiega się za celami rozmaitemi a wszak i to cel bardzo wzniosły: poświęcić się dla szczęścia jednej rodziny, pracować dla niej. Przychodzi bo chwila, gdzie życie bezcelowe, samopas trawione występniem musi się wydać człowiekowi rozsądnemu — i przypuścić nie można tak dalece słabój istoty, coby nad namietnościami choćby częściowego nie potrafiła odnieść zwycięstwa.

— Jeśli ta istota ma jeszcze iskrę uczucia i cień wyobrażenia o własnej godności — dodałem.

— O innych się nie mówi — odrzekł niechętnie — to już umarli!

Tym podobnym zdań, uwag, postrzeżeń, nagadaliśmy się niemało. Łatwo było wyrozumić, że w przystępie złego humoru, wyrzucał sobie może kawalerskie swoje hulanki, ale nic mu przecie na sercu dotyla ciążyć nie mogło, żeby aż siebie za owego niegodnego i wyklętego miał uważać. Nagle rozweselił się trocha, zaczął żartować delikatnie z pańskiej miny Derławskiego,

z cytrynowego kapelusza pani burmistrzowej, coś tam bardzo zlekka dotknął śmieszności kilku sąsiadek, uchylił czapki trocha komicznie, gdy o żonie swojej wspomniał. Zapusciliśmy się w olszynkę; w gęstwinie nad bagnem a raczej jeziorkiem, gdzie się niemało kaczek nastrzelało, położyliśmy się na trawie w cieniu, zapalili cygara. Zaczął zachwycać się pięknnością dnia, czystém powietrzem i dziękował Bogu za nas obu, że chociaż już najpierwszą młodość przebiegliśmy, zdrowi i silni, potrafimy porozumiewać się z naturą, — czujemy to oddziaływanie jój zbawienne na organa, słyszymy jeszcze drganie powietrza, widzimy grę światła cudowną, tak samo jak za lat młodzieńczych. Wrażliwa, poetyczna dusza w tym człowieku! Nagle zrobił zwrot dziwny do samobójstwa, dziwiąc się mu i potępiając je prawie bezwzględnie.

— Choćby dla tych cudnych zjawisk przyrody, nie godzi się rozstawać z życiem — zawolał z uniesieniem.

Bronilem gorączkowej, smutnej siły słabego, chorowitego woli objawu, który w razach wyjątkowych podnieść się może i do poświęcenia.

Sprzeciwiał się mi, argumentując nieraz bardzo logicznie. Od ogółów przeszliśmy oczewiście do szczegółów, zaczął mnie wypytywać z uśmiecham, jaki też sposób odebrania sobie życia wydaje się mi najszlachetniejszym. Bezwarunkowo wybrałem pistolet, jemu się sztylet lepiej podobał. Potém zaczął mnie wypytywać o szczegóły dziecięctwa i wychowania mojego: przyjemnie i zręcznie tak mnie wprowadził w gawędkę, że mu szczerze opowiedziałem krótki i zwyczajny bieg zwyczajnej mojej przeszłości.--Wierz lub nie wierz, p. Nepomucenie — zawołał z serca — jeszcze do nikogo tak szczerego współczucia nie miałem jak do ciebie. Jesteś zacny, uczciwy chłop — dodał, ściskając mi rękę. Oczy miał wilgotne, w moich zapewne zupełną wzajemność wyczytał, bo istotnie, im bliżej go poznałem, témbardziej go lubić muszę i przyznam się, przykro by mi było i bardzo bolesnie, gdybyśmy się mieli rozstać kiedy. A to przecie nastąpić musi.

Jeszcze wracając do domu, gawędziliśmy niemało o złém wychowaniu młodzieży. On sam przedmiot ten wprowadził, uznając się

pierwszego za ofiarę niedobrej edukacji.... Przy obiedzie zasmucilo go, że z nim pić wina nie chcialem. Kilka kieliszków odchorować muszę zawsze, odradzałem, żeby także nie pił, ale przysiął mi, że takie ma dnie, gdzieby go hipokondrja napadła, gdyby jej trunkiem nie przerwał. Straszliwie pił, po kobiety do Orgowa musiałem sam pojechać z Julkiem, bo spał jak zabity.

III.

I najlepsi ludzie mogą się czasem uprzedzić zanadto do dobrych lub złych przymiotów u drugiego. Rzadko tak zacnego z gruntu człowieka, jak prezes. Upodobania jego naukowe wprawdzie lubią samotność. Kto raz całą duszą szperać zacznie w zabytkach przeszłości, ten często przestaje rozumieć tego, co się obecnie w koło niego dzieć może. Tyloletnie jednak urzędowanie, młodość w kilku zagranicznych uniwersytetach spędzona, powinna go była obdarzyć najszacowniejszym nabytkiem, jaki z doświadcze-

nia zyskujemy: znajomością ludzi, a przynajmniej podstawą tego nabytku: wyrozumiałością dla nich.

Tymczasem okazuje się, że i człowiek wyższy powodować się może częściej usposobieniem chwilowém, przywidzeniem niż rozważą. Pani Ufalska, siostrzenica prezesa, prosiła go o pożyczkę 20,000 złp. Mając się bardzo dobrze, nie powinien zdaje się był odmawiać, tém bardziej, że mu nic nie są dłużni i że o zwrocie powątpiewać nie mógł. Odmówił jednak. To prawda, że nakazywać życzliwości niepodobna, wolno mu było odmówić, ale w żadnym razie obrażać najdelikatniejszych uczuć kobiety, powstając na męża, którego kocha nad wszystko.

P. Mieczysław co raz gorszy miał humor, zgryźliwość jego doszła do tego stopnia, że aż zacząłem obawiać się i ośmieliłem zapytać o przyczynę widocznego zmartwienia. — I tobie samemu, panie Nepomucenie, co jesteś z żelaza, gdyby przyszło kosztować takie cukierki, jakie mnie się zdarzają, tobyś nie był lepszy, — odparł, prosząc koniecznie, żebym przeczytał list od prezesa do jego żony adressowany. — Moja

Kłociu! — pisał prezes w połowie korespondencji, — 20,000 to nie wielka summa, nieraz ci chętnie wygadałem, nie uważając nawet za przysługę pożyczki chwilowej, która poniekąd jest obowiązkiem wujowskim dla jedynéj siostrzenicy. Z matką twoją kochaliśmy się bardzo, dwoje nas tylko było. Nie mam dzieci: tobie, Polci i Julkowi z serca dobrze życzę i pragnąłbym was widzieć najszczęśliwszych, bo na to zasługujecie. Tym razem jednak muszę ci odmówić. Znasz mnie dobrze, że skąpy nie jestem, ale dla własnego dobra twojego nie chcę, żebyś zaciągała pożyczki, których ani na wybudowanie owczarni w Lasiskach, ani na spłacenie dawniejszego długu, wiem, że nie użyjesz. Pieńiądze te rozejdą się nie w twoich rękach. Powiesz, że niedelikatny jestem, wolę jednak uchodzić za takiego, niż dogadzając poszepniętemu ci żądaniu, taić smutną prawdę, o której powinnaś wiedzieć — im prędzój tém lepiej. Pan Mieczysław może być najlepszy, najmilszy człowiek w towarzystwie, ale dotychczas nie mam go za bardzo dobrego gospodarza. Piszesz mi o jak najlepszych chęciach jego. Dobremi chę-

ciami brukują w piekle, moja Klociu, powiada przysłowie francuzkie. Uczynków! uczynków! Więcej ci już o tém nie wspomnę, przykro mi, że cię i tak już dosyć namartwilem, jednak, jako wasz krewny, starszy znacznie od was, mam obowiązek wypowiedzenia prawdy, z którą się nigdy mijać nie lubię. Jeżeliby wam po nowym roku potrzeba było pieniędzy, gdybyście *notabene* na wsi zostali, to napiszcie do mnie, a z chęcią większej summy nie odmówię i sam ją przywiozę. Ufam rozsądkowi twojemu, że te kilka słów życzliwych, życzliwie ocenisz. Widzisz, że w nich nietylko ciebie i dzieci, ale i twojego męża mam na myśli, który zkaąd inąd najlepsze ma popędy. Co téż tam p. Nepomucen porabia? Powiedz mu, żeby pisywał do mnie częściej. Jak tylko skończy Kadłubka, niech mi przez pocztę odeszle, a ja mu natychmiast co innego udzielenię. Brat jego, na którego pisał ręce, był tu u mnie kilka razy. Zdolny i ładny chłopiec! Pytałem się o niego prokuratora, nadzwyczaj go chwali i awans obiecuje. Dałem mu także książkę do czytania. To chłopiec naukowy, ławek w szkołach i uniwersytecie nie

wycierał nadaremnie. Proszę serdecznie pozdrowić zacnego pana Nepomucena. Tak go polubiłem, że można powiedzieć, nieraz mi tęscho do niego, — a Poluta figlarka co tam na wsi dokazuje, a Julek? i t. d.“

Mimo tych niezasłużonych i uprzedzających dla mnie i dla brata pochwał, serdecznie przykro mi się zrobiło.

— Ktoś tam nagadać musiał na mnie staremu rzędzie — wtrącił pan Mieczysław. — List ten, gdzie mnie traktuje jak wyrostka, jest niegrzeczny bardzo, a do niegrzeczności jakaś plotka fałszywa musiała ośmielić. Na nowy rok obiecuje mi złote góry, nie wiedząc, że 20,000 teraz więcéj u mnie znaczy, niż sto za dwa miesiące.

— Dziękuję za dowód zaufania i przepraszam cię, panie Mieczysławie — rzekłem — że z radą ośmielę się wystąpić. Prezes raczy niezasłużenie dosyć mnie lubić, gdybym do niego napisał, niby nie wiedząc o niczym.

— Na nic by się to nie zdało! Żona i tak musi jechać z Polcią do Warszawy, one odrobiją i muszą staremu podziękować naprzód i nie

przyjąć zaproponowanęj na nowy rok pożyczki. Po co z mojęj przyczyny mają się narażać i oburzać go na siebie? Tak! tak! Zostaniemy przez czas niejaki tylko we dwóch, będziemy gospodarowali, jeździli i dobrze się bawili, będzie nam lepiej jak z kobietami—odparł smutno. Położył się na łóżku w moim pokoju i milcząc, przez pół godziny palił cygaro, potem zdrzemnął się nieco. Musiałem zbudzić go na herbatę.

Dzisiaj przy obiedzie wszystkie twarze zastałem wesole i uśmiechające, tak dalece humor pana domu, szczególnym trafem dobry, oddziaływał na nas wszystkich. Tém to dziwniejsza, że za parę dni kobiety odjeżdżają do Warszawy, a pani Ufalskięj przykro być musi oddalać się od męża, choć na czas niedługi. Zgodny nasz chór wesolości za danym znakiem przez pana Mieczysława, dowodzi, jak go tu wszyscy kochamy. W parę godzin po obiedzie, sam rozwiązał mi zagadkę téj zmiany niespodzianęj.

— Los bywa jednak łaskawy, — rzekł do mnie — przeczytałeś list od wuja żony i przy-

znać musisz, że mógł mnie zmartwić szczerze. Potrafiłbym niezawodnie sam nań odpisać, i to odpisać *ut sic*, gdybym niestety był w pierzach choć trocha lepszych. Nie wiesz, panie Nepomucenie, i wiedzieć nie będziesz w jak przykrém jestem położeniu; żona ani się tego domyśla i tém ci dla niej lepiej. Trzeba więc, uderzywszy się w piersi, odłożyć odpowiedź do lepszych czasów — dodał z zamyśleniem i uśmiechem nieco szyderyczym. — Tymczasem przeczytam ci list, który do mnie pisze uczciwy lichwiarz jeden, mój wierzyciel, coby może miał prawo uskarżać się na mnie, bo choć mu dałem nie raz zarobić, nieraz jednak na terminie nie stawiłem się.

Jaśnie Wielmożny Panie Dobrodzieju!

„Donoszę panu, że wszyscy z łaski Boga zdrowiśmy i ja i moja żona i Lutka i Julka, którą ten list dyktuje żebyś pan się przekonał, jak ona na pensyi ortografją i kaligrafją wyuczyła się po polsku. Przykro mi dosyć, że z panem nie o czém inném jak według naszego interesu koresponderować mam. Dowiedziałem się od

Jednoroga i od pana Lucja, że pan w jednym czasie nie tylko ze mną, ale z tymże Jednorogiem i Ametystowiczem interes zrobił na taką samą kwotę, czyli to jest, że Pan Dobrodziej i Pani Dobrodzika razem od nas trzech sumę.... pożyczli. Ponieważ już ja w takie interesy zupełnie zajmować się przestałem i przyznam się Panu Dobrodziejowi, który zawsze grzeczny był dla mnie i przy tylu interesach szlachetnie wychodził, starałem się także grzeszność wyświadczyć, więc aby pana nie ambarasować bardzo zanadto, coby każdemu z nas oddzielnie wypłacić musiał, zrobiłem cessję mojej pretensji na rzecz Jednoroga Stanisława i Ametystowicz także. Dziwilem się już pierwój bardzo, że Pan Dobrodziej z takimi szwarcjarami zwłaszcza z Jednorogiem mógł wchodzić w interesa, których widać panu pan Lucjo zafaktorował. Gdyby panu więc to było niemniej ambarasujące i wolałeś pan albo ze mną wprost skończyć rachunki, albo nawet trudno było wypłacić, tak P. Dobrodziejowi. Powiem.— Ja mogę jeszcze poczekać do Michała bez pretensyi i powiększenia procentu, pan grzeczny, dobry

człowiek, wiem że mi odda, o swoje pewny jestem. Żeby więc pan do mnie list napisał, tobym na powrót od Jednoroga wziął mój rewers na 20,000 złp, bo doprawdy przykro by mi było bardzo, iżby panu może za mnie przykro być miało. Czy téż zdrowie Państwa Dobrodziejstwa pożądane służy i urodzajów pewno dobrych spodziewa się pan zapewni.

Czekam odpowiedzi. Żona moja i ja i Łutka i Julka, o której mi Pan Dobrodziój napisz, czy jak ten list wypisała. Klaniamy się bardzo.— Zostaję z uszanowaniem najniższym przyjacielem i sługą także.

A. Dzierlatka.

PS. A może jeśli u pana dosyć zwierzyny, pan nie zapomni zakommunikować czasem parę niezwywych sztuk na pieczyste dla mnie, bardzo przepraszam i klaniem jeszcze raz.

A. Dzierlatka.

— A co? — zapytał z uśmiechem p. Mieczysław.

— Nic dziwnego. Grzeczny pan zawsze byłeś dla niego, wynagrodziłeś hojnie, tacy ludzie po-

trafią poznać się na tem i wywdzięczyc, jeśli to wdzięcznością nazwać można.

— Ależ nie wyobrazisz sobie jaka to dla mnie niespodzianka. Łaskę mi taką wyświadcza, jakiej mi jeszcze nikt w życiu nie zrobił — zawołał z zapalem. — Dobry żydzisko! Daję słowo, dobry. Widzisz, posyła córki na pensję, przestał robić interesów lichwiarskich, a dalibóg niewiele ich robił i będzie człowiek porządny.

— Przez wdzięczność przesadzasz pan jego przymioty. Który to? Kilku żydów widziałem u pana w Warszawie w zimie. Czy ten tłusty, kudłaty, rudy, co to panna Paulina skarżyła się na niego?

— Broń Boże! To widziałeś Ametystowicza Lajzera, ten tłusty zaś to Jednoróg, co to Polci tak niepodobała się jego śmiałość, że chciała cię prosić, żebyś go za drzwi wypchnął. Zrobiłbym był to samo, ale mając interes, trzeba być grzecznym chwilowo. On tu zapewne przyjedzie wkrótce. Niechno ośmieli się najmniejszą zrobić impertynencję, nauczę go rozumu, bo we wszystkiem na świecie poradzić sobie można, wszak prawda?

— Zapewnie.

— Nie taki djabeł straszny, jak go malują— odparł, zamyślając się dosyć długo. Zaraz odpiszę Dzierlatce — dodał po chwili, z uśmiechem, w którym od niejakiego czasu, ciągle szyderczy przebijał się wyraz, — powiem mu, że nie tylko ja, ale sam pan metr, sam pan professor zastanawiał się nad ortografją i kaligrafją jego Julki.

Biedny pan Mieczysław musi być bardzo zadłużony i tem się martwi.... Zdaje mi się, że prócz długów jeszcze mu dokucza głębsza jakaś zgryzota.

* * *

.... Czy to nie anioł oczywisty z panny Pauliny? Przed odjazdem tak mi ciągle przypominała, że bym pisał do prezesa—do brata, i pożegnała się ze mną serdecznie, jak siostra z bratem. Pani Ufalska płakała i pan Mieczysław był wzruszony. Nawet, kiedy je odprowadzał do powozu, zdawało się mi, że miał oczy wilgotne. Tkliwe, kobiece serce bije w piersi tego człowieka. Mnie, co się mam za żelaznego już i co za takiego mnie pan Mieczysław uważa, także się miękko

zaczęło robić na sercu. Przecież jąda nienadługo, w krótkce powrócą, zkaąd prawo żalu, czy należę do rodziny? Kocham ich wprawdzie, jakbym należał—i choć nieraz bardzo boleśnie przy samotnych dumaniach, chociaż lube to dziewczę pierwsze i ostatnie wyryło się mi w sercu i pamięci, błogosławię chwilę, kiedy się do ich domu dostałem i polubiłem nawet Derławskiego, odkąd mnie im polecił...

* * *

.... Pierwsze dnie jakoś mi przeszły znośnie, potem co raz puściój i smutniej w Lasiskach. Tak nawykłem słyszeć dzień w dzień srebrny głosik Polci i muzykę jój, którą drobnemi paluszkami biegle z klawiszów wywoływała! Brak mi żywych, jasnych oczu, twarzycki strojnej w złote pukle, od której biegła ku mnie, jakby woń świetlana. Julek podobny nieco do siostry. Często też zapatrzę się w niego i nieraz przy lekcji nie słyszę co mówi malec. Zaraz mięsza się, myśląc może, że się źle nauczył. Trzeba popracować nad sobą i oduczyć się zapomnień, których nie wolno sobie pozwalać; choćby były

jeszcze ponętniejsze. Popuściwszy tak wodze marzeniom nieprawdo-podobnym, gotówbym jeszcze rozpróżniaczyć się trocha — a tylko praca uzbraja nas w odwagę, w to postanowienie mężkie przewyciężenia własnej skłonności.

Świadek tylu męczarń cichych, łez polkniętych, powiernik skarg, którychby może nikt nie zrozumiał, „za ziarnko piasku tylko ziarnko oddając“, jak mówi poeta, ona jedna żelazną dłonią przytlumia ból serca i żar płonący w głowie...

* * *

... P. Mieczysława nie tak często widuję jak się spodziewałem. Taki jakiś czynny. Pełno u siebie pisuje listów, muszę mu po kilka piór na dzień temperować, często wyjeżdża z domu konno i dopiero późno w noc wraca. Raz wszedł do mnie już przed świtem, widać go głowa bolała, bo obwiązał sobie chustką i strasznie był mizerny.

— Śpią smaczno — szepnął z westchnieniem, wodząc świecą po pokoju.

— Nie, nie śpią — zawolałem. — Czyś pan chory?

— Wyobraź sobie, ktoś łaził w nocy po ogrodzie—odrzekł, drgnąwszy nieco—i koło dworu chodzić zaczął. Nawet Jakób, choć niezna-
leźliśmy śladu, także słyszał.

— Pewno ze wsi jaki amator czereśni lub małgorzatek.

— Nie, nie, to coś innego. Może mi się zdawało, śpię niewiele, sen mam tak czujny i przykry zarazem, że często na jawie zdaje mi się, iż ktoś wyraźnie zaglądał do mnie przez okno. Nie uwierzysz jakłbył podobny do nieboszczyka brata mojego.

— Przywidzenie! gorączka! Możeś pan co pił na noc?

— Tylko herbatę w Orgowie, może zresztą i przywidzenie ale jeśli mi się jeszcze raz to zdarzy, strzele sobie... w szybę—zawołał gwałtownie — a i tak ją wybiłem dzisiaj tym kastetem. O, patrz—dodał pokazując mi kastet, od którego już kulka jedna odpadła, druga zaś ledwo się na trzech splątanych trzcinkach trzymała. Wziąłem go i schowałem pod poduszkę. Odtąd noszę przy sobie, bo dalibóg obawiałem się żeby się nie uderzył, gdy bym scyzoryk był przy nim

znalazł — i ten bym schował, tak się bałem o niego. Usiadł na mojem łóżku, zaczęliśmy gawędzić o tém i owém. Jak tylko dzień zaświtał, uspokoił się i poszedł do siebie. Nazajutrz wstał dosyć późno i znów wyjechał na dzień cały, nawet nie był na obiedzie. Rumieńce znikły mu z twarzy zupełnie, zżółkł, oczy błyszczą gorączką, ręka mu drży, coś dziwnego dzieć się musi w duszy tego człowieka: okropna walka, która by lżejszą była, gdyby się mógł zwierzyć komu. Ludzie jak on nie nawykli znosić cierpień samotnie. Musimy się rozmówić na serjo, dał mi już tyle dowodów zaufania, nie byłbym jego przyjacielem, gdybym chociażby gwałtem nie miał się we-drzyć i w to jedno jeszcze! Inż drugi dzień nie ma go w domu, wyjechał dalej jak do Orgowa, bo wikary do którego czasem na warcaby i gawędkę chodzę lub jeżdże, zaręczał mi wczoraj, że go w dzień z pewnością u Derławskich nie było. Tymczasem zdarzył się u nas jeden wypadek, w który wplątałem się jak Pilat w Credo.

Po obiedzie Julek pobiegł do ogrodu. Siedziałem w salce i dobierałem akordów do pio-

sneczki, którą panna Paulina tak cudnie śpiewała: „*Jeszcze nianki ci śpiewały, a ja już kochałem.*“ Usiadłem potem w fotelu i zdrzemnąłem się nieco. Okropnie było gorąco na dworze, a w sali, której okna na północ wychodzą, chłodno dosyć. Sam jeden zostawszy, bo służba cała w officynie, zapomniałem drzwi zamknąć. Nagle budzi mnie głos jakiś.

— Cóż to, do diabła, czy nikomu tu nie ma? Héj! héj! nie ma tam nikomu?

Wstaję, otwieram drzwi i nos w nos spotykam się z kudłatym jakimś i tłustym jegomością w podrózném ubraniu. Zaraz odgadłem po akcencie mowy i ruděj czuprynie, że to ten sam Jędnoróg o którym niedawno z panem Mieczysławem wspominaliśmy. Miałem na sobie, jak zwykle na wsi, ranny ubior, bluzę i płócienne spodnie, wziął mnie widać za pisarza prowentowego a może i za lokaja.

— Słuchaj no, kochanku — rzekł do mnie, — wszak to dwór pana Ufalskiego? Zajechałem przed karczmę, a tu przyszedłem piechotą. Co to jest? Czy pana nie ma w domu?

— Nie ma.

— A kiedy będzie?

— Nie wiem.

— To dziwna, że nie wiesz. Ja mam pilne interesy, ja tu na niego będę czekał choćby do jutra, każę przynieść zaraz walizkę. Czy daleko wyjechał? A pani dobrodzika i panna także nie ma? Może do Warszawy wyjechali?

— Jutro lub pojutrze przyjedź, jeśli masz interesy, dziś się go nie doczekasz, — odrzekłem mu niecierpliwie.

— Co to jest? — huknął Jednoróg, stuknąwszy nogą o podłogę — idź sobie! Ja tu nie z wizytą, ale z takim interesem przyszedłem, co twojemu panu będzie ciepło. Rozumiesz?

— Nie nudź mnie, idź sobie do diabła, pókim grzeczny, — zawołałem prowadząc go ku drzwiom; a gdy zaczął krzyżeć, stukać i chciał się opierać, bez ceremonji ze schodów i z ganku go zepchnąłem. Jakoś zamilkł, może poznał, że mnie mylnie wziął za co innego, tylko pogroził mi ręką.

— Ja z panem nie będę rozprawiał, ale jutro powiem panu Ufalskiemu co pan dokazywał.

Zawołałem na Jakóba i Antoniego, żeby go za wrota wyrzucili. Wziął nogi za pas i jak zając zmykał ku karczmie, tam siadł na bryczkę i pojechał ku Orgowu. Wieczorem późnym wrócił p. Mieczysław. Kiedy mu to opowiedziałem, rzekł, patrząc mi w oczy z zadziwieniem i niespokojnością, a mizerniejszy był jeszcze:

— Dobrze zrobileś, dobrze zrobileś! — Dopiero po chwili dodał spokojniej: — Bardzo kontent jestem, żeś mu sprawił frycówkę, to zuchwała kanalja! Nauczę ja go mores. Z nimi nie można inaczej, wybornie zrobileś, dziękuję ci.

IV.

Wieczór był chłodny i dżdżysty, paliło się na kominku w gbiniecie Derławskiego.

W materjalnym, wатовanym szlafroku, w czapeczce aksamitnej, siedzi ł dziedzic Orgowa w wygodnym fotelu, a Jednoróg stał pokornie przy drzwiach z papierami w ręku.

— Siadaj Jednoróg! — rzekł, wskazując na krzesło tuż przy drzwiach.

Jednoróg skłoniwszy się, usiadł.

— Więc powiadasz, że całą masz cessję?

— Tak jest JW Panie Dobrodzieju! Dzierlatka chciał odemnie kupić rewers za 20,000 złp., ale dowiedziała się o tém żone moje od jego żone i ja mu tak sławnie unikał, że nie mógł mnie schwytać przed wyjazdem.

— Zkądże wnioskujesz, że pani Ufalska nie wie nic o długach u ciebie i Ametystowicza zaciągnionych?

— Pan Lucio, jasny pan zna pana Lucia, który go do tego namówił Ufalskiego, sam mi to powiedział pod sekretem. Pożyczyłem mu za to 15 rs. Oni ją z przeproszeniem jaśnie pana na taką wzięli muchę: Ufalski prosił mnie przychodzić do żony i przy niej ja mu rewers podyktował, ona się podpisała. Miałem mu wypłacić dopiero jutro i to niekoniecznie przy żone. Musiał przepisać pewno rewna ers drugą rękę z podpisem pani Ufalskiéj, dałem mu pieniądze, a on rewers przepisany czy oddał żonkie, tego nie wiem, ale pewno jój powiedział, że nie dostał odemnie pieniędzy. Z Ametystowiczem tak samo. Tylko Dzierlatka przy żonie mu wy-

placił i ona o mnie, ma się rozumieć, nie wie, że pożyczyła 20,000 złp. Dla tego téż głupi Dzierlatka chciał odebrać swoje cessję, ale mnie pan Guccio powiedział, że jaśnie wielmożny pan ma w tém swoje interest i że można co na tém zarobić.

— Masz tu przy sobie cessję?

— Jest. Mam. Oto proszę jaśnie pana. Przeczytam:

Cessje

Niniejsze wydaje na osobie Stanisława Jednoroga, mocą której tenże Stanisław Jednoróg staje się właścicielem summy rs. 3,000 należnych mi od JW. Państwa małżonków Ufałskich, na moję rzecz wystawionemu. Walutę za oddaniem Stanisławowi Jednoróg rewers wyżej z daty powołanego miałem w gotówkie wyliczone, w dowód czego własnoręcznie podpisuję.

Warszawa d.— *Lejzer Ametystowicz.*

Prócz tego mam od Dzierlatki takie same — rzekł Jednoróg, z uszanowaniem oddając rewersa i cessję Derławskiemu, który przeczytawszy uważnie, rzucił na biórko i rzekł, podnosząc konserwy:

— Słuchaj Jednoróg! Hrabia mi tu ciebie zalecił, jako zwinnego i sprytnego do interessów. Użyłem cię już w jednej sprawie z Ładurskim, pamiętasz? Spisałeś się nieźle, ale nie tak jak sobie życzyłem. Trzeba się teraz lepiej zabrać do rzeczy.

— Będę się starał, jaśnie panie! Nu, co robić trzeba?

— Te 60,000 złp. w kazdym razie nabędę. Oczéwiście, więcéj ci nie dam za nie jak 60,000 złp.

— Jaśnie Panie! Ja przecie wiem, że zawsze swoich należnościów od Ufalskiego odbiorę, bo żona go bardzo kocha i choć się dowie, że ją wziął na muchę, nie da mu zrobić krzywdę. Jaśnie panie, ja nie taki głupi jak Dzierlatka, ja potrzebuję coś zarobić, pan to pojmuje.

— Niecierpliwyy jesteś, mój panie Jednoróg! Trzeba wprzód interessu wysłuchać do końca.

— Z przeproszeniem jaśnie pana.

— Stawiam cukrownię. Prócz wielkich kosztów, jakie już poniosłem, prócz moich gruntów, jakie w tych stronach posiadam, przygotowany jestem na kosztá znaczniejsze. Bo najprzód

więcej mi gruntów w tych stronach zakupić potrzeba.

— Rozumiem jaśnie pana.

— Nie rozumiesz! Będąc gotowym do zapłacenia ci za p. Ufalskiego, wejdę w prawa wierzyciela, w twoje prawa. Nie jestem o tyle wyż położony od p. Ufalskiego, żebym mógł mu, jako sąsiadowi, robić grzeczną niespodziankę; z pewnością by go to obeszło, że bez jego wiedzy wmięszalem się w jego interes. A tak znów bogatym i zażyłym z nim nie jestem, ażeby przypuszczał, że bezinteresownie zrobiłem, — że to tylko przysługa przyjacielska.

— Rozumiem.

— Lasiska w dobrym gruncie są położone i niedarmo tak się nazywają, bo lasu tam kawałek nie zły. Nim jeszcze cukrownię budowałem, miałem ochotę nabyć je.

— Rozumiem jaśnie pana!

— Nie rozumiesz. Sam nie mogę powiedzieć p. Ufalskiemu: Nabyłem od Jednoroga 60,000, na hypotece jest 30 czy 40,000, towarzystwo i prócz tego jeszcze pewne dłużki. Prędzej czy później namówisz żonę, ta zbędzie

Lasiska, zamiast komu innemu odstąpią mnie, prawda?

— Tak jest, jasny panie, prawda.

— Otóż na pośredników do tego rodzaju interesów najlepiej używać żydków, zwłaszcza takich, którzy trzymają w ręku dłużnika. Takich jak wy, co potraficie spekulować, ale faktorować jeszcze lepiej.

— Dziwna, jak pan mnie rozumie.

— Glupis! Słowem, jeżeli p. Ufalski mnie poprosi o zapłacenie 60,000 złp. i następnie p. Ufalscy zaproponują mi, żebym nabył Lasiska, dostaniesz odemnie 1,000 rs. Nie bez tego, żebyś i tam nie zarobił, więc warto popracować. Teraz chcesz czy nie? decyduj się.—zawołał żwawo Derlawski, wstając z krzesła.

— Rozumiem jaśnie pana. Choć on prędkie jest, choć ten metr u niego, ten lajdak miał zemną awanturę, jak mówiłem jaśnie panu, ja mu tak za kołnierz zalezę, z przeproszeniem, ja mu tak pietrem napędzę.

— Jak sobie poradzisz, to twoja rzecz. Wy-mawiam sobie w każdym razie, żebym o tém nawet nie wiedział i przestrzegam, żebyś się za-

nadto w figle nie zapuszczał, a zwłaszcza też o mnie milczał zupełnie. Na panu Ufalskim zarabiać nie myślę i nie mogę. Gdybym zaś, widzisz, postąpił sobie inaczej, użył którego z sąsiadów naszych, tobym zrobił przykrość p. Ufalskiemu, bo zaszkodziłbym w opinii ogółu obywatelowi, z którym dobrze żyję. Jeżeli to prawda co mówisz, że bez wiedzy żony 40,000 się zadłużył, co mi się nie zdaje, choćby i o tém nawet nie wiedziano; zawsze długi, Bóg wie na co zmarnowane, majątek nie własny ale żonin obciążające,—to niepięknie, bardzo niepięknie. Zresztą ja mam obowiązki dla p. Ufalskiego, zawezwałem go do współpracy w jednej spekulacji, gdzie obadwa zarezykowaliśmy pieniądze i nie udała się nam. Co ci mam więcej mówić? Idzie o uratowanie człowieka i nabycie Lasisk. Interes łatwo pojąć, daję 1,000 rs. Do widzenia!

— Padam do nóg jaśnie pana, namyślę się przez noc.

— Zabierajże papiery!

— Ja wiem, że w najpewniejszych rękach zostawiam.

— Zabierajże! Musisz przecie pokazać Ufałskiemu.

Jednoróg miał je zabierać, w tém niespodzianie weszła p. Derławska.

— Ach to zapewne interes Ufałskich, ten dług 60,000 — rzekła silnym głosem, patrząc bystro w oczy mężowi zdziwionemu, który zwolna wyszeptał: tak!

— Owszem, niech papiery zostawi i przyjdzie jutro zrana po odpowiedź. Możesz odejść!

Jednoróg spojrział na małżeństwo, aż mu się oczy zaokrągliły, ukłonił się niziutko, mruknął pod nosem *hast du gesehen* i odszedł.

— Pani Micia raczy się zajmować interessami mojemi, cóż za niespodzianka! — zaczął mąż niepewnym głosem.

— Ja się o większej dowiedziałam niespodziance przed chwilą.

— O jakieżże?

— O pięknym sposobie, w jaki chcesz przyjść do posiadania Lasisk — ale, za nadto kochasz syna, żebyś po zastanowieniu się nad niezręcznością swoich zwierzeń, nie miał porzucić tego projektu.

— *Mais jevous jure, Micheline*, że niezręczności żadnej nie ma, owszem!

— Tyle jój było ile niedyskrecji z mojej strony, bo wszystko słyszałam. Jeżeli sąsiedztwo, przyjaźń moja z Kłocią i życzliwość dla Ufalskiego nie podoba ci się; to możemy przestać żyć z nimi, ale Lasisk nie nabędziemy. Przyznaj, że tam ani grunta tak piękne, ani bór tak niezły.

— Mylisz, się Miciu, przypuszczając żeby przyjaźń twoja z tak zacną kobietą jak pani Kłotylda i jój córką, życzliwość dla męża, który przecież twój powinowaty, miała mi nie być po myśli. Owszem, na prawdę chciałem im wyświadczyć przysługę, — rzekł Derławski, mrużąc oczyma i poprawiając konserwów.

— Na prawdę, jak syna kochasz? — zapytała Michalina, której oko żywiej błysnęło i rumieniec na twarz wystąpił.

— Jak pragnę, żebyś ty mnie kochała, Micheline! — odparł mąż razem czule i niespokojnie.

— Wiedziałam, żeś szlachetny, tylko chciałam cię doświadczyć, — szepnęła nieco wabnie Michalina. Zbliżyła się do męża, pocałowała go

w czoło i nagle wzięwszy cęssję Jodnoroga, w komin wrzuciła.

— Co dokazujesz, Miciu! — zawołał z gniewem Derławski.

— Nabywam 60,000 złp., które pan raczysz żydowi wypłacić na mój rachunek. Rozmawiałam już o tém z Klotyldą i przyobiecałam jój w pańskiem imieniu, że jeżeli skąd inąd pieniędzy nie dostanie, to my ją zastąpimy. Przecie nam zwrócić mogą. Dzisiaj mają się nie źle a kiedyś, po śmierci prezesa, będą nawet bogaci — odparla spokojnie.

— Ale 60,000 w Orgowie na ulicy nie znajdziesz, to summa nie mała, ja tyle mam arcyważnych wydatków.

— Prędzój czy później miałeś nabyć jednak tę sumę.

— Tak, ale przyznam się, że zanadto do serca wzięłaś ten interes, ja zaś nie tak bardzo. A gdyby mnie chęć nabycia odeszła?

— *En ce cas*, spierać się nie będę. Napiszę do szwagra, on mi to załatwi.

— Miciu, jak się zastanowisz.

— Już zastanowiłam i naplakalam się dosyć,

żeś namówił Ufalskiego do spekulacji, w której mniej od niego ryzykowałeś i przegrałeś.

Derławski nie mógł wzroku żony wytrzymać.

— Jak się ty zastanowisz, — dodała po chwili — to mi podziękujesz i przekonasz się, że jeśli po raz pierwszy i ostatni zapewne wmieszałam się do twoich interesów, to dla wspólnego dobra naszego,

— 60 tysięcy, Miciu!

— W przeciągu roku odbierzemy, mój mężu! — odparła i wychodząc wyciągnęła doń rękę: On ją uściśnął z zadziwieniem i wzruszeniem, ale patrzył badawczo żonie w oczy.

— Anioł kobieta! — pomyślał — ale dla tego przeklętego Ufalskiego za dobra zawsze — dodał, tupając nogą.

Michalina pobiegła żywo do buduaru, siadła przy stoliku i napisała następujących słów parę:

„Panie! Dziś jeszcze albo jutro najpóźniej proszę mnie odwiedzić, mam pilny interes.,,

Zapieczerowała i zaadresowała: à M. M. *Miecislav Ufalski*.

— Mój Boże! aż tak nisko, aż tak nisko! Oszukał żonę w pieniężnym jakimś, brudnym

interessie!—pomyślała z westchnieniem. — Może Bóg da, że i to będzie teraz po raz ostatni!

Gdy dzwoniła na służącą, obtarła dwie łzy nadziei czy smutku?

V.

Na gościńcu od Lasisk ku Orgowu, prawie w pół drogi, wznosił się lekko grunt, z jednej i drugiej strony lasu dotykający, z kąd w dzień pogodny Lasiska i Orgów można było widzieć dokładnie. Ufalski ku zachodowi słońca zamknięwszy pokój swój na klucz i zasówkę, klucz wzięwszy do kieszeni, wstąpił na chwilę do Szyka, który z Julkiem miał lekcję matematyki, porozmawiał z nim lakonicznie, uścisnął silnie za rękę, pasierba w czoło pocałował i wybrał się na przechadzkę pieszą przez las, którym w krótkce doszedł do miejsca, zwanego Górkami, bo na okólnej przestrzeni gładkiej one jedne wznosiły się nieco.

Wieczór bardzo był pogodny, pałac Orgowski widać było jak na dłoni. Usiadłszy pod lipą rozłożystą, zapalił cygaro, obejrzał się na około kilkakrotnie a niezoczywszy nikogo na gościńcu, na

polu i koło lasu, zaczął myśleć głośno, jak się to często zdarza ludziom, co długo w samotności przebywali, lub których zgryzota do samotności przyuczać zaczyna.

— Cudny wieczór! Smutno pomyśleć, że marny dług przyspiesza zamiar. Ale niewybrnąłbym już z długów. Musiałbym albo znaleźć jakiego dobroczyńcę albo, co najsmutniejsza, musiałbym żonie wyznać wszystko, a łez jej nie mogę już znosić. Kiedy Micia została panią Derławska, wiedziałem już, że to najlepszy sposób na finał komedyjki istnienia, co ani Bogu ani ludziom na wiele się nie przydało. Zamiar ten tylko czas odroczył, ale go nie wyrugował z myśli. Przed kilku tygodniami przypomniałem go sobie, jako możliwy w przyszłości. Nie przypuszczałem jednak, żeby przyszłość tak nie daleką była. W nocy sypiać nie mogę i już po trzeci raz, wśród męczarń bezsennych, widocznie spostrzegam twarz brata, nachylającą się ku mnie z wyrzutem, ze słusznym wyrzutem. Nie powinienem był żenić się z wdową po bracie, nie! Onegdaj, kiedy mi się przysnił na jawie, kiedy serce mnie zabolalo, jakby je kto na rożen nadziewał, walilo jakby

młotem a dreszcz straszny przebiegł po ciele, schwycilem za pistolet, i przypomniałem sobie, że rzeba pożegnać Kłocię, napisać koniecznie słów parę, ostatnią wolę zostawić, zobaczyć jeszcze raz Micię, Szyka... Stchórzyłem, po prostu stchórzyłem. Mówią niektórzy, że chęć do odebrania sobie życia, to choroba, której symptomatowi oprzeć się niepodobna, jeśli się silnie rozwinie. Czuję istotnie od kilku dni, że mi coś zaczyna ciężyc na głowie, jakby mi kto czaszkę w olowianą czapkę okuł.

Smutno! I w tym razie nawet nie będę zależał od własnej woli, którą o tyle tylko posiadałem, o ilem nią cierpienia własne ukrywać i maskować zdołał. Nikt się ich nie domyślał, nikt! Serdecznie żaluję, że nieco wydałem się przed Michaliną, niepotrzebnie to było.

Jest pewna pociecha u nas hulaków i letkiewiczów: czuć się lepszym od tego, za co się mają inni i mieć utajone dobre, w którym, jak w czystej krynicy, obmyć można czasem małe dolegliwości, zgryzoty drobiazgowy, z których się składało marne życie moje. Nie mam odwagi walczyć ze złem, które sobie sam sprawilem;

nie mam śmiałości zgodzić się na chwilową przykrość położenia, wyjść z niej zwycięzko i zostać dobrym mężem, dobrym ojcem dla tych kochanych dzieci i przyjaźnić się z Nepomucenem i zasłużyć sobie na szacunek u dobrych ludzi. Jeszcze jestem w sile wieku, przed wola i pracą djabeł się ugiąć musi, jak Szyk uczciwy powiada. Można to było, ale niech mi się znów przyśni brat, zamiary te do wszystkich djabłów precz pójdą.

Tchórz! tchórz ze mnie — aż mi wstyd, a przecie strzelałem się nie raz. Ostatni raz będąc ranny i umierający, nie drżałem przed śmiercią a teraz boję się przywidzeń, jak dziecko straszylet, co o nich nianka baje, — zawołał gniewliwie. Wyjął pistolet z kieszeni, obejrzał czy kapiszon dobrze zasadzony i położył go przy sobie na trawie. — Mój Boże! Czy też Klocia, Polcia, ona albo Szyk, albo prezes przypuszczać mogą, żebym kiedykolwiek zdolny był do zakończenia w ten sposób. Niech się tylko nieco zmierzchnie, chciałbym ją jeszcze zobaczyć, choćby ten raz tylko! Jeśli ich nie ma w domu, będę czekał, zakradnę się do ogrodu i przez okno zobaczę. Niech się tylko zmierzchnie!

Bo cóż? Żonie zawadzam, straciłem jęj sporo fortuny, prawie całą, mógłbym i dzieci ukrzywdzić potém a przynajmniej od łaski ich zależć. Czuję się poniżonym, nie zasługuję na przyjaźń uczciwego Niepomucena, który żelaną pracą tyle sobie winien; nie zasługuję na życzliwość jęj, co jednak zawiniła kiedyś względem mnie. Wskazała mi jasny cel życia, który pierzcht potém — a choć pragnałem gorąco, do żadnego innego nie mogłem przywiązać się dokładnie. Zrestą, co mówić o tém! Nudno mi na świecie, w głowie i sercu ciężko i niedobrze. POCO żyć? Na co zawadzać niepotrzebnie? Lepiej zostawić jęj pamięć męża samobójcy, niż być żyjącym mężem oszustem. Powie ten i ów, że już na hulankę dla mnie pieniędzy zabrakło, lub, że zwarzjowałem z pijaństwa. Słyszyc nie będę, wszystko mi jedno. Aż wieczór ten, jakby dla mnie przeznaczony; żywěj duszy nie widzę od godziny. Pod lipą tu padnę spokojnie, jutro dopiero znajdą trupa, pojutrze do Szyka przyjdzie przesyłka z poczty, którą już przygotowałem oddawna, a dziś dopiero pošę w Orgowie do stacji, zkąd ma być do Lasisk przesłana. Będzie

tam długi list do żony, słów parę dla dzieci i dla prezesa, bilecik do Mici. Czyby nie lepiej tak zrobić, żebym niby wyszedł na polowanie i zabił się przypadkiem z dubeltówki? Nie idzie tu o mnie, ale o pamięć, jaką żonie po sobie zostawię. Cóż kiedy mi Szyk zabrał dubeltówkę i u wikarego w Orgowie zostawił, a zabrać mu jego strzelbę tak późno, toby mogło w nim zrodzić podejrzenie. Czy tu kto chodzi po lesie? — zawołał nagle, drgnąwszy, bo zdawało się mu, że łamanie gałęzi tuż za sobą usłyszał. Pobiegł więc w las, który był dosyć rzadki, nikogo nie zobaczył, i zwolna z pochyloną głową podązał ku Orgowu. Tymczasem z pomiędzy olch wyjrzała za nim niespokojna twarz Nepomucena, który dwukrotnie badał Ufalskiego o powód tak głębokiego zmartwienia, a ten go zbywał ogólnymi odpowiedziami. Wiedząc, że nosi przy sobie pistolety i wychodzi gdzieś pieszo, wyszedł, że to na górki. Pierwój od niego jeszcze przybył na to miejsce i ukrył się w lesie, którego każdy przesmyk znał doskonale. Domyśliwszy się czarnych zamiarów w ponurém jego zamyśleniu, przypuścił prawie podejrzenie sa-

mobójstwa, ale na teraz nie obawiał się o to, przynajmniej pod jednym zabezpieczył się względem. Wykręcił z pistoletów proch i kule kiedy Ufalski trochę się zdrzemnął po obiedzie. Pilnował go jednak prawie nieodstępnie, bo i niemożna było nie pilnować człowieka, tak nagle jakby podupadłego na umyśle, który coraz więcej trunków co dzień wlewając w siebie, im był bardzo odurzony, tem był smutniejszym. Na zapytanie odpowiadał nie tak nieprzytomnie jak pijany, ale jakby go kto nagle z głębokiego zamyslenia przebudził. Wtem, rozległ się tentent kouia, Szyk zobaczył i poznał posłańca z Orgowa, który po drodze spotkawszy Ufalskiego, wręczył mu bilecik i z kopyta wrócił nazad. Ufalski szybko powracał ku Lasiskom, Szyk znanymi w lesie ścieżkami, podążył także i uprzedził go. Spotkali się przed dworem.

— Toś i ty, Panie Nepomucenie, wychodził na przechadzkę. Widzę, że na ptaszki, ale jakoś nie ubileś.

— Głowa mnie zabelala i musiałem wracać do domu.

— I ja nie zdrów także jestem, położę się za-

pewne, chociaż to jeszcze wcześniej. — Kazał sobie łóżko posłać i wszedł po chwili do swego pokoju, z Szykiem chwilę porozmawiał, potem gdy zamilkł, Szyk go zostawił samego.

— Co to za interes być może? — z ciekawością zagadnął Mieczysław, — i to dziś koniecznie albo jutro z rana? Dzisiaj już późno, ale że mnie proszą, mogę być i dzisiaj później. Pojechać powozem? Oczywiście wrócić trzeba powozem, mogę jeszcze zastać Jednoroga i dopiero z domu drugi raz na Gorki wychodzić. Za długa robota; konno toż samo, zarazby szkapa do stajni przybył. Teraz Jodnoroga nie kazałem puszczać. Jak się ściemni zupełnie, przez okno wyjdę na ogród i piechotą polami do Orgowa. Tam powiem, że zsiadłem z konia w Bielicy i wracając, będzie czas, będzie, — szepnął energiczniej, dotykając ręką pistoletów w kieszeni — Nikt nawet nie dowie się, że wyszedłem, lampę zostawię w kominie, będą myśleli, że śpię. Ona mimowoli przeczuwa, że mam się rozstać z nią na zawsze i chce mnie pożegnać, Kochaliśmy się kiedyś — pomyślał, siadając, Łzy błysnęły mu w oczach.

— To babstwo wiecznie mnie gubiło — zawołał po chwili, obtarł łzy i położył się na sofie, ale mu oczy ani myślały kleić się do snu, chociaż je zamknął. W tak ważnej chwili, za wiele myśli i wspomnień snuło się po głowie, a rozwiązaniem wszystkich, było postanowienie odebrania sobie życia, które coraz trwałej i nieodwołalniej zlewało się z jego wołą, łudząc pozorami jakby poświęcenia i konieczności.

Gdy się ściemniało i we dworze ucichło, zmienił bieliznę, wdział frak, szpicrutę wziął do ręki, dla pozorów niby konnej jazdy, zamknął drzwi wewnątrz i wyszedł ostrożnie przez okno na ogród, zbliżył się na palcach do okna od pokoju Julka. Ciemno było, pewnym więc był, że i Nepomucen spać się położył, bo skarżył się na ból głowy. Gdy już miał przechodzić przez płot, obrócił się jeszcze ku dworowi, który druga kwadra księżyca jasno oświecała. Westchnął, rozrzewnił się na wspomnienie żony, Polci, Julka i Szyka, rzeźko skoczył przez parkan, sunął lasem, myśląc już teraz więcej o pożegnaniu z Michaliną, niż o lipie na górkach. Pistolety tymczasem, które do kieszeni od peleryny włożył, uderzały go po bokach.

Parę razy zaświstał, zanucił pod nosem, parę razy westchnął namiętnie, roześmiał się szyderczo i śpieszył się nagle, jakby go kto gonił.

Nieraz słuch pieszego, śpiesznie idącego wędrowca łudzi się, że ktoś za nim postępuje. Tak też sobie wytłómaczył że stąpanie bardzo bliskie, które za Górkami usłyszał, było tylko złudzeniem.

— Przywidzenie! przywidzenie! Nikt nie idzie. Człowiek nie zawsze popełnia zło w samotności, ale do kary za zło zawsze gotowa samotność! — pomyślał, zbliżając się do karczmy, tylko już o kilka staj od Orgowa odległej. Podniósł kołnierz od peleryny, przebiegł szybko przez plac rynku, potem boczną ulicą wyszedł na szosę, gdzie skręciwszy w bok, przy domu zajezdnym najbliższa była droga do pałacu. Przed bramą stał krępy mężczyzna w czapce, który nachylać się zaczął, wyginać i przyglądać Ufałskiemu żwawo przechodzącemu.

Już widać było oświecone okna pałacu Orgowskiego, gdy nagle posłyszał, że ktoś za nim biegnie.

Przystanął.

— Przepraszam, pan pewnie tak jak ja do pałacu spaceruje; wszak to p. Ufalski? W Lasiskach pana ani razu zastać nie mogłem, wypchnął mnie raz ze dworu, ten łajdak, jakiś gubernier, a drugi raz pan niby był na polowaniu przez cały dzień, bo ja czekał dzień cały. Tylko w Orgowie już mam po drugi raz to szczęście. A jak ja pana dobrodzieja poznał po chodzie, zaraz i po téj pelerynce, którą jeszcze pan w Warszawie nosileś. Gdzie pan kochający konie zostawił?

— Czekam cię po jutrze u siebie w Lasiskach. Dobranoc, Jednoróg!

— I zapłaci pan?

— Zapłacę.

— Bodaj ja tak zdrów był, jak to prawda!

— Kiedy powiadam, że zapłacę, to psie twoje prawo wierzyć. Do pojutra, — ofuknął z gniewem.

Jednoroga nie było jednak łatwo zdetonować, zwłaszcza, kiedy był nad kim pewny przewagi w interesie. Owszem, w zawodzie swoim przyjął za zasadę straszyć ludzi. Dotychczas jakoś mu to uchodziło.

— Także moje psie prawo wytoczyć process i przysłać komornika, kiedy pan nie płaci.

— To sobie przyślij, a teraz idź precz!

— Nie wiem czy to dobrze, że mnie pan każe tak iść precz, bo nie pięknie będzie jak się dowiedzą, że pan zfałszował podpis pani żony dobrodziejki. Ja wiem. Jednoróg wszystko wie. Fajn geszeft panowie z Luciem zrobili.

— Jaki podpis? Zaczepki zemną szukasz? Miěj się na ostrożności, wracaj, radzę ci, bo zły jestem.

Jednoróg cofnął się na groźbę, lecz popatrzywszy się na wysmukłą figurkę Ufalskiego, na światelko coraz bliżej z okien pałacu błyszczące, zresztą, w przyzwoitej stojąc odległości, jakoś go język zaświerzbiał.

— Ja z panem zaczepki nie szukam, ale panu przypominam, żeby mnie nie kazał gubernero-wi za drzwi wyrzucać, nie manił mnie i nie oszukiwał, bo może być źle z panem, ja pana przestrzegam.

— Cóż ty mnie zrobić możesz? Jak śmiesz mnie przestrzegać. Złodzieju!

— Złodzieju? Nie wiem kto bardziej w tym

interesie, — wrzasnął Jednoróg, oddalając się jeszcze o parę kroków.

Krew zawrzała w Ufalskim, zabębniło mu w uszach, poczerwieniało w oczach, w mgnieniu oka zwrócił się, schwycił go za kołnierz, szpicruta świsnęła w powietrzu, raz, drugi i trzeci. Jednoróg raz tylko jęknął, postąpił krok, zachwiał się i padł na ziemię. Ufalski ochłodnął natychmiast; z uśmiechem politowania, przebaczenia i żalu nachylił się nad nim, ale krew bryzgnęła mu na twarz i bieliznę. Nachylił się bliżej i zobaczył dwie duże, czerwone plamy na skroni Jednoroga. Podniósł głowę, — padła martwa. Przyłożył rękę do serca, nie biło. Wziął za puls, puls milczał. Podniósł głowę jeszcze raz, dotknął się plamy, palec mu w niej zagłębił się; spojrzął na spicrutę swoją, w której była ciężka rączka ołowiana, opleciona strunami, zmaczana we krwi.

— O Boże! to kara za wielka! — jęknął boleśnie. — Zabiłem człowieka, chciałem go spicrutą zlekka uderzyć. Kto mi kazał brać tę szpicrutę? Jakaś siła obca kierowała mi ręką, zdawało mi się, że trzymam za jeden koniec, a

trzymałem za drugi. Cóż mi on zawinił! O swoje się tylko upominał. Przeklęty jestem. Lepiej to raz z życiem zakończyć. Wyjął pistolet, odwiódł cyngiel. W tém usłyszał turkot, mimowolna go ogarnęła bojaźń, żeby go przy trupie nie obaczono, zdawało mu się, że z wielu stron ludzie konni nadbiegają. Ktoś mu szeptał ciągle do ucha: „Nie wiem kto w tym interesie większy złodziej.“ Trup zdawało się mu, że głową kręci, że się podnosi, — krzyknął i nieprzytomnie biedz zaczął wprost siebie. Przy samych dopiero sztachetach od ogrodu, w bok pałacu — stanął i przyszedł nieco do siebie. Psy na podwórzu czekać zaczęły, furta była zamknięta, a widać było jak księżyc odbijał się srebrzysto od stawu. Coś go tam ciągnęło, żeby się obmyć. Krew mu paliła ręce, twarz, piersi, przylepiała koszulę do ciała. Z gorączkową szybkością przelazł przez sztachety, przedarł się przez żywopłot, krzaki pożeczek i agrestu — i biegł do stawu.

— Kto tam? — zawołał kobiecy głos lękliwie. — Czyto furтка otwarta była? Pan Mieczysław Ufalski tak późno u nas w ogrodzie! Gdzie

pan tak biegniesz? Odebrałeś list, — widziałeś się pan już pewno z mężem? — Proszę do pokoju.

Drgnął Ufalski, Michalina siedziała na darniowej ławeczce trochę dalej od pałacu! Szklane drzwi od jęj buduaru były otwarte. Światło lampy wewnątrz i światło księżyca, dziwacznie odbijało w szybach szafirowych.

— Co panu, panie Mieczysławie, pan powalany na twarzy. Nie ściskajże mi pan tak ręki, mówże pan! Co to jest? Krew! krew! Jezus Marja! Krew, Mieczysławie! Pewno z konia znowu spadłeś?

— Cicho! Zgubisz mnie pani! Zlituj się, mój aniele dobry, cicho! Bóg łaskaw, że tu nikogo nie ma. Wszak nie ma?

— Nie ma, ale co się z panem dzieje? — bojaźliwie zapytała kobieta.

— Nic, tylko żeby można zkad wody kilka kropel! Zgaga mnie piecze, skronie wałą, chyba zemdleję, — szepnął, padając na ziemię.

Michalina przestraszona, pobiegła jednak, zamknęła drzwi wewnątrz na zasówkę, uchwyciła karafkę z wodą i zwilżyła mu skronie.

Chwilkę odetchnąwszy, przychodzić zaczął do siebie, a zdaleka zdało się mu, że słyszy jakiś hałas, krzyk, rozmowę. Uchwycił karafkę i wychylił sporo wody, resztę wylał na chustkę, obmył sobie twarz i ręce, frak zapiął pod szyję.

— Daruj pani — rzekł smutno lecz zupełnie już przytomnie — że cię przestraszyłem. Jeśli mam niejakię prawo do łaskawości twojej, pierwszy raz wspominając o tém, błagam cię, niech nikt nie wie, że tu byłem, nikt. O! nie idzie tu o mnie, ale o Klotyldę, o dzieci. Czyś pewną, że mnie tu nikt nie widział?

— Tu w ogrodzie nikt o téj porze, ale na podwórzu — odrzekła kobieta, drżąc i patrząc bojaźliwie na bladą twarz i błędne jego spojrzenia.

Jakże pan tu przyszedłeś?

— Przez parkan przelazłem, nie bój się pani. Przecież ci nic złego nie zrobię — rzekł smutno, tuląc jej rękę do ust.

Wtém ktoś zastukał do buduaru.

Michalina przyłożyła palec do ust, wskazała na szpaler i pobiegła drzwi otworzyć.

— Zamknęłaś się? — zapytał Derławski.

— Broniś mi tu przeszkadzał, zawsze coś

spsocić musi, a potém wyszłam do ogrodu: noc tak piękna!

— Wyobraź sobie, co Jasiek od rządcy w téj chwili mi powiada, że znaleziono na pół drogi od austerji do pałacu człowieka zabitego. Z rządcą naszym spotkał się jakiś pan, który mu o tém powiedział, idę zaraz dowiedzieć się. To szczególniejszy wypadek?

— Kto zabił? kto zabity? — zapytała Michalina, zatrząsłszy się nagle. Tak ją serce zabolalo, że gdyby nie było krzeszła tuż przy niéj, z pewnością byłaby upadła na ziemię.

— Niewiadomo jeszcze, kochanie! A jak czasem pani Micia wrażliwa i nerwowa. Zbladłaś przeraźliwie, uspokój się — rzekł z uśmiechem. — Zaraz wrócę i opowiem ci wszystko.

Odszedł.

Wybiegła do ogrodu.

VI.

Gdy Ufalski wrócił przed wieczorem z przechadzki i zamknął się u siebie, Nepomucen nie-

spokojny o niego, co chwila przez okno od ogrodu zaglądał. Roleta była zapuszczona, jednak z boku mógł dojrzyć nieco. Zobaczył i posłyszał, że się ubiera, potem go zastanowiło, że lampę przytłumił, drzwi jeszcze na spust jeden przytknął, a okna uchylił. Kazał więc coprędzej Julkowi iść spać, a sam położył się na trawie, przy klombie, z kądem z pomiędzy bzu nie tracił okna z oka. Zastanawiając się nad trafnością a prawdziwością domysłów i podejrzeń swoich; bolejąc, że mu przyjaciel nie ufa, postanowił zagadnąć go jeszcze raz, — i bez względu jak przyjacielem natarczywą życzliwość, zmusić do wyznania. Układał nawet w myśli wyrażenie, od którego zaczął.

— Nazwałeś mnie przyjacielem nie słusznie, wręcz zaprzeczasz temu, cierpisz samotnie i to straszliwie cierpisz. Może niegodzien jestem, żebyś mi zwierzył się, w takim razie przepraszam i rozstańmy się lepiej, bo mnie ubliżasz nieufnością.

Wtém zoczył, jak Ufalski ostrożnie przez okno wyszedłszy do ogrodu, ostrożniej przytknął okno i obejrzawszy się, przebiegł ogród i przez

plot przelazł. Wiedział Nepomucen, że pistoletów nie mógł nabić raz drugi, bo mu wykradł proch i kule. Dogonić go, zacząć z nim rozmowę, jakoś teraz nie mógł, nie śmiał dać mu poznać, zwłaszcza też w nocy, że go tak śledzi nieodstępnie: coś go mimowoli wstrzymywało. Przeczucie tylko, troskliwość i obawa ciągnęły go za nim; szedł więc zdaleka, to znów bliżej i odprowadził go tym sposobem aż do Orgowa, za dom zajezdny. Widząc, że idzie ku pałacowi o téj porze, zadziwił się i przypomniawszy konnego posłańca, ucieszył się, że jego obawa płonna, jak na teraz. Gdy się zastanawiał czy iść do wikarego, czy poczekać, czy też wrócić do domu, zoczył nagle jakiegoś człowieka, co go w nocy nie mógł rozpoznać, który dogonił Ufalskiego i zaczął z nim żywo rozmawiać. Usłyszał dwukrotnie gniewy, donośny głos Miecysława. Nagle rozległ się jęk na gościńcu i ktoś zaczął uciekać co tchu ku pałacowi, w stronę ogrodu. Podbiegł więc żywo. Na ziemi leżał trup jeszcze ciepły z pokrwawioną twarzą, nie z Ufalskiego twarzą. Ucieszył się z początku, potem drgnął z oburzenia i zgrozy, bo zamor-

dowany człowiek leżał przed nim. Krew ciekąca z rany, którą sobie rękę zwał, zdawała się błagać o sprawiedliwość, o tę pomstę, której chęć natychmiast powstaje w sercu człowieka z sercem. Nie wiedząc o powodzie morderstwa, czasem mimowolnym, boleje tylko nad nieszczęściem, nad występkiem, którego by sam nigdy nie popełnił. — Dogonić Ufalskiego? Zapytać go? Dać mu poznać, że był świadkiem zbrodni? Spokojnie wrócić do domu?

Prawie mimowoli same nogi podążyły ku pałacowi, w stronę ogrodu. Biegł prędko,..... wtém tuż przy pałacu, z pobocznej, piaszczystej drożynki wyjeżdżająca bryczka zastąpiła mu na gościńcu. Ominął i biegł dalej.

— Panie Szyk dobrodzieju! Wszak to pan łaskawy! Dobry wieczór! Zkąd tak prędko? Pewno z probostwa? Musiałeś pan młodego Ufalskiego zostawić w pałacu — zagadnął nagle głos z bryczki.

Drgnął, poznał rządcę z Orgowa. Wypadalo odpowiedzieć, — stanął.

— Nie byłem jeszcze u wikarego — odrzekł machinalnie.

— Muszą na pana konie czekać w pałacu, czy też pieszo? — zapytał znów a bryczka skrzyła na gościniec, gdzie o kilka staj leżał trup zamordowanego w poprzek drogi.

— Koni nie ma, wybrałem się piechotą.

— Pewnie pan ma jeszcze wstąpić do państwa w jakim interesie z Lasisk. Państwo nie śpią jeszcze, można — można!

Wypadalo jednak coś powiedzieć, uprzedzić rządcę, choćby przez wzgląd na Ufalskiego. To też Szyk zaczął wolniejszym głosem.

— Nie! Nie miałem żadnego interesu, gdzie tam teraz myśleć o jakim! Idąc od zajazdu ku probostwu, usłyszałem nagle jęk jakiś w tej stronie.

— Przy pałacu?

— Na gościńcu. Zbaczam więc trochę z drogi, słucham. Przyglądam się, szukam, znajduję człowieka zabitego: krew płynie ze skroni, a ktoś tu chyłkiem ucieka, — pędzę za nim.

— Co pan mówisz! Gdzie ucieka? Ku pałacowi?

— Potem skrzył.

— Na lewo?

— Na prawo — skłamał skwapliwie Szyk.

— Jezus Marja! Przerażasz mnie pan! Gdzież to? — zapytał wyskakując z bryczki. — A to panie! Jeszcze w Orgowie za moich czasów nic się takiego nie zdarzyło.

Gdy doszli na miejsce, rządcą nachyliwszy się nad trupem, zawołał nagle:

— To Jednoróg!

— Co za Jednoróg? — wyjąkał Nepomucen i zimno go wskroś przejęło.

— Geszeftmacher z Warszawy, miał interessa z naszym panem. Przecie był i u was w Lasiskach, jeszcze prawda, skarżył się, że go pan za drzwi wypchnął.

— A! to ten Jednoróg! — usiłował z zadziwieniem odpowiedzieć Nepomucen.

— Ten sam niezawodnie. Wypytywał mnie jeszcze dzisiaj, czy w Manówce da się zrobić interes na drzewo. Zabity! Porządnie zabity! Tu niema co gonić za zabójcą, bo go chyba sam djabeł teraz w nocy dogna, tylko po prostu dać znać burmistrzowi, żeby straż postawił, a z nas ściągnął protokół. Już go oni tam potém znajdują. Siadaj pan oto ze mną! Jasiiek! biegnij no co

tchu do pałacu i powiedz kamerdynerowi, żeby doniósł Jaśnie panu o tém, a ja sam powozić będę. Jezus Marja, co za wypadek!

— Straszny wypadek — dodał Szyk z westchnieniem.

Burmistrz zszedłszy na miejsce zbrodni, ściągnął protokół w austerji z rządcy i z Szyka. Chociaż odpowiedzi jego wydały się mu naturalne i te tylko zapisał, na jego bladeść jednak i rękę pokrwawioną zwrócił uwagę nie tylko on, pisarz i rządcą — ale i więcej przytomnych, zwłaszcza też ex-wyznawców nieboszczyka, co się hurmem zbiegli.

Powołano nadto właściciela austerji i służących. Dziewczyna jedna widziała, że Jednoróg wyszedłszy z numeru z austerji, stanął przed bramą z cygarem, pogonił potem ku pałacowi za jakimś przechodniem nieznanym, sporego wzrostu. Gdy ją zapytano jak przechodzień mógł mniej więcej wyglądać, z odpowiedzi jej domyślić się można było, że był podobny do pana Szyka. Protokół odesłano do sądu policji prostej. Tymczasem do kancelarji nadjechał dziedziec Orgowa, p. Derławski. Bardzo szczegóło-

wo wypytawszy Nepomucena o zdrowie Ufalskiego, dziwił się, że go dzisiaj nie odwiedził i zastanowił się, co by to mógł być za przecho-
dzień, oczewiście znajomy Jednoroga, za którym ten pobiegł tak gwałtownie. Ubolewał, że przez zjechanie sądu na grunt i tłumaczenie się przed nim, ambarass może się znacznie przedłużyć, zanim uchwycą zabójcę. Nareszcie odchodząc, dodał:

— A to awantura najniespodziewańsza! W Lasiskach już pan raż nieboszczyka wyczubi-
łeś, teraz go ktoś na dobre zacubił, pewno już nie za zuchwalstwo, bo to jegomość był zu-
chwały, po prostu chyba w chęci zysku. Przy-
znam się jednak, że złoczyńca niewprawy, bo mógłby w inném przydybać go miejscu, nie na
środku gościńca, przed pałacem. W każdym
razie Jednoróg nie spodziewał się tak dramaty-
cznej śmierci.

Protokół, śledztwo i cała krzątanina późno
w noc się przeciągnęła. Przed świtem Szyk
chciał wracać do Lasisk, ale pan burmistrz grze-
cznie poprosił, żeby u niego raczył przenoco-
wać, rządca zaś dał do zrozumienia, że nie

chcąc na siebie ściągnąć odpowiedzialności, inaczej w tym razie nie wypada postąpić.

— Ja sam — dodał — zostanę w kancelarji aż do rana, to jest do przyjazdu sądu. Póltory milki to nie tak daleko, przyjadą z pewnością na ósmą lub dziewiątą najpóźniej.

Burmistrz ubolewając z rządcą nad nieszczęsną przygodą, co „tak szanownego człowieka” (wyrażenie rządcy) zaplątała w niemiłą awanturę, okazał się bardzo uprzejmym dla niespodziewanych gości. Przyczyniła się widać do tego oczewista *konsyderacja*, jakiej Szyk u Ufalskich zwłaszcza téż u Derławskich używał.

Zbudził dom cały, żeby ich godnie przyjąć. Wieczera była bardzo smaczna, piwko orgowskie prosiło się aż, żeby go szkosztować, nawet i cygara niezłe były, chociaż tylko pruskie. Gospodarz i rządcą ciągle wpadali na rozmaite domysły co do mordercy domniemanego i powodów morderstwa; drugiemu nawet dobry humor zaświtał. Świejąc się, powtórzył uwagę Derławskiego, że śmierć tak dramatyczna wypadła lichwiarzowi. Nepomucen nie chciał nic jeść ani pić i tylko czasem niechętnie słówko do roz-

mowy wtrącił. W duszy jego straszne zalegało zwątpienie. Oczéwiste miał dowody, że człowiek, którego dotąd szanował i kochał, był zabójcą, zbrodniarzem — przypuścić jednak nie mógł, żeby nim był rozmyślnie. Śród strasznych cierpień Mieczysława, na które patrzył, zamiar ten mógł wylęgnać się i z wolna dojrzewać; może nawet w tym tylko celu nosił przy sobie pistolety. Służąca z karczmy widziała, że Jednóróg za nim pobiegł. Łatwo mu było wywnioskować, że nie on zaczepił go pierwszy. Żyd był zuchwały, mógł mu co powiedzieć, obrazić go. Krew nie woda — uderzył silnie i przypadkiem w skroń — ale czém? Jakiś mu głos szepnął do ucha, że kolbą od pistoletu. Bardzo to być mogło.

Niepokoiliła go nadto obawa o Ufalskiego, który jednak był przyjacielem jego. W ostatnich czasach prawie ciągła gorączka go trawiła, co z pewnością na umysł oddziaływało. Zresztą Polcia była jego pasierbicą, — mógł być winnym, może nim był nawet, ale i nieszczęśliwym zarazem. Widział go, jak uciekał co tchu w stronę pałacu czy ogrodu — a potem gdzie się podział?

— Gdyby uprosił rządcę, żeby natychmiast dał znać do Lasisk o tym całym wypadku? Nużby go w domu posłaniec nie zastał, czyżby to nie mogło naprowadzić na jakie domysły? Umyślił więc poczekać do jutra, w przekonaniu, że prędzej będzie mógł dowiedzieć się czego dokładniej i postanowić bardziej stanowczo. Choć był silnym mężczyzną i w życiu swoim, zwłaszcza téż w pierwszej młodości, niejedno przetrwał cierpienie, wrazenie z tego wypadku tak silnie nań oddziało, że uczuł je na nerwach swoich potężnie, — co chwila ziewał szmatycznie, snu bynajmniej nie potrzebował, tylko zdawało się mu, że ciało pragnie spoczynku. Znużony był tak widocznie, że sam burmistrz i rządca, co się herbatką z arakiem raczyli, namawiali go, żeby spoczął na chwilę. Usłuchał ich rady i patrząc na rękę swoją, gdzie widać jeszcze było parę zaschłych, krwawych kropel, smutno kiwnął głową.

— Ktoby się był spodział — pomyślał — że na téj ręce, co go kilka dni temu za drzwi wypchnęła, krew jego obaczę! Dziwne sądy i zrządzenia Boże! Od téj nocy, gdy Miecz-

sław wpadł do mnie, skarżąc się, że widział w śnie gorączkowym brata, dusza jego chmurami się już dla mnie okryła. Zamiast chować i nosić przy sobie kastet, co nim stłukł szybę, trzeba było lepiej zawezwać doktora, zmusić go, żeby się położył, przynajmniejby nie pilby przez ten czas i umysł byłby miał zdrowszy, — albo wyjechać do Warszawy — dodał sobie w myśli, zdejmując surdut. Wtem wypadł mu z bocznej kieszeni ów pamiętny kastet. Gdy się schylał podnieść, burmistrz go uprzedził i obejrzawszy zewsząd uważnie, zapytał nagle, z widoczną zmianą w głosie, nie tak grzeczną jak dotychczas.

— Cóżto za broń pan miałeś przy sobie?

— Broń? Zkądże tak groźne zapytanie? Czy z urzędu? — odparł wyniośle.

— Strzeżże mnie, Panie Boże! Tak sobie zapytałem, panie dobrodzieju, albo to broń.. to...

— Kastecik — wtrącił rządcą.

— Kastecik — powtórzył nawet nieco lęklawie burmistrz, którego rządcą pociągnął za pople od surduta.

— Widać przed sądem będę się musiał tłoma-

czyć i z tego, że ten kastet miałem przy sobie — dodał pogardliwie Nepomucen, kładąc się na sofie.

— Tłumaczenie pańskie bardzo będzie proste. Miałeś pan przy sobie kastet, no i cóż wiekiego! miałeś pan. Zabić pan nim nie mogłeś Jednorożca, bo kulka suchuteńka — dodał niby żartobliwie rządcą, pokazując burmistrzowi, że drugiej kulki brak było.

— Teraz dopiero zaczynam przeczuwać następstwa przyjemne awanturki, w którą wpadłem Bóg wie po co.

— Proszę pana dobrodzieja, wypadki po ludziach chodzą — odrzekł pocieszająco burmistrz.

Dopiero teraz zastanowił się Nepomucen wprost nad własną rolą, co ją w tym wypadku odegrywał; nad badaniem, które jutro z niego ciągnąć będą i odpowiedziami swojemi, z których wszystkie będą prawdziwe, tylko jedna skłamana a raczej utajona. — Nie mógł wyznać w żadnym razie, kto był zabójcą.

Burmistrz tymczasem z panem rządcą racząc się coraz obficie herbatą z araczkim, szeptali a szeptali o wypadku téj nocy. Rządcą zoczy-

wszy kastet, z początku tylko niespodziewanie się dziwił, potem przypomniał sobie, że gdy spotkał pana Szyka na gościńcu, to mu ten nie od razu zaczął mówić o zabójstwie, i dopiero wtedy powiedział, gdy bryczka jego skręciła na gościniec. — Przytem był zmięszany, bardzo zmięszany i obie ręce miał pokrwawione.

Arak, którego wylany gospodarz sporo mu dolewał, wpłynął także na wylanie spostrzeżeń tych do ucha gospodarza, który ich ważność pojął, żalując tylko, że w protokóle nie zamieścił. Rządca mu wytłumaczył, że ta skrupulatność zbyteczna nie spodobałaby się zapewne panu Derławskiemu, który już po całym wypadku, rozmawiając bardzo grzecznie z panem Szyk, widocznie go protegować zamyśla. Po wielu innych uwagach za i przeciw, zgodzili się obadwa na podejrzenie czyli przypuszczenie, które belgoczący już nieco język agronoma, w następnym sposobie zredagował: „Że Szyk mógł istotnie iść do wikarego na warcaby, że Jednoróg mając do niego urazę za to, że go w Lasiskach za drzwi wyrzucił, stojąc przed karczmą poznał go, pobiegł za nim. Że zaś był to żyd bardzo zu-

chwaly, może mu głupstwo jakie powiedział, wymyślał; może nawet uderzył. Pan Szyk rozgniewany, krwi gorącej, mając kastet przy sobie w kieszeni, a może i w rękę, palnął raz i drugi, aż kula odpadła. Może ją sam po dokonaniu mimowolnego morderstwa oderwał.”

— Kto wie, czybym i ja w gniewie, mając przy sobie kastecik, nie uczył go tak samo — wtrącił burmistrz.

— Oczéwiście! Szkoda zawsze człowieka, ale że go już djabli wzięli, większa szkoda takiego człowieka jak pan Szyk, bez porównania większa! Jak go ci Ufalscy przed państwem zawsze chwala. On u nich nie jak guwerner, ale jakby panie, do familii należał. Niedarmo widać głowę na karku nosi.

— Ha! Wypadki po ludziach chodzą — wtrącił jeszcze raz burmistrz.

— Ręczę, przysięgnę — szepnął unosząc się rządcą — że to morderstwo nienaumyślne. Jak dopiero, panie, potem zobaczył krew, trupa, tak i przyznać się, że się kogoś na tamten świat wyprawilo choćby najnienaumyślniej — jakoś przykro, djabelnie przykro. Prawda?

— Bogać tam nie! odparł burmistrz z chytrze-dobrodusznym wyrazem twarzy i giestem, który przy szklance wielu ludzi miewa na zawołanie, wtedy zwłaszcza, kiedy czyjaś myśl zupełnie do ich przekonania trafi.

Najniepodobniejsze podejrzenie aby tak jakoś *ad hoc* ukute, łatwo się udziela i rozchodzi szybko wieścią. Nazajutrz raniuteńko całe miasteczko już wiedziało, że pan metr z Lasisk przemówiwszy się z Jednorogiem, który się nań rzucił i śmiał mu dać policzek, — palnął go w łeb kastetem. Mnóstwo żydostwa zacząwszy od bachurków do dziadów, bab i maremorajnesów, oblegało kancelarję, aż ich pacholkiwie porzpedzać musieli.

Szyk uprosił rządęcę zrana, żeby o tym wypadku dał znać do Lasisk. Kiedy jeszcze parę słów olówkiem na wydartěj kartce z pularesu chciał napisać, pragnąc, żeby je doręczono Ufalskiemu, — wstąpił do kancelarji doktor, w Orgowie zamieszkały, bardzo dobrze u Derławskich widziany.

Chociaż bliżej nie znał Nepomucena, przy rządcy i burmistrzu bardzo ubolewał nad fatal-

nym wypadkiem, zapytał go w swoim a bardziej w pani Derławskiej imieniu, (zastanowiło to Szyka) czy nie ma jakich zleceń i z gotowością do wypełnienia wszelkich oświadczył się.

Dodał, że go wzzywają do Lasisk, gdzie natychmiast jedzie, bo Ufalski bardzo niebezpiecznie miał zachorować. — Nepomucen podziękował najgrzeczniej na niezasłużoną łaskawość pani Derławskiej i powierzył tylko lekarzowi karteczkę do Mieczysława, którą rządcą miał przesłać. — Wkrótce potem zjechał lekarz powiatowy i urzędnicy sądowi.

Po obdukcji rozpoczęło się śledztwo sekcji skrupulatniejsze od wczorajszego.

Z dochodzenia sądowego-lekarskiego okazało się, że zamordowany miał sobie zadane trzykrotne razy narzędziem tępym i twardym, powodującym strzaskanie kości czaskowej, bezwarunkowo śmiertelne.

Z pierwotnego badania okazało się:

1. Że zamordowany, zowiący się Szmul v. Stanisław Jednoróg, przybył z Warszawy do Orgowa, celem nabycia znacznej partji drzewa

od obywateli miejscowych, między innymi i od p. Derławskiego.

2. Niemniej celem odebrania należności od pana Mieczysława Ufalskiego z Lasisk, w sumie rsr. 9,000, któryto dług p. radca Derławski nabył od Jednoroga.

3. Że zamordowany podczas kilkudniowego pobytu w Orgowie, był kilka razy w pałacu u JW. Derławskiego i trzy razy w Lasiskach, gdzie przy pierwszej bytności, miał zajście z domowym nauczycielem tamecznym p. Nepomunem Szykiem, podczas nieobecności p. Ufalskiego.

4. Że wyśledzono w piasku oczywisty ślad kroków uchodzącego zabójcy, aż do samego prawie ogrodu pałacowego, to jest do rowu przed ogrodem (właśnie o kilkanaście kroków od miejsca, gdzie p. Jan Kubelkowski rządca, spotkał w nocy Nepomucena Szyk, który mu pierwszy o tém zabójstwie wspomniał i wskazał miejsce, gdzie leżał trup Jednoroga.)

5. Przesłuchany rządca p. Jan Kubelkowski oświadczył, że o godzinie 10-ój w nocy, jadąc z folwarku Orgówek do miasta, spotkał biegną-

cego p. Nepomucena Szyka, domowego nauczyciela z Lasisk, króry po kilku słowach obojętnych rozmowy (więc nie zaraz, uwaga inkwizenta do ucha koledze szepnięta) powiedział mu, że leży trup na gościńcu, pokazał mu w którą stronę zabójca uciekał i doprowadził do miejsca zbrodni.

6. Dostarczający wiadomości burmistrz Orgowa p. Szymon Cienki zeznał, że widział ślady krwi na ręku p. Nepomucena Szyka (musiał zeznać, bo całe prawie żydostwo już wiedziało o nich), gdy nadto tenże wieczorem w jego własném mieszkaniu udawał się na spoczynek, wypadł mu z bocznej kieszeni kastet z jedną tylko gałką. (Uznano, że kastet nosi widoczne ślady odpanięcia drugiej).

7. Dziewczyna z karczmy, Małgorzata Garnuszek, zeznała toż samo, co w protokóle Burmistrza, — i przybył jeszcze jeden świadek, żydek posługacz przy karczmie, Mosiek Todres, który spotkał w nocy p. Nepomucena Szyk, szybko idącego, ale jeszcze z tamtej strony zajezdnego domu.

Nepomucen, którego twarz posępna i ujmująca chyba tylko męzkością, niezbyt się spodobać

mogła urzędnikom na pierwszy rzut oka, co nie mało znaczy; na zapytanie, z kąd miał plamy na rękę, odpowiedział, że usłyszawszy jęk, pobiegł w tym kierunku i zoczył człowieka zabitego. Gdy się nachylił, chcąc go ratować, podnosząc głowę krwią się powalał. Na zapytania, z kąd miał kastet przy sobie, od którego jedna kulka zdawało się, że odpadła, oświadczył, że parę tygodni temu wziął go już z jedną kulką od p. Ufalskiego i wsadziwszy do kieszeni bocznej od surduta, nosił przy sobie. Przyznał, że Jednoroga za drzwi wypchnął w Lasiskach. Na zapytanie, jak mógł wyglądać zabójca, za którym ścigał, odrzekł, że był za daleko aby go mógł dostrzedz. Na ostatnie zaś dwie kwestje najłagodniej mu zadane: dla czego nie natychmiast powiedział o morderstwie rządcy, spotkawszy go i wskazał ślad uciekającego ku prawej stronie, kiedy ten widocznie na lewo uchodził; odparł co do pierwszój, że przestraszony i pomieszany był widokiem trupa tuż przy pałacu zabitego i znużony ściganiem; co do drugiej, że w ciemności nie mógł dostrzedz w którą rzeczywiście stronę niewiadomy morderca

uchodził. Może z początku biegł w lewo, a potem skręcił na prawo.

Urzednicy przekonani bez wyjatku, że nie kto inny, tylko Szyk musiał w przystępie gniewu zdzielić kastetem Jednoroga, obchodzili się jednak z podejrzanym o zbrodnię tak grzecznie, że sam przypuścić nie mógł, aby go o nią podejrzewali. Przyczynić się do tego musiało tak położenie jego towarzyskie, nieposzlakowana opinja, chlubne świadectwa, jak poniekąd wstawienie się zamożnego i szanownego obywatela Derławskiego, któremu żona kazała zająć się sprawą Nepomucena. Dotychczas znośnie było Nepomucenowi. Nie znajdując się nigdy w podobnym wypadku, nie znając form sądowych, nie rozumiał swojego położenia. Gdy jednak po ukończeniu badania zatrzymano go, a pisarz najgrzeczniej oświadczył ze smutną minką, że zapewne będzie musiał tymczasowo pozostać w detencji nim sąd poprawczy zawyrokuje, czy go trzymać w inkwizycji, i nim się cała sprawa bliżej nie wyjaśni, — wtedy rumieńce gwałtownie wystąpiły na bladą dotychczas twarz i czoło spokojne, przypomniał sobie, że ma

brata, ktorego nad życie kocha, który nosi jego nazwisko, dotychczas uczciwe. Niewinność, pogardliwie wzdrygając się na samo przypuszczenie podejrzenia, rozparła mu piersi.

— Widzę, że mnie posądzacie o zabójstwo, mnie! Gdybym zabił, tobym się nie zaparł — zawołał gwałtownie do pisarza i łza oburzenia stanęła mu w oku.

— Nie bierz pan tak bardzo do serca. Nie miejsce, panie, ale zbrodnia hańbi człowieka. W krótkim czasie wszystko to się wyjaśni — odparł, pocieszając pisarz.

O! jakże żalował Nepomucen zbytecznej troskliwości o Ufalskiego, jak zlorzeczył, że musi taić prawdę, której słówko jedno zrzuciłoby zeń ochydne podejrzenie, o którym wiedział, że się stugębną rozejdzie wieścią. Zadrzał na przyczepiony do nazwy swojej łańcuch ludzkiej gadaniny, tak skwapliwój do uwierzenia natychmiast w zły popęd, a tak rozbierającój dobry popęd ludzki. Wątpił czy Ufalski, godzien jego poświęcenia, czy zdoła ocenić jego szlachetność, jego przyjaźń teraz uświęconą.

Dowiedziawszy się od doktora, który tylko co wrócił z Lasisk, że Mieczysław leży w malignie, z której z pewnością wywiąże się tyfus lub zapalenie muzgu, gdy mu stanęła na myśli smutna twarz pani Ufalskiej, ponure od niejakiego czasu czoło jój męża, Julka dowcipna główka i Polci, Polci oczy anielskie, nie mógł przypuścić, żeby Mieczysław, zwlókłszy się z łóżka, mógł mu pozwolić cierpieć bezkarnie. Chociaż człowiek ten prawie w jego oczach zabił wczoraj drugiego, jakiegokolwiekbądź — zawsze człowieka, — wierzył jeszcze w serce, w szlachetność przyjaciela, pewny był, że traf, przypadek, pokierował mu ręką, a nigdy zamiar. — Ranek był mglisty i pochmurny. Po południu, gdy wsiadał na bryczkę, co go odwieść miała do sądu, promienie słońca przedzierać się zaczęły leniwie przez chmury, nagle odsłonił się pas lazuru letniego. Nepomucen, tak często w dzień i w nocy patrzeć lubił w ten lazur i korzyć się myślą przed Niepojętym, co go dla nas roztoczył, upokorzył się i teraz przed wyrokiem trafu i serca swojego. Po krótkiej modlitwie otrząsał się już z myślą, że między

złoczyńcami będzie musiał czekać wyjaśnienia sprawy swojej.

VII.

Obudzić się wśród wazkiej klatki w domu ba-
dań, przechodzić pod strażą do assessora prowa-
dzącego śledztwo pośród dozorców i spotykać
kolegów więziennych, czasem ciekawie i z u-
śmiechem wspólnej doli przyglądających się le-
pszemu sukniom, szlachetniejszej twarzy, minie
i postaci obwinionego — to — okropne wraże-
nie i dla winnego, coby w chwilowym szale
targnął się na życie człowieka: przecucie dale-
kie, odblask wymarzonych męczarni człowieka
pochowanego w letargu, na wyobrażenie któ-
rych myśl sili się daremnie a jednak wzdryga.
W tém przejściu z ruchliwości do spoczynku,
żyje się jedną tylko myślą: tęsknotą i pragnie-
niem swobody. Niewinnie obwiniony znajduje
wprawdzie pociechę, czerpie siłę we własnym
przekonaniu, spokój duszy roztacza nad nim
skrzydła strażnicze, nie dokuczają mu własne

wewnętrzne męczarnie; — wrażenie jednak zewnętrzne nań oddziaływające tak jest dotkliwe, tak cieniem żałobnym owiewa ludzką godność jego że lepiej zapuścić zasłonę na ciąg drobnych dolegliwości więziennych, których i przekonanie o szlachetnym poświęceniu wynagrodzić nie zdoła, a które można jaskrawymi oddać barwami, uwydatnić kontrastami licznymi.

W niezasłużonym cierpieniu, w potępieniu niesłusznym, w poświęceniu dla ludzkiej niedoli lecz skwapliwym i źle ocenionym, spoczywa smutna, treściwa prawda, wymownie przekonywająca o wyższym tchnieniu, ożywiającym serce i myśl naszą. O niej nawet czasem nie wypada rozgadywać się zbytecznie, — bo gadani-
 ną ubliżyć można pięknemu uczynkowi. Badając pobudki, rozważując zasługi, licząc kolce, co krwawiły męczennika na bolesnej drodze, często nic więcej nie powiemy nad to, że miał lub mu zabrakło siły do zniesienia cierpień. Jest pewna dziewiczość mowy i pióra, chętnie wypowiadająca wojnę niezasłużonemu powodzeniu, zdzierająca maskę zacności z niecnego oblicza, którą gniewa złość i zaślepienie, oburza fałsz i pod-

stę — ale też pobiła ułomności, ma względ na nieszczęście, którego na tym świecie więcej niż zlego. A gdzie zacność prawdziwa i szczerze cierpiąca: — to uchyla przed nią czoła, boleje i raduje się tém serdeczném zadowoleniem, utwierdzającém wiarę w wyższe popędy ludzkiego serca.

Mimo pociechy, jaką mu wewnętrzne przekonanie dawało, mimo szlachetnych pobudek, któremi sobie poświęcenie swoje uzacniał, mimo wreszcie hartu duszy i filozofii, w którą się uzbraja każdy człowiek samotnie i pracowicie budujący choćby najskromniejszą lepiankę istnienia, — im jednak Nepomucen bliżej zapoznawał się z każdym pyłkiem, z najmniejszą plamką na ścianach klatki swojej, tém przykrzej i nieznośniej mu było. Minęły już trzy tygodnie długie strazliwie od jego uwięzienia, a dotychczas nikt się o niego z Lasisk nie dowiedział.

Assessor jego sprawą zajęty, był to dość młody jeszcze i nader wrażliwy inkwirent kryminalny, na którego słaby umysł i słabsze serce — obcowanie obowiązkowe z występkami tak przeważnie oddziaływało, że przestał wierzyć

zupelnie w lepszą stronę człowieka, nie przypuszczał prawie nieszczęścia i tylko złe widząc od ludzkiej woli zawisłe, chciwy był dopatrzeć się gorszego jeszcze. Aż nadto uniżony dla wyższych a uniżenia od niższych wymagający, nie miał i nie mógł mieć wiele popędu ku dobremu. Teraz gdy się mu w ręce dostał winny czy też obwiniony, nie tak z zamożniejszej, jak raczej u ukształceńszej sfery, prawie się uradował z nowego potwierdzenia smutnych, marnych zasad swoich. Zapomniał, a może nie umiał pamiętać o tém, że zarówno sumienie badać trzeba niewinnego jak winnego. Nie spodobała się mu powierzchowność Szyka, obrazilo go, że bez poniżającej grzeczności śmiał tłumaczyć się przed nim. Pewność odpowiedzi wydała się mu bezczelnością mądrą i nawet gotów był uwierzyć, że nie w uniesieniu, tylko rozmyślnie zabił Jednoroga. Szczęściem wszyscy koledzy jego, u [których] nie miał miru, byli innego mniemania, które z szybkością telegrafu elektrycznego wieść z Orgowa do powiatowego miasta przyniosła. Ważnym bardzo zarzutem były plamy krwi na ręce; ważniejszym jeszcze kastet,

z odtrąconą kulką. Na pierwszy, odpowiedź jego, o tyle o ile starczyła; drugi powinni byli zbić świadkowie, zwłaszcza też Ufalski, do którego świadectwa największąby przywiązano wagę — a widać go nie było dotąd. — Sprawa zaczęła się przewlekać niepotrzebnie, assessor coraz nowe, podchwytne zapytania wynajdywał i coraz niegrzeczniej obchodzić się z nim zaczął. — Trafem — człowiek ten, w którego rękę prawie cały los przyszły obwinionego spoczywał, dostawszy nagle i niespodzianie nominację na inną posadę, zdać musiał całą sprawę na kolegę, także młodego, który chociaż przypuszczał bezwarunkowo, że Nepomucen w uniesieniu mógł zabić Jednoroga, żał mu było, — właśnie dla wyższości umysłowej, — człowieka, co zapomnieniem chwilowem mógł zbłądzić. Nie proszony, nie ulegając żadnym wpływom, prócz własnego serca i przekonania, o ile możliwości, osłodzić mu chciał smutną dolę. — Chociaż więc nie wierzył zaprzeczaniu wielkiego udziału w zbrodni, udawał przed nim, że wierzy i wołał go prawie codzień do referatu swego, wiedząc jak się biedak nudzić i męczyć musi w ciasnych czterech ścianach klatki.

Chociaż Nepomucen wdzięczny mu był za ludzkość prawdziwą, nie okazywał jednak po sobie, żeby jój koniecznie miał potrzebować, ani jedném słówkiem otwartszym, przyjaźniejszym — nie ośmielił się zbliżyć do człowieka, którego litość doń zbliżyła. Odwiedziny codzienne i rozmowa z uczciwym człowiekiem, nie mogły mu jednak nie sprawiać przyjemności.

I tak upłynęły znów dwa długie, wieczne tygodnie, w wilgotnej, ciasnej jamie, gdzie promienie słońca letniego niepewne i pobrudzone zaglądały. Jednego rana, przechadzając się wsrzerz i wzdłuż po izbie inkwizycyjnej, kiedy assessor na chwilę wyszedł, — przyglądając się polom falującym kłosami, drzwi się otwierają i wchodzi słuszny mężczyzna, którego nie poznał od razu Nepomucen.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał przybyły, na którego głos drgnął Nepomucen i mimowoli ręce doń wyciągnął. Ale ten, mimo jego oporu, padł mu do nóg.

— O męczenniku biedny! — zawołał. — Ty nie wiesz może, że za mnie cierpisz, albo chyba musiałeś wiedzieć.

I spojrział smutno, zapadłemi oczyma, na wychudłą twarz przyjaciela, który nie mógł własnemu wzrokowi uwierzyć, żeby to był Ufalski. Wyłysiał prawie zupełnie, oczy mu w dół zapadły, twarz blada i nalana. Schudł nadzwyczaj i głos miał chrypkowaty i drżący.

—Zmieniłem się strasznie, mój bracie! Czego przedtém hulanka nie potrafiła, tego choroba i zgryzota łatwo dokonały. Musiałem być bardzo chory, kiedy dopiero dzisiaj przyjechałem cię zastąpić—rzekł kaszląc i krztusząc się gwałtownie.

— Jako zastąpić? —zapytał Szyk, sadowiąc go co rychłej na stolku.

— A tak, zastąpić — zawołał z gorączkową prędkością.— Ja zabiłem Jednoroga, o! tą ręką, tą samą. Tyle mi zmartwień na raz dokuczyło, tak mi umysł i duszę gorycz przejęła, tak oburzałem się na głupi dług, co go płacić nie miałem z czego, że chciałem sobie życie odebrać. Przez czas niejakiś próbowałem i tchórzyłem, nareszcie zmieniło się to w postanowienie nieodwołalne. Tymczasem kobieta jedna, przejeżdżając przez Orgów, dobra kobieta, którą

kiedyś szalenie kochałem, napisała do mnie list, że chce mnie zobaczyć koniecznie. Późnym wieczorem, prawie w nocy idąc do miasteczka, bo chciałem ją pożegnać, nazajutrzbym z pewnością zamiar mój wykonał, Bóg ukarał mnie za dotkliwie. Nawinał się zkądściś Jednoróg. Wściekły, że mnie w Lasiskach nie zastał ani razu, od słowa do słowa ośmielił się wymówić obelgę, której dziś jeszcze, choć jestem trup chodzący, bezkarniebym nie dał sobie powiedzieć.

I znów się zakaształ.

— Cicho, cicho! Nie męcz się próżno, panie Mieczysławie, nie przypominaj nieszczęścia!
— szepnął Nepamucen.

— Jak Bóg na niebie, chciałem go tylko szpicrutą porządnie wykropić. W szale, zamiast jednym końcem, waliłem drugim, u którego była spora, ołowiana gąłka i... w skroń trafiłem nieszczęśliwie. Cóż on mi zawinił? Potém...

— Cicho, cicho, na miłość Boską!... Wiem, wiem — kiwając żywo ręką, dodał Nepomucen, któremu twarz nieco rozjaśniła się i oko żywiej spoglądać zaczęło.

— Więc tam byłeś? widziałeś? Zkąd się

wzięłaś? Pewno musiałem niedyskretnie wydać się posępną miną z jakim czarnym zamiarem. Wpadałeś na domyśły rozmaite, pilnowałeś mnie, strzegłeś, może i szedłeś za mną. Czemuż nie tak prędko, żeby mnie powstrzymać!

— Szedłem do wikarego na warszaby — odszepnął Nepomucen z pierwszym uśmiechem, co mu powstało na ustach od czasu uwięzienia.

— Tu powietrze ciężkie jak olów! — mówił dalej Ufalski. — A zresztą pewno i tak znów rozchoruję się. Wyciągnąć nogi tu, czy gdzieindziej, wszystko mi jedno.

— Cóż zamierzasz?

— Szczerze wyznać wszystko przed sądem. Do mimowolnego, nienaumyślnego zabójstwa, każdy człowiek przyznać się może.

— Jakto? Szczerze wyznać wszystko?

— Po to przyjechałem, nie poniżaj mnie! Cóż, że świadectwo moje co do kastetu zmniejsza podejrzenie na ciebie! To nic. Jak ty mnie osłoniłeś zupełnie, tak i ja teraz mam za najświętszy obowiązek wydostać cię z grobu, gdzie ludzie tacy jak ty, chyba przez poświęcenie, chyba niewinnie wpaść mogą. Na łóżku, chwili

nie miałem spokojnej, a choroba mnie więziła, przykuwała. Bogu dzięki, żem się podniósł, bo gdybym umarł, tobyś był potępiony, biedaku, na wieki!

Nepomucen nagle zwracając się do Ufalskiego, rzekł zwolna i stanowczo:

— Nie pozwolę na to, panie Mieczysławie! Wprawdzie mam brata ale zresztą, sam jestem na świecie. Ty masz żonę, dzieci, które kochasz jak własne, inne wymagania, stosunki, inne towarzyskie położenie.

— Trudno! Trzeba wszystko poświęcić, nie można inaczej.

— Powtarzam ci, że jak tak zrobisz, to źle zrobisz. Bo choćbyś nawet wyznał, ja co odsiedzialem, to już odsiedzialem, tego mi nikt nie odbierze: zdrów i silny, mogę wytrzymać dłużej. Sprawa tymczasem mogłaby innym, niebezpieczniejszym pójść kierunkiem. Przypuszczaliby mogli, że we dwóch zamordowaliśmy Jednoroga i zawszebym zostawał pod zarzutem współnictwa.

— Moje zeznanie unieważni ten zarzut.

— Nie znasz form badania, wierzaj mi! Asses-

sor uczciwy powiada, że najważniejszym dowodem przeciwko mnie, jest ów kastet nieszczęśliwy z jedną kulką. Rozmowa z rządcą, plamy na ręce: już nie tak ważne. Gdy teraz wezwany na świadka, zeznasz, że kastet oddawna jedną tylko miał kulkę, sprawa moja znacznie się polepszy. Biegu sprawiedliwości nie wstrzymasz, żadnemi wpływami zasłonić go nie zdołasz. Postaraj się tylko, mając stosunki, żeby wyrok, jakikolwiek on będzie, a strasznym już być nie może, prędkiej mógł wypaść. Wierzaj mi, że ta rada jest najlepsza i Bóg cię strzegł, panie Mieczysławie, że przed zeznaniem twojem, trafem zobaczyłeś się ze mną, bo, dając najświętsze słowo, zarzuciłbym ci nieprzytomność umysłu, przystępy obłędu, a nie pozwolił nigdy, żebyś zwłaszcza teraz miał cierpieć za chwilę szalu i uniesienia. Byłeś tak chory wtenczas, daruj, byłeś prawie w obłędzie.

— To wszystko nic nie pomoże, bracie! — odparł, kaszląc Ufalski — nie ponizaj mnie! I ja w mojem życiu cierpiałem długo i ja wiem co to poświęcenie. W wiele urojeń wierzyć przestałem, wiele nabroiłem, ale w szlachetności, gdy

mnie kto przewyższył, zawsze mu dorównać chciałem, bo czuję, wiem, co to jest szlachetność, bobym oddawna już nie żył, gdyby wszystkie jój iskry w sercu zagasły.

— Poswięciłem się za ciebie. Czy tak?

— Tak.

— Mam prawo żądać od ciebie wzajemności?

— Wszelkiój.

— Rozkazuję ci więc w imieniu żony twojej, dzieci i przyjaźni, żebyś przytłumił głos serca i dał pokój jak na teraz wyznaniu.

Ufalski nie chciał przystać w żaden sposób. Nareszcie po wielu prośbach, przedstawieniach, namowach, musiał nawet znieść gniew Nepomucena, ze łzami cisnął się mu na szyję i poprzysiął, że albo żyć nie będzie, albo się wkrótce w Lasiskach obaczą.

Jakoż energicznie wziął się do rzeczy, — tego samego dnia jeszcze, złożywszy zeznanie co go kastetu. pojechał extra-pocztą do Warszawy, gdzie stosunków wszystkich swoich ku temu celowi zamierzył użyć i poruszyć wszystkie możliwe sprężyny.

Nepomucen bywał teraz czasem w referacie u assessora, który mniej z nim rozmawiał, ale grzeczniej jeszcze obchodził się i jakby z zadziwieniem przyglądał się mu czasem — czyby domyślać się miał czego? Czyby trafny ten znawca serc ludzkich, bo ich sercem oceniał, z twarzy, z obejścia Ufalskiego, z jego sposobu zeznawania gdy świadczył o kastecie, z troskliwości o Nepomucena prawie płaczliwej — wyczytać, odgadnąć miał wiele; a przynajmniej święte jakieś obowiązki pana dziedzica dla guwernera?

Tak było. Nepomucen jednak, choć dostrzegł niejakię zmianę, nie badał jej i nie wiedział, czemu ją przypisać. Minęło znów parę tygodni, już nie tak długich i bolesnych. Nepomucen teraz prawie codzień bywać zaczął w referacie i cały ten ranek przepędzał.

Raz, siedząc w izbie inkwizycyjnej, znowu w nieobecności assessora, gdy z oburzeniem przerzucał sprawę jakiegoś połowicy zazdrosnej z mężem, — wchodzi nagle prezes, wuj pani Ufalskiej i brat jego Feluś, którego kochał tak serdecznie, a nie napisał doń jednak ani słowa o wypadku swoim, bo mu przykro było zasmucać go; wiedział jakby to żywo wziął do serca.

Po rozrzewniającém przywitaniu, prezes całując go w głowę, szepnął mu do ucha:

— Poświęciłeś się za niezasłużonego, kochany panie Nepomucenie! Szkoda cię, szkoda! Ja tylko jeden wiem o wszystkiém dokładnie, ten warjał Mieczysław, który z pewnością na prawdę zwarjuje, opowiedział mi wszystko. Cała rodzina ma dla ciebie obowiązek wiecznej wdzięczności, o którym bądź pewien, że nie zapomni, chociaż wiem, że nie dla wdzięczności ludzkiej to zrobiłeś. Co do mnie: wolałbym szczerze, żebyś się nie był poświęcał. Smucę się i poniekąd cieszę, kochany synu, bo cię za syna uważam, że odgadłem w tobie piękny, wzniosły charakter do wielkich czynów zdolny, o który dzisiaj nie łatwo, a który tylko u ludzi twojego hartu napotkać można.

Felicjan chociaż nie wiedział o szlachetnym postępku brata, tak dalece wierzył w niego, że nie przypuszczał, aby mógłbyć zdolny do jakiegokolwiek zbrodni, nawet mimowolnej. Uściskawszy go namiętnie, zaniemiał z początku, tylko mu lzy z oczu gradem się sypnęły — potem go po rękach zaczął całować.

Assessor, świadek następnie tych odwiedzin odwrócił się do okna; obtarł nos głośno ale chustkę na chwilę do oczu przybliżył. — Teraz był przekonany o niewinności Nepomucena. Na trzeci dzień prezes musiał wracać do Warszawy, z kąd miał z kobietami do Lasisk przyjechać. Uprosił go Nepomucen, żeby zabrał ze sobą Felicjana, który koniecznie aż do jego uwolnienia chciał w miasteczku pozostać.

Bytność i tak serdeczne zajęcie się tą sprawą prezesa, zasłużonego, nieskazitelnego emeryta, którego wszyscy urzędnicy sądowi, jeśli nie zbliska, to ze słyszenia znali, a miejscowy sędzia prezydujący, służył pod nim lat kilka; — tém korzystniej uprzedziła wszystkich względem Nepomucena i poczuli się sami do obowiązku ratowania o ile możności dobrego człowieka, który popadł w nieszczęście. Przenieśli więc uwolnienie z zarzutu dla braku dowodów, nad wymiar kary podzwyczajnej.

Jakoż wypadł wyrok, przez wzgląd na niedokładność zarzutów, na zgodne zeznanie świadków co do posiadania kastetu, na dotychczasowe postępowanie obwinionego najchlubniejsze

— uwalniający go z artykułu 409 kodexu karnego, to jest: dla braku dowodów. Wyrok ten, co w oczach niektórych mógł się i łaskawym wydawać, dla niego bardzo był surowy a nie zwalniając go z zarzutu, zadosyć czynił sprawiedliwości, która nie znając prawdy, sądząc z tego, o czém wiedziała: — człowieka podejrzanego o zbrodnię, chociaż nierozmyślną i za nią uwięzionego, w żadnym razie uniewinnić bezwarunkowo nie mogła, a potępić bezwarunkowo nie chciała, bo istotnie, zarzuty przeciw niemu aczkolwiek na pozór ważne, stanowczemi jeszcze nie były. Sprawa ta, przez czas niejakiś bardzo głośna, bo nieboszczyk Jednoróg z powołania swojego, pełno miał znajomych, — powoli ucichała a potem i zapomniano o niej tém łatwiej, że wypadek miał miejsce na prowincji, nie w Warszawie.

Po powrocie do Lasisk z Ufalskim i bratem, który dla tego naumyślnie znów przyjechał — bez współczucia i prawdziwej radości Nepomucen dostrzegł nie tylko w żywych oczach Polci, coby już dostateczną było nagrodą za przetrwane cierpienia. Pani Ufalska i nawet pani Derła-

wska, powitały go tak serdecznie, jakby najbliższego krewnego, jak brata. — Julek, z którym wkrótce rozpoczął przerwane zatrudnienie, a do którego tak tęsknił nieraz, wydawał się mu jakoś lepszym i pojętniejszym, niż przedtém. — Prezes nieodstępnie prawie z nim rozmawiając, ojcowską dobrocią, coraz go bardziej w jego własnych oczach uzacniał. Ufalski przy najmniejszej sposobności, co chwila o wdzięczności swojej swojej wspominał. Sam brat jego Felicjan, o którego dobrém wychowaniu pani Ufalska z największemi pochwałami się odzywała, bliżej go teraz w Warszawie poznawszy, — więcej mu okazywał uszanowania, co mu się jakoś podobało. Słowem — otoczyła go pociecha, gorące współczucie rodzinne. — Nie pozwolili mu nieledwie, żeby przypominał sobie długie, wązkie korytarze, wśród których prawie trzy miesiące przepędził, słuchając brzęku kluczy i kajdan, czasem jęku i przekleństw, sprośnych rozmów, czasem nawet zapytań w figurycznym języku, którego nie rozumiał a często przez okno, wyraźnie dolatywały słowa i zdania całe.

Wypadek ten, co jak wzgórze chwastem kolczystym obrosłe, zaległ na mozolnej nizinie jego życia (choć go już przebył), tak dalece przykrym snem się mu wydał, że nawykły do notowania wrażeń swoich dla siebie, zwierzeń, co to umysły wyższe a w sobie zamknięte chętnie zapisywać lubią, — o nim nie wspomniał. Może pisząc prawdę, nie chciał papierowi powierzać istoty zdarzenia, przez wzgląd na Mieczysława, — może przez szacunek dla siebie, nie chciał sobie przypominać własnego poświęcenia, które czasem wydawało mu się, jakby oddźwiękiem pobytu u Pajczera. Nieraz w klatce więzienniej, gdy sen go zmorzył, śnił mu się straszny ów pedagog, że go w nocy budzi, a on się do ucieczki gotując, zeskakuje z trzeciego piętra na bruk.

Sny mewają także ciąg swój nieujęty. — Cierpienia z czasów dzieciństwa i męzkich, zawsze się zlewały w mglistych i ponurych obrazach. Wprawdzie na jawie serce miało czem je uszlachetnić, ale teraz, gdy łagodne a pomyślniejsze światelko błyskać dłoń zaczęło, gdy po samotności przymuszonej ludzkie twarze chętnie

chętnie widział wkoło siebie, wołałby wierzyć, że przykrość, gorycz, którą się poił, to sen tylko, co już go dręczyć zaprzestał.

VIII.

Wkrótce po powrocie do Lasisk, Ufalscy wydali wieczorek, na który zaprosili prócz państwa Derławskich, kilka jeszcze osób z sąsiedztwa. Pozornym powodem zebrania, była niby chęć zatrzymać jeszcze prezesa, który z Felicjanem spieszył się do Warszawy. Istotnym zaś, nieodwołalna, uparta wola Mieczysława, żeby okazać Nepomucenowi, iż nie tylko on, co miał powód do wdzięczności, nie tylko dom jego, co choć o powodzie nie wiedział, mimowoli poczuwał się do niej—lecz i wszyscy zażyli z równym szacunkiem jak przed smutnym zdarzeniem obcować z nim będą. Nepomucen z początku nie chciał w żaden sposób znajdować się na wieczorze. Prośby Mieczysława, jego żony, Julka i nawet brata niepomogłyby; gdyby go narzeczcie nie przebłagał prezes i Polcia, co choć

grzeczniej jak przedtémpr osić umiała, jednak bez téj wdzięcznej poufałości, którą się tak pierwój zachwycał.

Dobrze już więc po rozpoczęciu zabawy, wszedł do sali z prezesem, który tego wieczoru przypiętą miał gwiazdę Ś-go Stanisława na fraku. Z grona sąsiadek najdosłojniejsza a przynajmniej najzamożniejsza pani Derławska, pierwsza go przywitała, a z grona sąsiadów mąż jój, poprawiwszy konserwów, także przybliżył się pierwszy—i przebąknął kilka słów zdawkowych obojętnój rozmowy. Przykład zawsze, jak to mówią, z góry iść musi. Jakby za danym znakiem, całe prawie towarzystwo męskie i kobiece, po kolei witać i rozmawiać z nim zaczęło. Zmęczyły Nepomucena niby delikatne i arcy-zręczne unikania, żeby ani półsłówkiem nie natrać mu przykrego przypomnienia jakiego, a na prawdę nie wiedział o czém z temi paniami i panami rozmawiać. Do towarzyskiej, salonowój rozmowy, nigdy nie miał daru, teraz odwykł od niój témbardziej. Wolał więc wyrzec się wielkiej przyjemności, nie patrzeć na Polcię tańczącą i w drugim pokoju, gdzie w wista grano,

usiadł blisko prezesa. Nie ruszając się z krzesła, patrzył mu w karty, lecz myśli jego z pewnością gdzieindziej krążyły.

Mieczysław co chwila tam przybywał i koniecznie w imieniu żony swojej, Polci i pani Derławskiej zapraszał do sali.

— Podziękuj tym paniom, panie Mieczysławie, zwłaszcza téż pani Derławskiej, która rzeczywiście łaskawą jest na mnie i zostaw mnie tu, jakieś dobry. Brat mój przydatniejszy tam ode mnie.

— Walny chłopak twój brat. Zazdroszczę mu tego.

— Czego?

— Brata.

— Prawisz mi komplimenta jak kobiecie.

— Nie ubliżaj mi.

— Więc jak mnie kochasz, zostaw mnie tu na chwilę: jakoś mi tu lepiej, spokojniej. Muzyki słucham zdaleka i kobiety, jak marzenia o nich, migają mi we drzwiach przelotnie, pierzchliwie.

— Trudno! Zostań więc. Chociaż ciekawym był, czybyś téż dostrzegł pewnego szczegółku, coby cię z pewnością ucieszył?

— Co za szczegółku?

— Wszakże nie wieki tu będziesz siedział, przyjdiesz potem?

— Na chwilę.

— No, to potem o tém — odrzekł Ufalski. kasznawszy wrócił do sali, gdzie koło mazurowe, malowniczym pasem powięzało tańczące pary.

Pani Ufalska nie tańcząca już teraz, rozmawiała z sąsiadkami i z Michaliną, od której o parę kroków stało próżne krzesło, siadł na niem a raczej osłabione ciało złożył Mieczysław, bo lada co nużyło go jeszcze, tak zwolna po niebezpiecznej chorobie do zdrowia powracał. Przyłożył rękę do czoła rozpalonego i obnażonego z włosów. Głowa go prawie ciągle bolała. Przez chwilę dumal, ujrawszy potem przebiegającego Felusia z Polcią, tak szczęśliwych widocznie, że tańczą ze sobą, spojrzal na Michalinę, uśmiechnął się gorzko i zwolna przysunął krzesło do kanapy.

— Jakże? — zapytał Michaliny.

— Nie koniecznie mi się to zdaje właściwe, żeby całe sąsiedztwo wiedzieć miało o tém, jak-

by dla tego jedynie zaproszone było. A on, ręczę, wolałby, żeby się to tylko w familijném kółku odbyć mogło.

— Tak już ułożyłem sobie i powinien się ucieszyć.

— A radość prawdziwego przyjaciela i na pańskie usposobienie oddziała lepiej.

— Zapewnie — odrzekł Ufalski. — Tylko na nieszczęście oddawna nie mam prawa do radości i wesołego usposobienia.

— Nie ma człowieka, coby nie miał prawa do pociechy a tę pan odrzucasz, jakbyś nie wiedział, że dręczysz Kłocię, dla której ciągle posępność twoja coraz dziwniejszą się wydaje i naprowadza na przypuszczenia najrozmaitsze.

— Dalby Bóg, żeby coraz więcej mieć ich mogła, a zwłaszcza takich, coby ją z zaślepienia dla mnie wyleczyły! Bo człowiek, co sam się nie bardzo miluje, czasem się i gniewa, że go kochać może tak niezmiennie istota, której uczucia pewnym był zawsze, a nigdy w niém prawdziwój nie znalazł pociechy.

— Zagadkowo, ciemno pan mówisz.

— Bo też w kolo mnie coraz ciemniej. Dwa

tylko światła spostrzegam: panią i jego, co się za mnie poświęcił. Dla was i przez was istnieje; wy mnie nakazujecie wierzyć, że żyję, chociaż zdaje się mi, że już oddawna umarłem.

— Więc téż, otrząśnij się, panie Mieczysławie, z upadku myśli! Wspomnienie znów nie tak straszne, żeby przy świętych obowiązkach rodziny; co nigdy dla ciebie nie były ciężarem, nie miało cię opuścić. Sam czas powinien je zostawić w pamięci twojej jako smutny wypadek, nie jak zgryzotę — żywić odezwała się kobieta. Z wymownych jej oczu serdeczny, szlachetny płomień chciał zdaje się obudzić iskrę żywszą w zapalonych źrenicach Mieczysława.

— Nie o wspomnieniu mowa! O przebudzeniu a na to już zapóźno! Przerażająca a niepojęta zmiana odbyła się w duszy mojej, co ją na wpół przełamała: od czasu téj strasznój nocy — pamiętasz? Choroba dokończyła złego, sam nie poznaję się.

— To téż gdy zdrowie przybywa, przy spokojności, której teraz już panu nic nie powinno by przerwać, pogodzisz się pan zwolna ze sobą. Ufam w łaskę Boga, że tak będzie — odparła kobieta.

Słuchając tego, co przedtém mówił, zbladła, żeby szepniętych słów kto nie podsłuchał.—Nikt najmniejszej uwagi na ich rozmowę nie zwracał.

Pani Ufalska grała na fortepianie, kilka panien i mężatek młodych mazurkowało, starszych kobiet zamężnych i niezamężnych było tylko cztery a te przyglądały się córeczkom i kuzynkom. Młodzież prawie bez wyjątku zajęła się tańcem.

Całe towarzystwo to jednak wyglądało jakby zebrane na zabawie w mieście nie na wsi, gdzie i niewielkie koło, żywsza ochota zwykła ożywiać. Chociaż tancerki były przystojne, zgrabne, młodzież choża i przyzwoita, zdawało się jakby sobie wszyscy tylko powiedzieli, że bawić się będą. Nie ma umówionój zabawy, obstalowanój wesołości. Tylko Polcia i Felicjan ożywiali grono ale nie w tańcu. Oczy ich najżywiej spoglądały, kiedy im zdarzyła się chwila rozmowy.

Ufalskiego uderzył brak życia i przymus ten, ze zgryźliwością, co go od niejakiego czasu nie opuszczała, zwrócił na to uwagę Michaliny.

— Nic dziwnego! Towarzystwo prócz jednego brata pana Szyk jest z téj samój sfery, prawie

całe skuzynowane ze sobą. Do ożywienia zebrania niewielkiego, trzeba różnaitości, nowych osób,—odrzekła, patrząc mimowoli na drugi pokój, gdzie przy stoliku wistowym widać było nieruchomą i zamyśloną twarz Nepomucena.

Zwróciła potem oczy na towarzystwo i nie trudno jej było odgadnąć powód przymusu. Zadmalała się przez chwilę. Mieczysław przy niej miejsca nie opuszczał a radaby była, żeby można przerwać tę rozmowę. Odmówiła kilka tańców, teraz gotowa nawet była przyjąć zaproszenie czyje. Od niejakiego czasu Ufalski dziwny na nią wpływ wywierał. Było to wrażenie smutne, przykre i przeważne, bo złożone z współczucia, litości i obawy. Gdy nie raz pani Klotylda płacząc, wskazywała jej wyżółtkłe, napiętnowane cierpieniem oblicze męża, to i jej oczy wilgotniały.

Słuchając czasem jak mówił, a myśli jego krążyły wciąż koło smutku jak ćma w koło gromnicy, żal jej było i litość brała słyszeć z ust młodego jeszcze, co walczyć powinien choćby ze samym sobą,—martwe i posłuszne poddanie się goryczy. Czasem gdy zamilkł, ponuro patrząc

w ziemię i nagle podniósł oczy, roześmiał się zcicha, lub broń Boże, dotknął jęj ręki, wtedy drżała, a wzrok ten i uśmiech, aż do głębi jęj serca wnikając, przerażał ją.

Działanie to nagle, gwałtowne oddziaływało prawie tylko na nerwy nie na umysł, który się gniewał za wrażliwość.

Stotysięczny ów dziedzic ułomny ryżego zarostu, co to miał zajście z młodym Szykiem na wieczorze u Ufalskich w Warszawie, bawiąc w tych stronach u kuzynów, przyjechał także do Lasisk. Wyuczywszy się nareszcie lornetkę wprawnie w oku zasadzać, koniecznie pragnął zbliżyć się do pani Michaliny i rozpocząć z nią dłuższą rozmowę, aby przekonać kuzynki jak dalece w dobrej jest zażyłości z najpierwszą damą tego kółka.

Gdy się do nięj zbliżył, nadspodziewanie zastał ją gotową do polki. Suwała w takt po posadzce ze swoim tancerzem.—Kto jęj nie widział od czasu karnawałowęj zabawy u Ufalskich w ziemi, mogłoby się mu zdawać, że jęj twarz bardzo się zmieniła.—Cera na wiejskiem powietrzu nabrała świeżości, oczy patrzyły tak żywo jak

przedtém, tylko zeszczupełała nieco i często marszczyła czoło między brwiami, jak ci, co żywo czują i żywo myślą.

Usiadła potém już nie na dawném miejscu, ale przy Polci, która się także zmieniła.—Ileż zyskała na zamianie! Prócz dawnych odcieni, przybyła do jój oczu rozkoszna jakaś zaduma, rumieniec częściej niż przedtém pomykał i nikał z obietnicą rychłego powrotu. W uśmiechu, na czole osiadła myśl jakaś, wyraz, nadający nie tak ożywiony, lecz wdzięczniejszy charakter składnym rysom. Szczęśliwym niezawodnie był ten, co choć pierzchliwie mógł zapisać się pierwszy, przed pół rokiem w pamięci i wyobraźni tego dziewczęcia, a o ileż szczęśliwszym ten, co pierwszy w jój sercu rozniecił płomień! Dwa te szczęścia jednemu dostały się w udziale.—Zasłużył na nie z początku tylko powierzchownością i obejściem, a potém dowodami prawdziwego przywiązania do brata i odsłonięcia zacnego serca.— Przy umyśle dosyć wprawnym i ożywionym, tém korzystniejsze to o człowieku dawało wyobrażenie.

Podczas ostatniego pobytu w Warszawie pa-

ni Ufalskiej z córką, przyszedł odwiedzić te damy dwukrotnie z prezesem, — potem wypadek brata uczuł tak silnie, że się na dobre rozchorował i dopiero po przyjeździe Ufalskiego odwiedził te damy, zmieniony nie do poznania. Chciał natychmiast jechać do brata, ale go prezes koniecznie zatrzymał, prosząc, żeby z nim razem pojechał. Ufalski zapraszał go jak najczęściej, — tak, że prawie co dzień musiał później przychodzić. Towarzyszył im na przechadzkach, w teatrze, przy sprawunkach — słowem wszędzie, gdzie zwyczaj chce, aby się kobiety same nie pokazywały. Ufalski nie miał czasu: za sprawą Nepomucena biegał od rana do wieczora.

Oboje w tym wieku, gdzie się najżywiej pragnie uczucia; przystojni, nawet ładni, mimowolnym pociągiem już przedtém pchani ku sobie, — czy nie mogli i nie powinni byli pokochać się najpiękniejszą, bo prawdziwą, młodą i zacną miłością.

Co do nadziei jednak różnili się nieco. Polcia pewną była, że mama i papa może na jój wybór pogniewają się nieco i nareszcie zezwolą; Felicjan czuł aż nadto dobrze, że nawet mu nie

wypada oświadczać się o rękę posażnej panienci. Nadspodziewanie prezes wszcząwszy raz z Ufalskim rozmowę o terażniejszych małżeństwach, powtórzył przy Polci i jój matce ulubione zdanie swoje, że gdyby miał córkę to by ją wolał wydać za ubogiego, pracowitego i porządnego chłopca, niż za panicza, coby jój szczęścia nie potrafił zapewnić. Ufalski potwierdził to najzupełniej a gdy pani Ufalska milczała, zapłoniona twarz Polci przesłała szybkie i wymowne spojrzenie wybranemu swojemu, który daremnie także usiłował utaić rumieniec i łzę radości. Młodój parce szło więc wszystko od początku jak z płatka: przyszłość jasna i szczęśliwa uśmiechała się wyraźnie. Felicjan pewno-by się szczerzej radował, gdyby szczęście to nie uśmiechnęło się mu śród nieszczęścia brata. — Nepomucen dotychczas o niczém nie wiedział, bo też Felicjan chociaż odgadywał, że go Polcia lubi a może i kocha, jeszcze nie odebrał z jój ust żadnego zapewnienia, nie śmiał go wymagać. — Uwięzionemu bratu nie wypadało opowiadać, że właśnie podczas jego cierpień, błysła mu w sercu żywsza, ognista mi-

łość od braterskiej. Ten sam powód wstrzymywał go jeszcze w Lasiskach. témbardziej, że ojczym Polci pierwszego dnia po przyjeździe powiedział mu sam na sam w ogrodzie.

— Mój p. Felicjanie! Zawdzięczasz już tyle bratu swojemu, że nic dziwnego, gdybyś mu niespodzianie jeszcze więcej zawdzięczył. Jeśli masz jakie tajemnice sercowe, przed czasem nie objawiaj ich nikomu. Ja ci powiem, kiedy na to będzie pora najwłaściwsza — dodał z uśmiechem, klepiąc go po ramieniu.

Pani Michalina usiadłszy przy Polci, zaczęła z nią rozmawiać o bracie Felicjana, o Nepomucenie. Starsze kobiety potrafią, kiedy pragną dowiedzieć się wiele od młodych. W głowie jój, prócz jednego domysłu co do braku życia w zabawie, powstało nagle drugie podejrzenie, a raczej domysł, który jeszcze się jój prawdziwszym wydawał. A pragnęła poniecznie przekonać się o jego trafności, bo mogłaby oszczędzić bolesnego zadziwienia Nepomucenowi, którego od czasu wypadku z głębi życzliwego serca szanowała.

Tymczasem mamy, ciocie, mężatki, panien-

ki i kawalerowie, szeptali rozmaite spostrzeżenia i uwagi, jak zwykle na wieczorze. Tutaj wirowały one prawie bez wyjątku wkoło najważniejszego wypadku wieczoru: ukazania się w sali człowieka, który może nie był winowajcą, ale zawsze w więzieniu, pomiędzy zbrodniarzami sporo czasu przesiedział.

— Dziwię się bardzo panu Mieczysławowi, że na taką niespodziankę nas zaprosił — szeptała do sąsiadki owa blondynka, co to kiedyś przed kościołem wypytywała się troskliwie o jego zdrowie.

— A ja pani Klotyldzie, która jednak zawsze dosyć miała taktu. Nie potośmy tu przyjechały, żeby rehabilitować w opinii guwernera Ufałskich, choćby nawet był najniewinniejszym. Pani Derławska jest przyjaciółką zanadto powolną; na jej miejscu nie powitałabym go pierwsza, bo jeżeli mogą mieć dla niego jakie obowiązki, to cóżto nas obchodzić może? Jeżeli niewinnie siedział w kozie, to cóż nam także do tego?

— Słyszała też ciocia przypowiestkę o tym chłopie, co to go schwytano na kradzieży ko-

nia? „Czemuś skradł?” pytają. „Ja nie skradłem: sam koń przybiegł do mnie” — wtrącił ze złośliwym uśmiechem ryży ów dziedzic, który był świadkiem rozmowy sąsiadek.

— Z Polcią teraz dwóch słów pomówić nie można, tak ciągle z zajęciem rozmawia z młodszym panem Szyk czy Skik — szepnęła z uśmiechem panienka jedna, niska brunetka, która czasem z boku zwracała dosyć żywe spojrzenie na twarz Felicjana.

— Daje mu nauki moralne, żeby przeciw piątemu przykazaniu nie wykroczył, jak się to starszemu jego bratu niewinnie przytrafiło — odparł znów ryży, który tylko co przetańczył polkę z tą panienką.

Uwagi te, zdania i przycinki, krążąc tu i owdzie, doszły i do pani Michaliny, której pierwszy domysł potwierdził się więc zupełnie. Gdy już miała bliżej dowiedzieć się o drugim, siadł przy niej prezes, po ukończeniu swojego robra i pani Ufalska, którą ciocia ryżego zastąpiła przy fortepianie. Mieczysław rozmawiał z jej mężem nieco dalej, Felicjan tańczył i to najczęściej z Polcią, a Nepomucen stanął we drzwiach nie-

ruchomy i zamyślony, jak to kiedyś w Warszawie, na wieczorze.

— Przypomina sobie pani radczyni naszą rozmowę dawną, gdzie to broniłaś pani próżniaczków-paniczów? — zapytał prezes.

— Pamiętam bardzo dobrze i jeszcze dzisiaj gotowam ich bronić.

— Serdecznie cieszę się jednak, że przekonała się pani o rzeczywistej wyższości, jaką niejednokrotnie mają nad nimi ludzie pracy. W tém towarzystwie mamy najoczywistsze tego dowody. Dla tego też powiadam Kłoci, że gdybym był na jój miejscu, — to bez wahania, przekonawszy się, że te dzieci kochają się prawdziwie, zezwoliłbym, żeby się pobrali. Na co to drażnić i ranić odmową szlachetne dwa młode serca? Matki marząc nieraz o świetnej dla córek partji, często im świetne, można powiedzieć, nieszczęście gotują, a czasem staremi pannami na koszu osadzają.

— Prawda to znana, codzien o niej przekonać się można. Prezes masz słuszność — wtrąciła Michalina.

— Ja także jój nie zaprzeczam i przekonani

pewno jesteście, że pragnę szczęścia córki, ale Polcia jeszcze tak młoda, pan Felicjan także. Jestto chłopiec bardzo dobry i przyzwoity, potrafilby zapewne uszczęśliwić Polcię, lecz ma tak małą posadę, że jój nawet za pierwszy stopień do kariery uważać nie można — rzekła pani Ufalska.

— Moja Klociu! Są ludzie, co jeszcze z mniejszej z kilkorgiem dzieci żyć potrafią uczciwie. Zresztą kiedy kobieta kocha, a mężczyzna godzien miłości, to, wybaczcie panie, kluski gnieść będzie i cerować bieliznę z radością.

— Brawo prezesie! — dodała Michalina z tęsknym uśmiechem.

— Przecie Polcia wcale nie uboga panienka. Sto tysięcy, można powiedzieć, piechotą dzisiaj nie chodzi. Zrestą Felicjan z pewnością będzie awansował, a dziadek przecie ma obowiązki dla wnuczki, co go wkrótce obdarzy prawnukami i to ładnymi — wtrącił prezes z uśmiechem.

— Wujaszek najdroższy i tak łaskaw był dla nas w tych czasach zanadto — rzekła Ufalska, całując go w ramię.

— Pośpieszyłeś się pan prezes niepotrzebnie — dodała Michalina. — Z naszej strony była to tylko mała usługa sąsiedzka. Mogliśmy poczekać, choćby rok i dwa.

— Kto na tak wielką skalę prowadzi gospodarstwo jak radca i ciągle je podnosi, u tego sześćdziesiąt tysięcy gotówką niemal znaczy. Możebym się zresztą nie był tak pośpieszył, pani dobrodziejko, gdyby przykład dobrego, choć znacznie młodszego człowieka nie był i na mnie starego oddziałał skutecznie. Bo też można powiedzieć, nie dzisiejszych to czasów charakter pana Nepomucena, co nam oto najniewinniej popadł był w nieszczęście. On w sercu ma zawsze światło i ciepło, aby niém oświecić, rozgrzać serca innych, dla których wszystko poświęci a sam nie w zamian nie pragnie. To też obowiązek mamy, Klociu, ważniejszy niż ci się zdaje, pocieszyć uczciwego Nepomucena, dać mu zrozumieć, że i u nas są serca. Zezwólmy, żeby Felicjan starał się o rękę Polci. Od razu mu jój przecie tak łatwo nie damy. Młodzi są oboje, mogą rok jeden i drugi poczekać, tymczasem Felicjan będzie awansował.

— Tak, to dobrze — rzekła Ufalska.

— Nie rozumiem tylko—wtrąciła Michalina— dla czego Mieczysław nie powiedział już dawniej tego panu Nepomucenowi, w familijném, bardzo zażyłym kole; jak mnie zadziwia, że p. Nepomucen nic się tego nie domyślił. Po co urządzać uroczyste zawiadomienie?

— No, wdzięczność, to jest, można powiedzieć—zawołał prezes, poprawiając się nagle— chce zrobić niespodziankę przyjacielowi, co się tak niesłusznie nacierpiał. Nie ganię ja tego zupełnie, bo szacunek sam na sam okazywany, a szacunek przy ludziach, więcej ma wartości dla potępionego niesłusznie. Przynajmniej Mieczysław musi wszystko zawsze inaczej robić od drugich, wybacz Kłociu! Tak nawykł do błyskotek, że nawet wdzięczność musi koniecznie w błyskotki przystroić, jakby ją pojmował tylko we fraku i z lornetką.

— Dla Mieczusia ciągle wuj nie laskaw, chociaż i to już wiele, że niedawno temu przyznał mu wuj serce dobre. Prawda! za dobre i za słabe—rzekła pani Ufalska.

— I to zapewne pod wpływem pana Szyka,

który nareszcie prezesa zupełnie z panem Mieczysławem pogodzi.

— Zmienił się biedaczysko strasznie po ostatniej chorobie. Już nie tak uderzająco podobny do hetmana Jabłonowskiego — rzekł prezes, litośnie patrząc na Mieczysława.

Dano właśnie znać, że wieczerza na stole.

Prezes podał rękę pani Michalinie, Derławski pani Ufalskiej.

IX.

— Ty, co umiesz tak dobrze, bo przychylnie czytać w sercach ludzkich, czy potrafisz też czytać w twarzach? — zapytał Nepomucena Mieczysław, który podczas wieczerzy, obowiązki wicegospodarza zlał na Felicjana.

— Dla czego?

— Nie spostrzegasz w twoim Felku jakiej różnicy?

— Zmężniał i wasy zapuścił. A dobrze mu z wąsami, prawda?

— Więcéj?

— Nic nie spostrzegam. Ten sam uczciwy Felek co dawniej.

— Uczciwy i sprytny. Ależ w oczach, w głosie, w obejściu, nie dostrzegłeś czego, co by cię mogło naprowadzić na domysł?

— Jaki? — zagadnął ciszej Nepomucen, badawczo przyglądając się Mieczysławowi.

— A w oczach i na czołku téj osóbki — dodał Ufalski, wskazując mu na Polcię — nie postrzegasz kolejnych oznak lubego smutku i radości, tych rumieńczyków przewiewnych, co dowodzą, że się dusza obudziła u dziewczyny?

— Panna Paulina zmieniła się nieco, ale jakże jój lepiej z tą zmianą! — odparł Nepomucen, błędąc mimowoli.

— W czasie moich szaleństw, a twojego poświęcenia, różne bo stały się wypadki. Kiedym był w Warszawie, z Felkiem oczywiście widywaliśmy się bardzo często, zapraszałem go jak najczęściej po jego ozdrowieniu. Chłopak ładny, dziewczynka także niczego, zwykłą koleją rzeczy pokochali się i to naprawdę, a co najważniejsza, że prezes, moja żona i ja, nic przeciwko temu nie mamy, aby tylko wyższą dostał po-

sadę: to już jego rzecz i prezesa. W przeciągu roku, będziesz miał bratową. Tego nie spodziewałeś się?

— Nie — zdołał odpowiedzieć Nepomucen. Zimno go przeszło, oparł się o ścianę, zdało się mu, że z krzesła padnie na ziemię.

— Ty jako brat nic nie masz przeciwko temu?—zawołał żywiej Mieczysław, ściskając mu rękę martwą i zimną, śledząc w oczach wyrazu radości, której się spodziewał.

— Nic—odrzekł wstawszy Nepomucen.

Usiadł znów, bo nogi zachwiały się pod nim.

— Porozmawiamy zaraz o tém z moją żoną i prezesem, Polcia raków napiecie i damy pozwolenie Felkowi ubiegania się o jój względy, zgoda? Wypijemy potem zdrowie przyszłej pary!

— Na co?—zagadnął Nepomucen, ocierając zimny pot z czoła.

Ufalski kiwnął tymczasem na Felicjana.

— Wolno ci teraz zwierzyć bratu tajemnice sercowe, jeśli masz jakie, bo już dla nikogo nie będą tajemnicą. Nie rumień się jegomość i uściśkaj Nepomucena, któremu i to szczęście po części zawdzięczasz.

Felek w ramię pocałował brata, który nie patrząc nań, machinalnie nachylił się i mimowoli zwrócił na Polcię spojrzenie.

Widać złożył w nie dużo wymowy: wiele cierpień, łez i bólów tłumionych błysnęło ponurą źrenicą, z pod brwi gęstych i zmarszczonych, bo Polcia drgnęła i przejęła ją obawa jakaś nerwowa, podobna do téj, co na uśmiech Ufalskiego przejmowała Michalinę, która zauważywszy to spojrzenie, zrozumiała je i potwierdziła drugi swój domysł.

— Każ-no tu jegomość dać nam wina!—mówił Mieczysław do Felicjana. — Mój Boże, mój Boże! Jak ty Felisia, jak ja pragnąłbym ciebie, tak mnie kiedyś mój brat kochał, i gdybym za życia jego był sobie wybrał jaką Polcię, byłby się tak radował jak ty teraz.

— Nie.

— Nie? Wierzaj, że niepodobna, abyś ty go więcej mógł kochać.

— Nie wiem—odrzekł jeszcze ciszej Nepomucen i zaledwo zdoławszy przebiec salę, wyszedł do ogrodu, gdzie padł na wilgotną murawę.

Kołowało się mu w głowie, tętniało w skro-

niach, a przed oczyma noc, noc nieprzejrzana! Nie mógł wierzyć, że to prawda. Myślał, że to dalszy ciąg snu, co Pajczera i więzienie w jeden zlewał obraz. Wyłysiała głowa Ufalskiego, opuchła twarz, jakby z ironicznym uśmiechem na bladych ustach, stanęła mu nagle w myśli, a brzmiało szydercze zapytanie: „Ty, co umiesz tak dobrze, bo przychylnie czytać w sercach ludzi, nie dojrzałeś zmiany jakiej w bracie twoim?” Zdawało się mu nagle, że brat jego musiał wiedzieć, że mu wydziera szczęście jedyne, o jakim zamarzył dla siebie, — że powinien był domyślić się i nie zapragnąć nawet jej spojrzenia, a cóż dopiero wdzierać się w serce, od którego gotów był zebrać współczucia! Wiedział, że tak musiało nastąpić, ale gdyby to kto inny, gdyby kto inny, nie własny brat!

Nagle go jakaś wściekła złość przejęła. — Nie będzie jej mężem, nie będzie, nie pozwolę — szeptał, zgrzytając zębami. Powstał i znów padł na murawę, którą lzy jego zrosiły.

Człowiek-bo taki na wpół kochać nie umiał. Wszystkie żywioły, z jakich składała się krzepka, jędrna jego istota, składały się na to potężne u-

czucie. Sam dziwił się, że tak łagodnie zniósł jeszcze straszną wiadomość, że nie padł na miejscu.

Chłód nocy późnego lata wskroś go zimnem przejął, drgnął, — lzy ulżą zawsze. Powstał i chciał wrócić, ale zoczywszy przez okno jak brat jego właśnie z Polcią rozmawiał szczęśliwy i uśmiechający, — zaczął uciekać po ogrodzie bez celu, jakby go widmo jakie gnało. — Biedaku! biedaku — wołał. — I myślałeś, że ci długo będzie wolno marzyć bezkarnie? Czy nie nawykłeś od dziecka wśród kamieni, ciosać sobie ścieżkę życia, nie wiesz ile krwawej pracy każdy krok kosztuje, nie wiesz, że gdy krok pewny postawisz, dopiéro ci wolno marzyć nie o przyszłym, bo i temu traf może przeszkodzić ale o twoim przeszłym trudzie. I żądać czego od trafu, ludzi się tobie, co tylko w pewność przez siebie dokonaną, wierzyć powinieneś, — co stworzony na to jesteś, żebyś cierpiał, jarzmo dźwigał, pracował nie dla siebie i jak Parjas dziękował Bramie, że cię stworzył Parjasem. Twojém przeznaczeniem czuć głęboko i zamknąć w sercu uczucie jeszcze głębiej, ukryć je jak w lochu,

żeby dalekiego jęku słycać nie było. Na anioły patrz z daleka! One dla wybranych nie dla ciebie!

Padł znów na murawę i mimowoli spojrział ku niebu, co w najpiękniejszej u nas porze roku, przy schyłku lata, po ciemniejszym błękitie tyle gwiazd rozściela. Patrza długo, nie widząc i nie wiedząc na co patrzy. Gwiazdy wszystkie zwały się mu we wzroku w długi pas srebrzysty, półkolem nad nim zawisły, jak pas marzeń, któremi ludził się tak długo. — Zwrócił nagle od światła, co go razilo; od marzeń rozwianych wzrok ku ziemi, a w kolo było czarno. Im dalej, tém czarniej, jak boleść jego, co w miarę trwania, coraz dotkliwsze zapowiadała gorycze. Tam w górze przezroczyte obłoczki płynęły śnieżysto, lekko przy dziewiczych światłach nocy. Nikłe ich kształty zmieniając się co chwila, w osłupiałem jego oku rysowały dziwacznie jakieś drzewa, kościoły, krzyże, twarze i postacie ludzkie. W jednej z tych przemian malowniczych — na srebrzystym, lekko zrumienionym puchu, zdawało się mu, że nad nim przepłynęła schylona postać niewiasty, której rysów

zboleła wyobraźnia dokończyła, a serce na ten obraz drgnęło, bo poważna i smutna twarz matki stanęła mu w myśli tak wyraźnie, jakby ją przed chwilą widział na łóżku. W boleści i żalu, w klątwie, którą na mozolną przeszłość swoje cisnął, zapomniał o tém czystém wspomnieniu, o istocie, co umierając, jemu sierocie drugiego sierotę powierzyła.

Wspomnienie rodzinnego ogniska, pierwszych lat przebytych przy dobroczynném jego cieple, spoczywa głęboko w duszy każdego człowieka, a u niego były to relikwje, których pamięć dotykała z uszanowaniem i czcią religijną.

Powoli dusza jego na ten rzewny tor sprowadzona — przytomniej, dokładniej czuła boleść. Uczucie braterskie przez chwilę rozdarte, ze wspomnieniami dzieciństwa znów zespoliło się; żal, ta rozwaga serca, odgadł mimowoli, że je rozdarł niesłusznie, że to, co się stało, było wynikiem zwyczajnych wypadków, uprzejmych tylko czasem — a tak często wyszydających marzenia ludzkie o szczęściu. Ból więc nie ustał, wpijać się owszem zaczął coraz głębiej, lecz z nim razem budzić się zaczęła wrodzona siła, wy-

trwałość do zniesienia cierpień godnie i po mężku, samotnie i niezawistnie, z przepowiednią nawet smutnej, jedyniej pociechy — czuwania nad szczęściem dwojga istot, które w życiu najbardziej ukochał.

Zdało się mu, że po promykach gwiazd, łagodna rosa chłodzi mu czoło gorejące. Zapatrzone w ciemno-błękitne tło niebios, poczuł ogrom jego niezglębiony, westchnienie wyrwało się modlitwą z uciśnionej piersi, którą pełniej, swobodniej odetchnął. Oko dziękczynnie spojrzęło.

Wstał. W oknach dworku płonęło z po za drzew żółte światło, daleki dźwięk mazurka dołatywał wyraźniej, to znów ciszej; — mignęła czasem za szybą tańcząca para, jak dwa cienie nie ujęte. — Biedna świetność ludzkiej radości w obec uroczych tajemnic błękitu, po którym błąkał przed chwilą marzeniem, ujęła go tém bardziej za serce. — Dalej stary! śmiało! — szepnął do siebie półgłosem, uraduj się ze szczęścia brata i tej, co siostrą twoją będzie, podziękuj matce jej i kochanemu Mieczysławowi, on tak pragnie ci się wywdzięczyć czém tylko zdoła.

Uścisknij rękę zacnego prezesa, cierp, milcz i bądź tym żelaznym, tym dryblasem Szykiem co dawniej. Naprzód!

Pobiegł do szadzawki, obmył sobie oczy, o-tarł chustką i wrócił do towarzystwa pewniejszym krokiem niż pierwój.

Zwykle tak bywa po odniesioném zwycięstwie, choćby tylko nad samym sobą.

— Gdzieżeś tak długo podziewał się bracie?
 — zagadnął go Ufalski, trzymając w ręku kieliszek, a siny jakiś rumieniec na twarz mu wystąpił. — Już chciałem cię szukać sam, byłem nie-spokojny... ale wiem, wiem —dodał, obejmując go w pól i chodząc niepewnym krokiem. — Radość czasem trudniej znieść pośród ludzi niż smutek. *Sacre Dieu!* Gdy Micia, nie, nie Micia, Kicia, Licia... wszystko mi zresztą jedno, nie pamiętam jak jój było na imię, ścisnęła mi rękę poraz pierwszy, oddech zatamował się w pier-si, o mało co nie krzyknąłem, a przecie nie była to pierwsza rączka, którą zdarzyło się mi ścisnąć. Gdy byłem pewny, że cię uwolnię... ale co tam wspominać o tém!

— Panie Mieczysławie! Nie pozwalam pić

więcej i tak już dosyć jeden kieliszek — zawołała Michalina, wbiegając nagle do pokoju wistowego, gdzie we dwóch chodzili. Spojrzała ze współczuciem na wydatną i nieruchomą twarz Szyka.

— Panie Nepomucenie! Zlituj się pan, nie daj pić mężowi, bo się znów rozchoruje, już i tak strasznie wygląda. Chodźcie panowie lepiej do sali — zawołała Ufalska, wyprowadzając ich z pokoju.

Nepomucen pocałował ją w rękę i jak mógł najwymowniej podziękował za względy niezasłużone dla brata i dla siebie.

Pewno umiał jednak podziękować szczerze, kiedy matce i córce, która się zbliżyła wkrótce, łzy w oczach stanęły. Polcia z początku patrzeć nań nieśmiała i smutną jakąś miała minę, potem ośmieliła się podnieść bojaźliwie oczy, a we wzroku jego wyczytała wyraz żaloszny, lecz tak życzliwy zarazem, że zastanowiła się, dla czego ją przedtém przeraziło jego spojrzenie. Czyżby się miała omylić? Każda kobieta lepiej rozumie spojrzenie mężczyzny niż mężczyzna kobiecie. To, co przedtém wyczytała w jego wzroku, za

młoda była, żeby mogła rozumieć. Odgadła tylko boleść, wyrzut namiętny i ścisnęło się jej serce na myśl, że niewinnie dokuczyć mogła, zwłaszcza teraz po cierpieniach, wśród których jednak mężka jego postać, nawet winniejsza, możeby nie straciła właściwego światła w wyobraźni kobiety, gdyby był zajął wyobraźnię którejś. Teraz ośmieliła się do niego po dawnemu. Coś jej szepnęło, że powinna go udobruchać, pocieszyć choćby na chwilę. — Podała mu rękę, mówiąc:

— Chodźmy teraz oboje do dziadzi, panie Nepomucenie! Proszę się pięknie wstawić za mną i swojej przyjaciółce życzyć odtąd jeszcze lepiej niż przedtém. Wszakże na to zasługuję?

Felicjan stał właśnie przy prezesie i rozmawiał z nim. Zaczny starzec uprzedzając słowa Nepomucena, pocałował go w głowę i dawszy znak Polci, żeby się oddaliła, zwrócił niby mowę do młodszego brata.

— Pracuj panie Felicjanie, prowadź się jak dotąd, zasługuj na pochwały brata; — to i na nasze zasłużysz! On sam ci wskaże chwilę, gdzie zamiary twoje będą się mogły spełnić. Mło-

dzi jesteście, doświadczcie trwałości uczuć waszych. My starsi, bo można powiedzieć i pan Nepomucen w tym razie do nas należy, nie przeciwko temu nie mamy, żeby porządny, przyzwoity chłopiec starał się o panienkę z uczciwego, obywatelskiego domu, który istotnie musi być uczciwym, boby pan Nepomucen nie dał nam tyle dowodów prawej przyjaźni, którą z naszej strony, od samego, można powiedzieć, wstępu pozyskał.

— Tylko trzy zdrowia wypiję: Nepomucena, przyszłej pary i winowajcy — mówił do Michaliny Mieczysław.

— Jakiego winowajcy? — zapytała zdziwiona.

— Tego, co względem mnie zawinił, a raczej téj, co zawiniła i tém to dziwniej, że szlachetna, anielska istota.

— Anioły tylko w niebie, panie Mieczysławie! My, chodzący po ziemi, powinniśmy po ludzku przebaczać sobie nawzajem winy.... czasem mimowolnie — odrzekła, rumieniąc się żywo.

— Ach! ach! I to mi odbierasz — rzekł ponuro.

Kobieta podziękowała w duszy Bogu, że jój mąż właśnie nadeszedł, bo ponury wzrok Mieczysława przeraził ją i jakby przykuł do miejsca. Ufalski tymczasem ocknąwszy się jakby ze snu głębokiego, z chwilowego zamyślenia, — poprosił Dertawskiego, żeby mu raczył powiedzieć zdanie o winku jedném, które brat jego kupił za stare. Radca nadspodziewanie nie odmówił, sprosił więc jeszcze kilku mężczyzn i zasiedli przy stole w jadalnym pokoju.

Jak zaczął pomysłowo namawiać do zdrów rozmaitych, potężnych zdrów winem kapitalném, przeplatać je rozmaitemi uwagami i anegdotkami, jak rozgadał się, do czego mu dopomagał radca, poprawiając konserwów, muskając łysinę i dziedzić z ryzym zarostem, ktoremu przy winie życzliwość dla gospodarza wróciła, — to zdawaćby się mogło, że to dawny Ufalski, dawny hulaka lekki i uprzejmy, gdyby nie zaprzeczala słowom twarz opuchła, na którą coraz więcej sinych plam występowało i oczy gorączkowym, dzikim płonące ogniem.

Daremnie mu żona, Polcia, Felicjan, chcieli nie dać pić, daremnie Michalina dwukrotnie we

drzwiach stanęła i wezwała męża. Derławski twierdził, że takie czyste wino użyte w miarę, nie może szkodzić. Ufalski rozgniewał się na żonę i na Polcię, a Felicjanowi kazał przypro-
wadzić brata, z którym się prezes swoim try-
bem zagawędził.

— Panowie! — zawołał rzewnym jakimś gło-
sem, wstając i trzymając się stołu, bo nogi
chwiały się pod nim — zdrowie mojego najlep-
szego, najlaskawszego przyjaciela, pana Nepo-
mucena Szyk, którego brata może wkrótce zie-
ciem moim powitacie. Niech żyje!

Jeden tylko radca podniósł do ust kieliszek,
ale wina nie skosztował.

— Cóż? — zawołał, kaszląc Mieczysław, błę-
dne spojrzenie groźno wkoło wodząc. — Czemu
wszyscy nie wypiliście duszkiem? Wiem, domy-
ślam się... myślicie że ten zacny, czysty, nie-
skazitelný człowiek, ten, co poświęcił się...
mógł zawinić — dodał ze łzami w oczach.

Nie dokończył, bo Nepomucen, który na głos
jego nadbiegł, wziął go za rękę i jak dziecko
wyprowadził z pokoju. Zachwiał się na progu
i padł zemdlony. Zanieśli do łóżka, rozebrali,

przez dwa tygodnie odchorował zdrowie Nepomucena, — który czuwał nad nim z żoną, Polcią i Felicjanem.

Zabawa oczewiście rozprzegła się, rozjechali się wszyscy wkrótce, czemu sąsiedzi i sąsiadki nader były rade, a ryży dziedzie powiedział do cioci: — Dziwne jakieś obowiązki zaciągnąć musieli Ufalscy względem tych niefortunnych Szyków. Że przyjmują nazad do siebie tego, co siedział w kryminale, to już straszne, ale jeszcze mniejsza! Że z uwielbieniem odzywają się o nim, zdrowie nam pić każą, to straszniejsze — i to wybaczam. Ale że wydają za brata jego, za jakiegoś piszczyka pannę Paulinę, jednakże obywatelską córkę, ładną panienkę — i Ufalski rozpowiada to nam, to już niedorzeczne jakieś ankanaliowanie się, którego doprawdy nie rozumiem.

— Szkoda Klotyldy, że poszła za takiego pijaka. Co to za różnica od nieboszczyka! On upija się aż do warjacji, naprzykład dzisiaj. Nie prędko znów będziemy w Lasiskach, dziwię się, że Derławscy tak ciągle dobrze z Ufalskim. Także pewno nie na długo.

— Miciu! Miciu! Człowiek tak dyskretny jak

Ufalski o mało có nie popełnił dzisiaj jakiegóś niedyskrecji, boby go jego anioł-stróż, uczciwy Szyk—nie był tak nagle wyprowadził z pokoju.

— Prosiłam, żeby mu nie dawać pić a ty mu pozwoliłeś.

— Któż się mógł spodziewać? Mówią, że w winie prawda — to jest: że charakter, jaki kto rzeczywiście posiada, wydaje się po pijanemu. Ufalski jest nadzwyczaj dyskretny a dzisiaj stary węgier i to przemienić musiał. Dobry węgier! Obiecał mi kilka butelek—szeptał z lekkim uśmiechem Derławski, wyciągając się na miękkich poduszkach karety, już na wielki gościniec Orgowski wjeżdżając.

Micia nic nie odrzekła.

X.

Mimo całego hartu duszy, Nepomucen przeczuł i wiedział, że mu będzie niepodobna pozostać w Lasiskach i dzień w dzień patrzeć na Polcię. Przynajmniej z początku chciał sobie nieco ulżyć cierpień, których na raz przetrwał już tyle.

Przełożył więc prezesowi, że Julek prócz prywatnej edukacji, powinienby i do szkół publicznych uczęszczać. Podał projekt, że mógłby z nim razem zamieszkać w Warszawie, coby nawet nie tak wiele pociągnęło kosztów. Prezes życząc sobie oddawna obcować jak najczęściej, mieć przy sobie Nepomucena, myśl tę skwapliwie pochwycił, mieszkanie im u siebie ofiarował i siostrzenicę na to namówił. Przykro było Polci, której przeczucie szepnęło, że to dla niej Szyk na wsi nie chce pozostać. Ufalski nie chciał nawet słuchać o tém.

— Nie opuszczaj mnie, zmiłuj się, ja tu oszałeję z kobietami do reszty! Ty jeden mi teraz zostałeś—prosił bezustannie i po wielu namowach dopiéro, przystał niechętnie.

Przy ciągłej pracy nad uczniem i nad sobą, do której mu prezes tak chętnie dopomagał, przy stosunku codziennym z człowiekiem zacnym i wyższym,—z bratem, o którego prawości względem siebie coraz bardziej przekonywał się,—otrząskął się Nepomucen z myślą, że Polcia będzie jego bratową, chociaż mu tęskno było do Lasisk, gdzie prócz niej miał prawdziwego przyja-

ciela. Felicjan częściej tam bywał od niego. Podczas pierwszych wakacyj, prosił więc go, żeby tam odwiózł Julka. List rozpaczliwy i błagalny Ufalskiego, który sam prezes poparł zmusił go do odwiedzenia przyjaciół. Żałował tego, bo smutne wyniósł wrażenie. Mieczysław coraz bardziej ponury, od rana do wieczora prawie nic nie robił. Paląc cygara, leżał na sofie lub chodził po polach samotnie, nawet do konia i do fuzji stracił ochotę. Gdy zobaczył Nepomucena, rozplakał się gdy Nepomucen odjeżdżał z Julkiem, przeproszał go, że nawet wdzięcznym nie potrafił się okazać. Michalina coś mu bo przypadkiem napomknęła o swoim domysle, który konieczny odjazd Szyka do Warszawy potwierdził i to przyczyniło się nie mało do zatruwania mu coraz bardziej goryczy, którą serce wzbierało. Miłość żony i weselość Polci rzadko z dnia którego stworzyła dzień weselszy. Mieczysław przestał żyć, rośliśniał tylko marnie — nie ciekawy jutra, nie żałując wczoraj.

Minęło lat dwa. Felicjan zamiast wyższej posady, przeszedł na linię obrończą i został patronem za radą i na wyraźne żądanie prezesa. Polcia nie mogła jeszcze iść za niego, żałoba jej matki ślub opóźniła.....

Pod tą samą lipą na górkach, gdzie Nepomucen pilnował kiedyś Mieczysława, znaleziono go jednego ranka z roztrzaskaną głową,—pistolet odwiedziony tkwił w martwej dłoni. Samotność kiedy raz kogo obejmie w cienie swoje niepojęte i myśli jednę przeważnie każe błąkać się po głowie, jakby błędnemu ognikowi nad grobowcem; odroczyć można jej wykonanie ale nawet hypokondrykowi ze schorzałym umysłem i ciałem—trudno uniknąć jej rozkazów. Rozłączony z przyjacielem, któremu tylko jednemu zwierzał się zupełnie, dręczył się że chcąc mu sprawić radość najwyższą, najdotkliwszą mu zadał boleść, której straszne przejścia z własnego znał doświadczenia. Przekonaany, że żonie szczęścia nie zapewnia, zobojętniały z czasem na wszystko, nawet dla pięknej swojej przyjaciółki Mici; budząc się często z bolesnym wspomnieniem o bracie i z drugim krwawszym, jakie wypadek

nieszczęsny musiał pozostawić, żałował tylko że prędyj nie wykonał zamiaru, który rozpaczliwa czezość wykonała.

W liście do Nepomucena wymownie opisał powolne obumieranie pogneźbionėj duszy, przeprosił go za wdzieczność niezręczną, nierozważną, zbyt skwapliwą i o przyjaźni z zapalem się odezwał, bo wierzył w to piękne uczucie aż do ostatniej chwili. W liście do żony i pasierbicy wyjaśnił poświęcenie Nepomucena, Michalinę poprosił, żeby zawsze przyjaźnią raczyła wdowę jego zaszczycać, a prezesowi całą rodzinę polecił. Nepomucen nie mógł sobie darować, że za głęboko wzięwszy do serca igraszkę trafu, zgrzeszył przeciw przyjaźni, opuszczając Mieczysława, którego by po raz drugi z pewnością od samobójstwa uchronił. Nie chciał przystać na odesłanie zeznania do sądu, choć Mieczysław wyraźnie o to żonę prosił.

Nieboszczyk musiał jednak posiadać wiele przymiotów towarzyskich, serce chętne, otwarte musiało być dla wielu, bo wszyscy dawniejsi i późniejsi znajomi prawdziwie go żalowali, nawet w sąsiedztwie zapomniano zupełnie o dzi-

wacznym humorze w ostatnich czasach i wszyscy pamiętali tylko świetnego, przystojnego, wesołego Mieczysława, co wszędzie, gdzie się pokazał, towarzystwo ożywić potrafił. W akcie ostatniej woli, który pozostawił, nie zapomniał o nikim,—choć niewiele czém miał rozrzadzić. Prócz rodziny i Nepomucena, zapisał chłopkom kilkaset złotych. Derławskiemu dubeltówkę, pierścione brylantowy jego żonie i *uczciwemu Dzierlatce* (własne jego słowa) złoty zegarek z dewizkami oraz płaszcz szopami podbity.

Dzierlatka, który dotychczas darować sobie nie mógł, że zbył owe 20,000 złp. Jednorogowi, (którego śmierć, mówiąc nawiasem, wcale go nie zmartwiła), gdy się o tém dowiedział, zaśmiał się na prawdę, napisał z podziękowaniem list do Pani Ufalskiej, ofiarując się zawsze najbezinteresowniej na jej *usługów*, z dodatkiem, że jego żona jako córeczki bardzo się zmartwiły z tego smutnego zdarzenia.

Pani Ufalska nie mogła pozostać w miejscu, w tyle dotkliwych wspomnień obfitém: sprzedała Lasiska Derławskiemu, który żadaną sumę wypłacił, bo i żona jego teraz nie sprzeci-

wiała się temu; przeniosła się z córką do Warszawy a w majątku dzieci wydzierżawionym nie chciała mieszkać. W rok potem panna Paulina Ufalska poszła za pana Felicjana Szyk, adwokata. Julek odjechał do uniwersytetu, Prezes do wód a Nepomucen przeniósł się do Karpatki, którą od bratowej dzierżawił a raczej urządzał im gospodarstwo, którego się poduczył, podczas tylokrotnych na wsi pobytów. Zapragnął nieco odetchnąć po tyloletniém, mozolném zatrudnieniu.

W sąsiedzwie, jak zwykle w sąsiedztwie, najrozmaitsze krążyły o nim zdania. Wszyscy zgadzali się jednak, że ten bakalarz to sprytny i wyrachowany człowiek. Przypuszczali, że wszedłszy do domu Ufalskich, od razu wiedział, jakie tam nadal będzie mógł ciągnąć korzyści; mniej ich to obchodziło, że w passji Jednoroga na tamten świat wyprawił, jak to, że się tak gracko z całej sprawy wywinał i zostając jeszcze pod zarzutem, ując zdołał nieboszczyka Mieczysława i ożenił swego brata, początkującego jakiegoś patrona z Warszawy z posażną, ładną panienką, o której rękę i dwukroć-stoty-

sięczny dziedzic śmiało mógłby się ubiegać. Niebacząc na to, że był bakalarzem, niebacząc na zarzut, parę domów życzyło nawet sobie, żeby u nich bywał, a młodzież koniecznie w swoje kółko wciągnąć go pragnęła. Nepomucen unikał wszelkich stosunków i znajomości, czasem tylko odwiedzał dalsze sąsiedztwo w Orgowie, gdzie go pani Derławska, chociaż mąż podnosił konserwy, zawsze jak najżyczliwiej i po bratersku przyjmowała. Żalując nie raz, że mu teraz nie może zaproponować aby się zajął edukacją jej syna, który coraz podobniejszy do matki, pokochałby tak jak Julek swojego nauczyciela i skorzystał wiele, chętnie lubiła z nim rozmawiać o wspomnieniu, niedawném a smutném. Przyznawali oboje, że ś. p. Mieczysław, mimo wszystkich wad swoich i lekkości, co jemu tylko szkodziła, niezwyklejszą, ognistą miał duszę. Do małych wykroczeń skłonny, w które go nie raz żywość krwi wtrącała, miał prawdziwie szlachetną delikatność, co się nie wiele w podziale dostaje; zdolny był do poświęceń. Żle od młodości kierowany, zwichnięty potem, męcząc się w niewłaściwém dla siebie kółku,

choć marnował się nie raz, jednak wierzył jeszcze w to, co wielkie i piękne, w co najprędzej wierzyć przestają ci, co jak on w beczynnej hulance młodość strawią leniwie. Jak dwie lipy nad jego mogiłą, bo go na Górkach pod lipami pochowano, nie raz Michalina i Nepomucen dumali nad jego wspomnieniem. Sympatyczna postać zmarłego, co ich oboje serdecznie kochał za życia, stawając im często na myśli przypominała zarazem obowiązki przyjaźni i opieki, do której pozostali po nim tak świetnie mieli prawo. Uczuwali żalobną przyjemność, smutne zadowolenie w dopełnianiu ich sumienia.

Trudno jednak poświęciwszy się zawodowi tak mozolnemu lecz tak wzniosłemu jak nauczycielski, zerwać zupełnie z jego przeszłością. Nepomucen widząc, że synek a zwłaszcza też synowiec pani Derławskiej zmarnować może lub zwichnąć zdolności przy niezdolnym lub niedbałym guwernerze, poczuwał się do obowiązków względem dawnych uczniów swoich, tém bardziej że radca dobrodziej zapragnął cudzoziemcowi powierzyć wychowanie dzieci. Radczyni

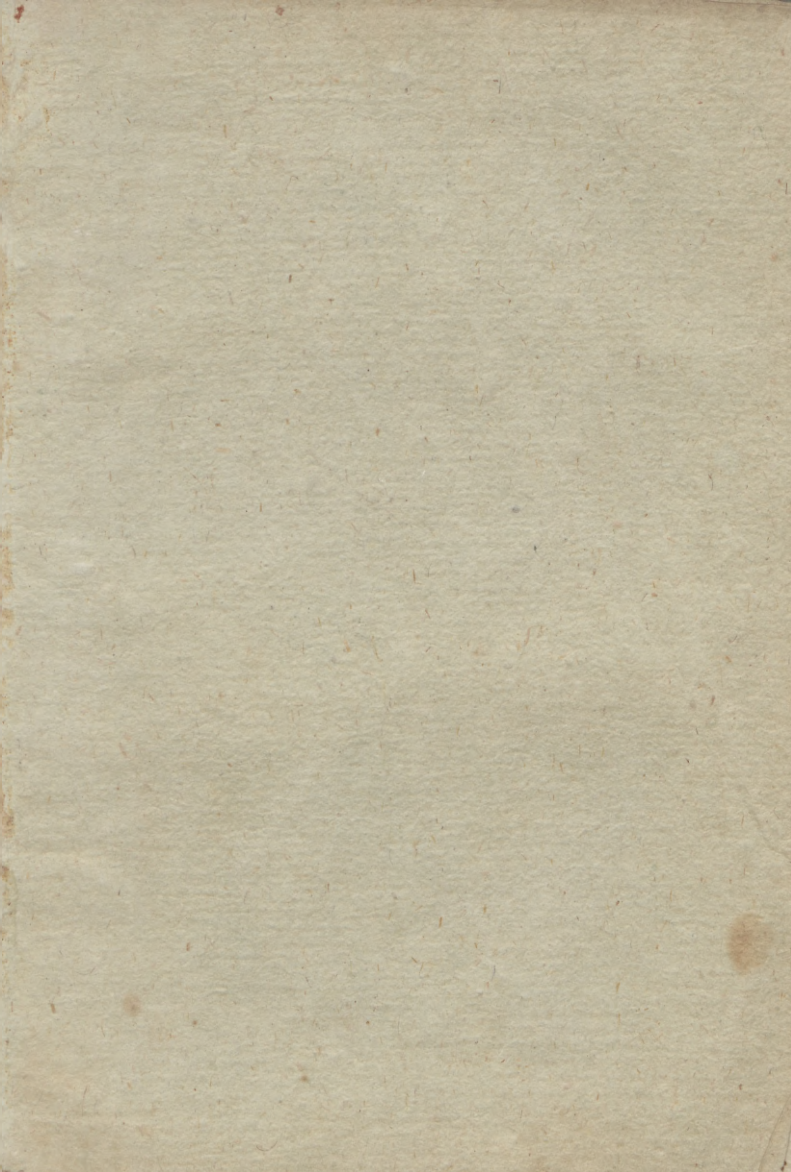
dobrodziejka już się na to zgadzała, pierwszy więc dał jój kiedyś do zrozumienia, że wzięłby malców do siebie. Matka z najżywszą radością i wdzięcznością oddała mu synowca i syna jedynaka do Karpatki, gdzie wśród gospodarskich i naukowych zatrudnień czynnie, uczciwie, żywo choć jednostajnie upływały chwile bakałarzowi, jak go w sąsiedztwie nazywano. Może go znów kiedy odwiedziemy w jego ustroniu i opowiemy dalsze dzieje pracowitego, nieznanego Nepomucena Szyk.

Warszawa d. 15 Stycznia 1856 r.

KONIEC.

ANULOWANO







025 583

30,-

22/10 21

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

226302

Biblioteka WSP Kielce



0083360